WYBÓR POEZYJ

LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

na rzecz wdowy i sierot autora.

Z portretem autora.

TOM III.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
1890.

WYBÓR POEZYJ KONDRATOWICZA.

WYBÓR POEZYJ
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA.

TOM III.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Іюля 1889 года.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ I.

UTWORY EPICKIE.

SEJM LUBELSKI.

(POCZĄTEK POEMATU).

Dzwony zagrały po mieście długiém, szerokiém jęczeniem,
Błękit rannych niebiosów huk uroczysty odbija,
Drży nad wieżami kościołów rozkołysane powietrze,
Że aż ptaszkom niebieskim coś uroczyściéj na sercu.
Mury odwieczne Lublina poweselały, spiękniały,
Jakby słońce włożyło na nie świąteczną oponę.
Dzień w chrześciaństwie dziś wielki — Ciała Pańskiego pamiątka,
Święto Chleba i Wina — ducha co karmi i poi.

W Polsce, przed wieki ochrzczonéj, w Polsce rozumnéj, bogatéj,
Zygmunt August panował; a choć w Koronie i Litwie
Pełno z Genewy i z Niemiec mistrzów, co po to przybyli,
Aby w starym kościele psować, przekształcać ład stary,
Przecież niemała gromada dzierży się Piotra opoki,
Umie pacierz dawniejszy, umie uchylić kolano,

Umie pieśnię pobożną po staroświecku zanócić,
Upaść na twarz przed Bogiem, co w Sakramencie ukryty.
Przeto gdy dzwony jęknęły, lud się wysypał jak mrowie
Na ulice wytkane klonem i brzozką zieloną;
Tłum się jak fala przelewa z jednych kościołów do drugich,
Albo stoi na rynkach, czeka otwarcia obchodu.
Okna kwiatami ubrali, powywieszali proporce,
Słali drogie kobierce, kędy Sakrament nieść będą.
Ubiór narodu jaskrawy, świeci purpurą i złotem,
Twarze ludu wesołe — cichém, pobożném weselem.

Dzwony umilkły na chwilę i znowu huczno zagrały,
Orszak processyonalny ruszył od farnéj świątyni:
Naprzód rycerstwo na koniach, z hełmów wyzuwszy swe głowy,
Dzierżąc ręce u boków, na wpół dobywszy pałasza,
(Z wieków obyczaj był taki, na znak, że bronią swéj wiary);
U ich siodła, u boku krasny powiewa proporzec,
Gorą blaszane pancerze, w pręgi złociste zdobione,
Złotem gore rynsztunek, złotem czapraki migocą,
Iskry się sypią z kamieni, rumak gdy stuknie podkową,
Ziemia tętni i huczy, jakby wulkanem wstrząśnięta.

Raźny był żołnierz sarmacki, ale w téj ważnéj godzinie
Zmienił postać junacką w postać bożego rycerza,
Głosem przywykłym do wrzawy, szorstkim jak dusza bojowa,

Grzmiało polskie rycerstwo pieśnią o Chlebie żywota.
Prostą kruchcianą piosenkę, prostym żołnierskim sposobem,
Jeden huczy tak silnie, jakby w sto kotłów uderzył,
Drugi jak cienka piszczałka, trzeci jak trąbka węgierska;
Jeden śpiewa z łacińska, drugi polskiemi wyrazy.
Straszny to rozgwar dla ucha, z jękami dzwonów zmieszany,
Z twardym chrzęstem zbroicy, z kopyt rumaczych łoskotem;
Przecięż jest ucho w niebiesiech, co te rozgwary zrozumie,
Czyta w sercu śpiewaka, tony fałszywe przebacza,
A z łez pobożnie wylanych tworząc dyament prawdziwy,
Kładzie łezkę—dyament w swą nieśmiertelną koronę.

Tu za rycerską chorągwią idą po parze, po czterech,
Sygnifery kościelne i rzemieślnicy cechowi.
Każdy chorągiew ma w ręku: widzisz na każdéj chorągwi
Obraz święty lub skromne prac rzemieślniczych oznaki:
Tam wyszyta siekiera--godło ciesielskiéj roboty,
Pancerz—godło płatnerza, młot, co kowala oznacza.

Z wiatrem szeleści chorągiew — jedna błękitna jak niebo,
Druga jak krew czerwona, a trzecia czarna jak całun.

Długim się ciągną szeregiem te różnobarwne sztandary,
Jakby lasy ruchome, z kwiatów olbrzymich wyrosłe.
Daléj orszaki zakonne z hymnem łacińskim na uściech,
W płaszczach czarnych i białych, z obnażonemi głowami,
Starcy z brodami siwemi, młodzi z obliczem wychudłém,
Jednych oczy w niebiesiech, drugich spuszczone ku ziemi.
Daléj starszyzna kościoła, strojna w ornaty i togi,
W krzyże, w złote łańcuchy, znaki godności prałata.
Daléj biskupi koronni, którzy na sejm tu przybyli,
Idą z wolna parami, wedle starszeństwa kolei,
Z Wilna, z Krakowa, z Poznania, z Rusi halickiéj, z Kijowa,
Idą święci pasterze, w jednym orszaku zebrani.
Pod baldachimem szkarłatnym, tłumem kapłanów otoczon,
Starzec, prymas koronny, niósł Przenajświętszy Sakrament.
Naród się ciśnie ciekawie, aby oglądać oblicza
Ludzi znanych w ojczyźnie: Paców, Karnkowskich, Myszkowskich;
Jeden drugiemu wskazuje, gdy się przez tłumy przeciśnie,
Protasewicza twarz bladą lub Hozyusza włos siwy.
Rzeczy krajowych świadomy Polak szanował swe męże,
Dobrze umiał na pamięć wielkie ojczyste imiona.
Drżące starością i trudem ręce pasterza podparli
Z jednéj strony król Zygmunt, z drugiéj krakowski kasztelan.

Przeszły dni pięknéj młodości w życiu Zygmunta
Augusta,
Piękne jego oblicze coś posmutniało, nadwiędło,
Trudy, cierpienia i myśli czoło pokryły zmarszczkami,
Ogień w oku błękitném łza przygasiła żałosna,
W brodzie wspaniałéj i długiéj już siwy włosek
przegląda,
Pańskie wzniosłe ramiona już się schylają i garbią;
Kiedy prymasa prawicę, święty niosącą Sakrament,
Dzierży w rękach synowskich — sam potrzebuje
podpory.
Z oczu utkwionych w Sakrament znaczno, że polski
monarcha
Wie, zkąd płynie pociecha, zkąd się podpory spo-
dziewać.
Silnéj mu trzeba podpory, bo rzecz przedsięwziął
nielada:
Skończyć wieków rozterki, złączyć pokrewne dwa
kraje,
Siła uprzedzeń przełamać, siła pokonać złéj woli,
Mądrém prawem określić spokój obojga narodów.
Jeszcze obadwa narody wspólnéj nie baczą korzyści,
W oczy sobie miotają dawno zebrane niechęci,
W jednéj chacie zrodzeni, jakby dwaj bracia niezgodni,
Marne prawo starszeństwa każdy dla siebie waruje.

Patrzaj na panów, idących za majestatem monarszym,
Na te grona szlacheckie, kędy są ziemscy posłowie,
Jak się rozbiegli w dwie kupy, z dala od siebie idące,
Których nawet nie złączy wspólność świętego
obrzędu:
Dwoma długiemi szeregi idą mężowie oddzielni,

Rzadko kiedy z gromady ktoś się do drugiéj przybliży;
Jedno — dwa słówka zamieni ze przyjacielem lub krewnym,
Co ma w tamtéj gromadzie, i znów do swoich powraca.
Tak z dwóch pagórków wypływające dwie rzeki
Obok siebie do morza płyną z ponurym pluchotem,
Tylko niekiedy strumyczek z rzeki przebieży do rzeki,
Jeśli złączyć nie może, wód pokrewieństwo przypomni.
Płyną dwie rzeki, już częściéj... częściéj strumieńmi spojone,
Aż się złączą piersiami, zleją się w jedno koryto,
Jedném korytem popłyną walczyć z jednemi skałami,
Jedną piersią pluchocąc, wpadną zarazem do morza.
Każdy, czy rzeka, czy strumień, mieni się barwą swéj wody,
Inszym wirem się kręci, inne ma takty w swym szumie.
Długo, ach! długo dwie rzeki będą niesfornie igrały,
Aż swą barwę i takty w sposób jednaki ułożą!
Każdy, czy naród, czy plemię, inszy obyczaj ma z ojców,
Insze prawa dziejowe, serca odmienne pukanie.
Wiele, ach! wiele potrzeba w zlaniu dwóch plemion osobnych,
By się zrównał obyczaj, by się takt serca zespolił!
Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą dwie rzeki,
Wspólna dola, niedola łączy dwa różne plemiona.

Jeszcze nie przyszła dla Polski, jeszcze nie przyszła dla Litwy
Wielka chwila braterstwa; żaden, prócz króla, nie czuje,

Ilu kwiatami zakwitnie, ile owoców wyrodzi
Wielkie drzewo sarmackie, jeśli z gałęzią wszczepioną
Soki żywotne podzieli, zrośnie się w jedno i spoi,
Cieniem jednym okryje ziemi szerokie obszary,
Że uszlachetni owoce, z soków obojga wyrosłe,
Drzewo będzie wytrwalsze, snadniéj się oprze wichrowi.
Ale powietrze wciąż huczy, rozkołysane dzwonami,
Arcybiskup gnieźnieński niesie Najświętszy Sakrament,
Król go wiedzie pod rękę, a po za królem w dwa rzędy
Dwa senaty przechodzą—senat litewski i polski...
. . . .

1857. Wilno.

FOLWARK STARA NIWA.

(UŁAMEK).

I.

Jeśpan Mieczysław Miodowicz był to podobno ekonom,
Mówią przecięż, że sumkę miał na folwarku zastawną;
Szlachcic *ab avis, atavis*, a może zresztą i dziedzic
(Szczury zgryzły w papierach tytuł dziedzictwa onego),
Hulał z początku, jak piszą, i w Pana Boga nie wierzył,
Ale jak się ożenił, przyszedł mu rozum do głowy.
Pleban sąsiedniéj wioseczki często go doma nawiedzał,
Żona uszu natarła!... szlachcic więc w Boga uwierzył,
Kilka kapliczek zbudował i włość przyuczył do wiary,
Syna dzielnie wychował, choć sam miękkiego był serca.
Reszty odgadnąć niełatwo: bo w dokumentach zbutwiałych
Szczury jedno wygryzły, w drugiém pobledniał atrament.
Musiał umierać spokojnie, paląc z glinianéj fajeczki,
Albo mówiąc Różaniec, Amen ostatnie domówił.
Wiedzieć nie sposób — tém bardziéj, że dokumenta dawniejsze
Ledwie mówią nawiasem, że żył Mieczysław Miodowicz.

II.

Lecz syn jego — toż był syn!
Tam, co słowo, wielki czyn.
Sąsiad włość mu wziął przemocą,
On mu krzyknął: — „Tyś tu po co?
„Dość z mych włości ciągnąć zysk!“
I nie myśląc, palnął w pysk.
Sąsiad oddał cudzą rzecz
I do domu odszedł precz.

Drugi sąsiad, niby pan,
I dziedzicem jeszcze zwan,
Sam przyjechał w letniéj porze
Do folwarku na jeziorze
I do Miodowicza rzekł:
—„Widzę, żeś ty tęgi człek,
„Więc te włości trzymaj sam,
„Ja-ć dokument na to dam.“

— „Dasz dokument, czy nie dasz,
„Włość jest nasza, folwark nasz;
„Gdy nie wierzysz, to idź prawem
„Z Miodowiczem Bolesławem;
„Ale w sądzie znają rzecz,
„Od cudzego ruszaj precz!
„Żeś tu do mnie przyszedł wprzód,
„Masz talara za twój trud!“

Gość talara chętnie wziął,
Opuściwszy uszy w dół,
I dziedziczne uznał prawa
Miodowicza Bolesława,

I na pozór niby zmilkł;
Ale odtąd już jak wilk,
Choć barani włożył płaszcz,
Lecz żarłoczną rozwarł paszcz.

—„Ruszaj wilku, ruszaj w las,
„Zabić wilka zawsze czas!“ —
Pan Miodowicz tak powiada.
A drugiego miał sąsiada,
Co z nim wieczny toczył spór
O przyległą wieś i bór.
Sąsiad przeczył,—przecz, nie przecz,
Niech rozsądzi sprawę miecz.

Zebrał tedy szlachty dość,
Zebrał całą swoją włość,
I sąsiada ścisnął w okół,
Pogruchotał mu częstokół;
A przez bramę i przez łom
Wpadł zajazdem w jego dom,
A po bramie rąbnął tak,
Że aż dotąd został znak.

Sąsiad w prośby, żona w płacz, —
Zmiękczył serce dzielny gracz,
Bo już takiéj był natury,
Że choć czasem zły, ponury,
Lecz na widok ludzkich trosk
Mięknął stary gdyby wosk;
Więc wypuścił z ręki łów
I do domu wrócił zdrów.

Jużby doma siedział snadź,
Lecz mu wkrótce dano znać,

Że tam z jego łąk korzysta
Jakiś Niemiec kolonista,
Że się wdziera aż do kniej, —
Więc na Niemca hejże, héj!
Spędził Niemca gdzie pieprz rósł,
I graniczne kopce wzniósł.

Był to dziedzic wielkich cnot,
Na sąsiady ciężki młot,
I swoimi rządził srogo,
Nie miał względu na nikogo,
Bronił biednych z całych sił,
Sprawiedliwość świętą czcił;
Więc gdy przyszedł śmierci kres,
Lud niemało wylał łez.

III.

Po jego śmierci folwark, Stara Niwa,
Miodem i mlekiem obficie opływa;
Pan Bóg mu przysłał urodzajne lata,
Bogaty kmiotek i niwa bogata.
I szłoby dobrze przy poczciwéj pracy,
Ale już byli dziedzice nie tacy.
Syn Bolesława, dobra sobie dusza,
Tropi zające i kufle wysusza;
A jejmość, baba, jak to mówią, kuta,
Sama dla włości urządza statuta;
A że się chętka do nowości budzi,
Wzięła na służbę zagranicznych ludzi.
Żal było patrzeć, co się działo z domem:
Niemiec był skarbnym, Niemiec ekonomem;

Gdy jeden patrzy, co na groszu zyska,
Drugi niewinne poddane uciska.
Porosły chwasty w polu nieoraném,
A biedny kmiotek okrył się łachmanem;
Dworskie budynki spustoszały marnie,
A Niemiec złoto do kieszeni garnie.
W końcu jegomość położył się w grobie,
Jejmość, zkąd przyszła, pojechała sobie;
I począł czynić nowy ład we dworze
Młodziuchny panicz, co mieszkał w klasztorze.
At sobie człowiek! nie wymyślił prochu,
I zły, i dobry—wszystkiego po trochu;
Stan włości zdziałał niby to szczęśliwszy,
Umarł, dwóch młodych synów zostawiwszy.
Oto i wszystko—folwark Stara Niwa
Jeszcze w dostatki i spokój opływa...

. . . .

1858. Wilno.

CZARNO I BIAŁO.

OBRAZEK.

Żyła sobie dewotka
Niedaleko od fary;
Miała pieska i kotka,
Obok sąsiad żył stary.
Była wielce z nich rada,
Bo i jakże inaczéj?
Z kotka, z pieska, z sąsiada
Miała wiernych słuchaczy.
Czasem dojrzy jéj oko
Wśród powieści i plotek,
Że usnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.
Lecz sąsiad, sztuka bita,
Zręcznie jéj się wywinie,
Bo gdy czasem go spyta:
— „Prawdaż, panie Marcinie?“
To on, choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową
I mruknie w porę właśnie:
— „Tak... tak, pani Janowo!“

* * *

—„Uważałeś, jegomość?
Dziś assesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!
Gdyby zebrać je razem,
I za nałóg ich dziki
Wszystkie uciąć żelazem!
Jabym mówić gotowa,
Ale prawdę, a skromnie;
Na co mi ta obmowa?
Co to należy do mnie?
Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,
Pisarz klaska w karcięta,
Wójt z organistą pije...
Bóg tam z nimi!... Bóg z niemi!
Ja patrzę tylko siebie!
Każdy człowiek na ziemi,
Nie to, co święty w niebie.
Myślmy o własnéj winie,
Nie sądźmy zbyt surowo...
Prawdaż, panie Marcinie?"
—„Tak... tak, pani Janowo!"

* * *

—„U nas plotki, jak błoto,
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko, co plotą,
To aż ucho ci więdnie!
Uważałeś?... na prawo...
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,

Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może:
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzał na nią z ukradka;
Lecz to fałsze... potwarze!...
Ja widzę co niedziela:
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po minie,
Że ja podrwiłam głową?
Prawdaż, panie Marcinie?"
— „Tak... tak, pani Janowo!"

* * *

— „Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domyślność moją;
A te plotki bezładne
Kością mi w gardle stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!
Niewinność... skromność... cnota...
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ją z za płota,—
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona:

O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!
Znamy się na świętości...
Dzisiaj i ja sensatka...
Och! powiem jegomości,
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda, co się nawinie,
Przede mną w kąt się schowa.
Prawdaż, panie Marcinie?"
— „Tak... tak, pani Janowa!"

* * *

— „Tylko się chwalić nie chcę,
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem złechcę,
To zaraz mię pokocha!
Rzuciłam płoche żarty,
Postrzegłam, jak te szpecą;
Rok... drugi... trzeci... czwarty...
Jam spoważniała nieco.
A młodzież?.. gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijkiem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży
Za szesnastoletniemi,
Za wietrznicami bieży!
Pan Bóg wie czém zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to? pytam, za co?
Bo młodość wkrótce minie,

Bo mi siwieje głowa...
Prawdaż, panie Marcinie?"
— „Tak... tak, pani Janowa!"

* * *

— „Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na mszę do fary,
Pościć będę nowennę,
I ołtarzyk ponoszę;
Ujrzysz waćpan dobrodziéj,
Że wyposzczę, wyproszę
Więcéj statku dla młodzi.
Mimo wszystkie zalety,
Nikt nie spojrzy na młodą,
A stateczne kobiety
Réj na świecie powiodą.
Chociaż się lata roni,
Choć mija wiek człowieczy;
Ale święty Antoni
Patron zgubionych rzeczy:
On mi młodość odszuka,
Wróci rumieniec licom!
Będzie sztuka!.. ot sztuka!
Na złość młodym wietrznicom!
Nie ich... a mnie jedynie
Szarpać będą obmową!
Prawdaż, panie Marcinie?"
— „Tak... tak, pani Janowo!"

1858. Wilno.

WIDZENIE PUSTELNIKA.

LEGENDA.

I.

Kiedyś przed laty pustelnik stary
Wrócił wieczorem do swéj pieczary;
Wykrzesał ognia, zatlił pochodnię,
Kląkł na kamieniu mówić pacierze;
A płomień lampy z modlitwą zgodnie
Wprost ku niebiosom kierunek bierze.
Gdy pergaminu wolumen szasta,
Gdy się przewraca karta Psałterza,
Płomień się chysta, zwęża, rozszerza,
I ludzka postać z knota wyrasta.
A wosk i smoła w knocie się skwarzą,
Że zda się słyszysz jęki czyscowe;
Knot wśród płomienia wziął kształty nowe,
Z ludzką postacią i z ludzką twarzą:
Łuk ma przez plecy, sokoła w dłoni,
Głowę schyloną, plecy barczyste,
A trąbką zda się na łowy dzwoni:
O miserere! o salve, Christe!

II.

Święty pustelnik zgadnął te dziwy,
Że jęczy w czyscu jakiś myśliwy.
Może nie bacząc klątwy kościelnéj,
Ufny, że nic się złego nie stanie,
W dzień uroczysty, lub w dzień niedzielny
Ruszył do lasu na polowanie;
A ceniąc rozkosz jednogodzinną,
Cały zajęty własną uciechą,
Rozbudził z drzemki borowe echo,
Coby w niedzielę milczeć powinno.
Dla wybawienia biednéj istoty
Pustelnik ślubów poczynił wiele:
O chlebie z wodą suszyć soboty
I leżeć krzyżem w każdą niedzielę.
Lecz postać strzelca z knotu nie znika,
Wiją się przy niéj kłęby ogniste,
Skwierczy i jęczy muzyka dzika:
O miserere! o salve, Christe!

III.

Może zabywszy myśliwskie prawa,
Sięgnął na własność cudzego mienia,
Gdy go zawzięta gnała obława,
W puszczy królewskiéj zabił jelenia.
Może gdzie spotkał dziewicę młodą
Wśród gęstéj puszczy i samą jedną;
Nieskromne oczy tak ją przebodą,
Że zarumienił wieśniaczkę biedną.
Może gdy w polu strzelec się błąka,

Pusta go chętka morderstwa bierze:
Puścił sokoła w lot na skowronka,
Kiedy ten Panu śpiewał pacierze.
Więc nowe śluby - goręcéj, godniéj,
Czyni pobożny duch pustelnika;
Ale nie trafił na rodzaj zbrodni,
Bo postać strzelca z knota nie znika.
Wciąż się w płomieniu widmo unosi,
Wiją się przy niém obłoczki mgliste,
A pisk bolesny ratunku prosi:
O miserere! o salve, Christe!

IV.

Czy w nierozmyślnym zapale może
Końmi i psiarnią — zwyczajnie młodzież—
Tratował biednych rolników zboże,
Lny, z których kmiotek miałby swą odzież?...
Knot się pochylił, — pustelnik rzecze:
— „Dosyć ci, dosyć cierpieć tak srodze!
„Przebacz, o Boże! winy człowiecze,
„A szkodę, pozwól, ja wynagrodzę!
„Z wioski do wioski, z młyna do młyna,
„Pójdę żebrować po garstce żyta,
„By co rok jedna wdowia rodzina
„Czarnego chleba miała do syta.
„Z chaty do chaty, kędy tką krosna,
„Pójdę żebrować o płótna szmatek,
„Ażeby ludzi ręka litosna
„Okryła troje sierocych dziatek.
„Bóg winowajcom swą litość dawa,
„Królowie winę przebaczyć mogą;

„Ale przebaczyć nikt nie ma prawa
„Temu, kto ludzkość skrzywdził ubogą.
„Jedyna rada: o ile siły,
„Nagrodzić krzywdę biednéj chudobie!“
Tak mówił starzec,—a knot pochyły
Padł na kolana w strzelca osobie.
I płomień parsknął z środka pochodni,
Wzniosły się k'niebu światła gwiazdziste;
Grzesznik rozgrzeszon ze swojéj zbrodni.
Ojcze ubogich! chwała Ci, Chryste!

1858. Wilno.

TRZY CÓRKI LITWINA.

OPOWIEŚĆ.

I.

Po nad Niemnem na górze
Stało Litwy przedmurze,
Pograniczna osłona od wroga,
Stał zameczek drewniany,
Lecz warowne miał ściany,
Krzepka była litewska załoga.

Nieraz horda krzyżacka
Napadała z nienacka,
Lecz nie wzięła warowni ni razu;
Bo dowodził załodze
Litwin waleczny srodze,
Stary, jary, wykowan jak z głazu.

Będąc wdowcem rok wtóry,
Sam piastował trzy córy,
Trzy urocze pociechy Litwina.
Aż trzech zięciów mieć będzie,
Więc szczęśliwy w tym względzie,
Choć bogowie nie dali mu syna.

—„Jeden, z mieczem a w szłyku,
„Pójdzie w stronę Baltyku,
„Za rodzinne wysunie się knieje;
„Przy malborskiéj gdzieś wieży
„W róg bawoli uderzy,
„Że aż Niemca mdłe serce struchleje.

„Drugi, w sutéj niedźwiedni,
„W kraje Rusi sąsiedniéj
„Na mierzynie powiedzie rębaczy, —
„I w Kijowie, na Ławrze
„Z kniaziem miru nie zawrze,
„Aż ośminę czerwońców zahaczy.

„Trzeci, cały w żelezie,
„Miecz i ogień powiezie
„Aż pod Kraków, na dar dla sąsiada;
„Przy Floryańskiéj gdzieś bramie
„Chrobry oszczep załamie,
„Na Wawelu z Lachami pogada.

„Wy tymczasem, dziewoje,
„Krasne córki wy moje,
„Tczyjcie krosna i prządźcie kądziele,
„Jak kaliny rośnijcie,
„Jako róże kwitnijcie
„Na sędziwych lat moich wesele.“

Duma słodko wódz siwy,
Jaki będzie szczęśliwy,
Swoje przyszłe pociechy oblicza.
Nie zapędzaj się, stary:
Insze ludzkie zamiary,
Insze w niebie Perkuna i Znicza.

II.

Raz wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy;
Zapytano:—„Kto jedzie? i po co?“
Zbrojny od stop do głowy
Niemiec, rycerz krzyżowy,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Serca złością zadrgały,
Gdy ujrzano płaszcz biały,
Z czarnym krzyżem, zwieszony przez ramię;
Lecz domowa gościna
Święta sercu Litwina:
—„Niech i Niemiec chleb z nami przełamie.“

Praw gościny wódz słucha,
Most zwiedziono z łańcucha,
Zaproszono na nocleg rycerza,
I przy piwie, przy miodzie,
Przy gościnnéj swobodzie
Zastawiona litewska wieczerza.

Krzyżak, zmęczon z podróży,
Wypił miodu róg turzy,
Otoczyła go Litwy gromada;
On słowami pięknemi
O niemieckiéj swéj ziemi
Troje dziwów Litwinom powiada.

Jaki tam lud wesoły,
Jakie piękne kościoły,

Jakie zamki, pałace i bramy,
Jakie świetne turnieje,
Jak tam rycerz krew leje,
Krusząc kopię za honor swéj damy.

Stary Litwin się dąsa,
Kręci siwego wąsa,
Bo mu nie w smak niemieckie te brednie;
Lecz najstarszéj dziewoi
Ten kraj w oczach już stoi,
Patrzy, słucha, kraśnieje, to blednie.

Zda się mówić oczami:
— „Mnie to nęci i mami,
„Nawet ojca-m porzucić gotowa!“
Tak z krzyżackim siepaczem
A dziewczęciem prostaczém,
Poszła niema oczami rozmowa.

Nie wiem, co tam mówili,
Lecz o porannéj chwili,
Kiedy słońce błysnęło nad rzeką,
Już jéj w zamku nie było:
Wzięta wolą czy siłą,
Ujechała z Krzyżakiem daleko.

Dziad załamał swe dłonie,
Wysłał szybkie pogonie,
Lecz o zbiegach ni śladu, ni wieści.
— „O! Perkunie, Perkunie!
„Czemu grom twój nie runie,
„Aby pomścić się mojéj bezcześci?

„Już mi na koń niesnadno,
„Już mi ręce bezwładną,
„Już mi pancerz dolega pod szyją;
„Lecz mieć będę dwóch zięci,
„Każdy z nich się poświęci,
„Wyszukają psa Niemca—zabiją.

„Wy tymczasem, dziewoje,
„Krasne córki wy moje,
„Tczyjcie krosna i przędźcie kądziele,
„Jak kaliny rośnijcie,
„Jako róże kwitnijcie,
„Z waszych mężów potrzebni mściciele.“

III.

W rok—wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy.
Zapytano:—„Kto jedzie i po co?“
Młody, krasny a strojny
Ruski bojak szedł z wojny,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Rad, że gościem Bóg darzy,
Więc z uśmiechem na twarzy
Litwin Rusa przyjmuje najmiléj,
I przed całą drużyną
Stawi hojnie miód, wino,
I zaprasza, by jedli i pili.

Gdy wypili a zjedli,
Na rozhowor zasiedli,

Długi wieczór upłynął w rozmowie.
Rusin, siadłszy na ławie,
Opowiada ciekawie,
Opowiada o swoim Kijowie:

Jaki tam lud zamożny,
Jaki tam Dniepr wielmożny,
Co to płynie i mlekiem, i miodem,
Cerkwie z bańmi ze złota,
Co jak słońce migota,
Co jak gwiazda przyświeca nad grodem.

A jak idzie gród stary,
Tak pod ziemią pieczary,
Kędy święci spoczęli mężowie;
A niewiasta ma wolę,
Nosi szuby sobole
I sobole kołpaki na głowie.

Średnia córka go słucha,
Ani oka, ni ucha
Z nadobnego nie spuszcza Rusina;
A on rad, że mu radzi,
Złotą brodę pogładzi,
I piękniejsze powieści poczyna.

Starzec bacznie uważa
Kijowskiego bajarza,
I polubił, bo mówi do rzeczy...
Lecz nazajutrz po nocy
Jęk się rozległ sierocy:
Stary Litwin swéj doli złorzeczy.

Średnia córka na Rusi
Już daleko być musi:
Do granicy nie więcéj pół mili.
W trąbkę: „*na koń!*“ uderzy,
Wysłał w pogoń rycerzy;
Lecz rycerze bez skutku wrócili.

Szkoda ojca nędzarza!
Piersią w prochu się tarza,
Siwe włosy i siwą rwie brodę:
— „Ha! uciekłyście skrycie,
„Cudzym bogom dać życie,
„Wrogom niańczyć szczenięta ich młode.

„Szczęściem—nawet w kurhanie
„Mych popiołów nie stanie,
„Gdy lat dziesięć, dwadzieścia przeminie,
„Gdy dla krwawych łupieży
„Syn Litwinki przybieży
„Hańbić Litwę i bogów świątynie.

„Lecz nim pójdę pod ziemię,
„Będę wasze klął plemię,
„By zmarniało nikczemnie a podle;
„A gdy skończę to życie,
„Tam, w niebieskim błękicie,
„Piorun na was u bogów wymodlę.

„Córko! niech cię popieszczę,
„Coś została mi jeszcze,
„Tyś najmłodsza, tyś moja jedyna!
„Prędkoż drużki nad młodą
„Pieśń weselną zawiodą?
„Mnie potrzeba mściciela i syna!“

IV.

Rośnie dziewczę, ej rośnie,
Jako kwiatek w półwiośnie!
Gdy raz trąbka zagrała na moście.
Powstał Litwin brodaty,
Wyjrzał oknem z komnaty:
Nieznajomi zjawili się goście.

To sarmaccy hussarze;
Hełmy kryły ich twarze,
Z ramion rysie staczały się burki;
Na ramionach i czole
Mieli skrzydła sokole,
A na piersiach pancerze w jaszczurki.

Już zgrzybiały wódz Litwy
Miał dać hasło do bitwy,
Już topory i miecze dobyto,—
Kiedy Lachów wódz młody,
W znak pokoju i zgody,
Hełm złocisty ze strusią zdjął kitą.

I posyła przed straże,
I powiedzieć tak każe:
—„Mir i cześć ci, szlachetny Litwinie!
„Idziem z Niemiec do Niemna,
„A nastaje noc ciemna,—
„Dajcie nocleg gościnny drużynie.

„Na żądanie wnet wasze
„Odpaszemy pałasze."
Wódz litewski ich przyjął najmiléj;

Tylko spytać ich każe:
—„Ej wy Lachy, hussarze!
„Czemu Niemców do szczętu nie zbili?“

Choć zawiedzion zdradziecko,
Litwin ufny, jak dziecko,
Wita Lachów uprzejmie, ciekawie;
Każe dać miodu, piwa,
A ich wodza przyzywa
I sadowi przy sobie na ławie.

I rozkrawa pierś dzika,
I piwnice odmyka,
I wynosi czém chata bogata:
Miód od wielkiego święta,
Co Mendogów pamięta,
Co już setne przechował się lata.

A gdy miodu sowito
Raz i drugi wypito,
Litwin staréj a prostéj natury
Wyspowiadał przy miodzie,
Jaka żałość go bodzie,
Jak mu z domu zginęły dwie córy.

Dobrze w oczach u Lacha,
Więc się zdrady nie stracha, —
A że dusza podzielić się rada,
Więc, wypiwszy po trzecie,
Każe wołać swe dziecię
Do komnaty, gdzie była biesiada.

Młody Laszek wzrok wnęca,
Czarny wąsik pokręca,

Strzela słowy gładkiemi, jak może,—
Że Litwinka nieśmiała
Aż trzy razy skraśniała,
Ot! zwyczajnie, chowała się w borze.

Gadu... gadu... Lach rzecze:
—„Zacny jesteś, człowiecze,
„Smaczny miód i puhary masz duże.
„Przyjedź tylko pod Kraków,
„Ja w imieniu Polaków
„Za gościnę gościną odsłużę.

„Bo wam powiem otwarcie:
„Dobre miodne tu barcie,
„Ale nasze bogatsze są kraje;
„Mamy pełno pszenicy,
„A z węgierskiéj granicy
„Przywozimy stuletnie tokaje.

„Dobrzy wasi książęta,
„Ale wola ich święta,
„Wy nie znacie sejmowéj obrady;
„U nas szlachta na sejmie
„Kiedy okrzyk podejmie,
„To i król nie potrafi dać rady.

„Dobre wasze są bogi,
„Ale Poklus za srogi,
„Perkun grzmotem przeraża z daleka;
„Nasz Bóg—dobroć to szczera,
„Krwawą śmiercią umiera,
„Byle tylko wybawić człowieka.

„Matka Jego — Dziewica,
„Jakże święte ma lica!
„Jakże oczy miłością płonące!
„Ile ludziom łask czyni
„W Częstochowskiéj świątyni,
„Kędy idą pielgrzymów tysiące!

„Patrzcie!“... odjął od szyi
Obraz świętéj Maryi,
Wyrzezany misternie na blasze:
„Ona naszych prośb słucha,
„Ona wzmacnia nam ducha,
„Ona w boju hartuje pałasze.“

Litwin spojrzał z niewiarą,
I najeżył brew starą,
I cichemi odezwał się słowy:
— „Ha! uwierzyłbym może,
„Niech mi tylko pomoże
„Zwodzicielom mych córek zgiąć głowy!“

Dziewczę z twarzą odmienną,
Jakby w tęczę promienną,
W święty obraz wlepiła swe oko;
Wsparła główkę o ścianę,
Marzy dumki nieznane,
Pokraśniała, westchnęła głęboko.

Gadu... gadu... koleją,
Drugie kury już pieją,
Zasłuchali się prości Litwini:

Jak tam Kraków ubrany,
Jakie dzwony, organy
Ną wawelskiéj zamkowéj świątyni.

Litwin pyta a śledzi,
Czy tam wiele niedźwiedzi,
Czy tam dobrze hartują bardysze;
A ciekawa dziewczyna,
Gdy gość książki wspomina,
Rozpytuje, co w książkach tych pisze?

Tak rozmowa hussarza
Głowę Litwy rozmarza,
Że gdy jutrznia błysnęła z za wzgórka,
A sen zmorzył powieki,
To w krainie dalekiéj
Śnili Kraków i ojciec, i córka.

Ranek świecił przecudnie...
Lecz jak przyszło południe,
Z chmur rzęsiste polały się deszcze.
Więc gospodarz powiada:
— „Gościu! chata wam rada,
„A przebawcież tu z nami dzień jeszcze.“

Pora zimna i dżdżysta,
Lach z ofiary korzysta,
Dano miód, naniecono kominek; —
Przegwarzyli dzień cały...
Lecz nim kury zapiały,
Zniknął Lach—i najmłodsza z Litwinek.

Litwin strzaskać chciał głowę
O kamienie zamkowe,
Ale rozpacz potłumił szaloną;
Nie zatrąbił do broni,
Nie posyłał pogoni:
—„Niech już jedzie, gdzie jechać sądzono!“

Obezsilniał w rozpaczy,
Znać, że głowa majaczy,
Snadź się dusza zachwiała gorąca;
Z obłąkaném obliczem
Pali ognie przed Zniczem,
To posągi Perkuna roztrąca.

Czasem, jakby szalony,
Grozi pięścią w trzy strony
I orężem w powietrzu wywija.
Wreszcie — rzucił załogę,
Nic nie wziąwszy na drogę,
Oprócz torby żebraczéj i kija.

Próżno Litwa go błaga:
—„Ojcze! twoja odwaga,
„Twoja mądrość broniła te ściany;
„My nie damy tu rady
„Przed zbrojnemi napady!“
—„Dzieci moje! — rzekł starzec znękany: —

„Wodza kołpak niedźwiedzi,
„Miecz kowany, tarcz z miedzi,
„Niech piastuje kto z młodszych rycerzy;

„Bo w te nasze warownie
„Wkrótce może gwałtownie
„Niespodziany grom z nieba uderzy.

„Widzę — w niebios przestrzeni
„Jak się jutrznia rumieni,
„To się snują obłoki bezładne;
„Huczy w chmurach pieśń nowa,
„Dobrze słyszę jéj słowa,
„Ale słów tych znaczenia nie zgadnę.

„A ja... z przeszłości staréj
„Umiem piosnek bez miary,
„Tym ostatek dni moich poświęcę.
„Pójdę w dzieci wioskowe
„Wpajać piosnek osnowę,
„Bo żyć tylko będziemy w piosence.“

Litwa — w bredniach boleści
Nie domyśla się treści,
Rozśmieszyły ją starca widziadła.
Opętały go duchy,
Poszedł sobie w las głuchy,
I wieść o nim na długo przepadła.

Ktoś go spotkał... coś plecie,
Szuka córek po świecie,
Obłąkany, zmarzony, jak senny;
To rozeszła się mowa,
Że szedł w stronę Krakowa,
Ukazując obłoczek promienny.

W rok, czy we dwa — przy wieży,
W jakiejś dziwnéj odzieży,
Znaleziono trup starca nareszcie;
Zamiast pasa sukmany,
Miał powrozek wełniany,
Przy powrozku—paciorki niewieście.

Lecz co dziwniéj się zdało,
Że gdy wodza już ciało
Mieli spalić na stosie Litwini, —
Na jego piersi mężnéj
Błyszczał krzyżyk mosiężny
I obraz świętéj Lachów bogini.

Wilno. 1859.

KSIĘGARZ ULICZNY.

GAWĘDA.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;
A księgarz, ceniąc towar, jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiéj polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to, — a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiéj chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jéj znane,
Więc pytasz sam u siebie: Kto sprawił tę zmianę?

* * *

Patrzcie! ja go wam wskażę: Przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w łachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z téj postaci! Lat sześćdziesiąt blizko,
Jak zajął przy téj ścianie swoje stanowisko,

I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.

Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszéj mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nócie
Znajdowano Wielkości i Piękna poczucie,
On sprzedawał łacińską książeczkę *in quarto*,
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą.
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
— „Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na zdro-
[wie.“
Zdrowież było w tych książkach! słowo wrzące czynem,
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz, co to sprzedał, patrz, jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywa!

* * *

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiałą brodę,
Otarł czerwone oczy:
— „Panicze! panicze!
Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz professorska figura zgarbiona
Płaciła po dukacie listy Cycerona?
Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary,
Pan Groddeck mi zapłacił aż cztery talary,

A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?

„Rarytne były czasy! a książek ogromy;
Groddeck, Czacki, Śniadeccy popisali tomy,
Dzieła choć naukowe szły jak assygnata,
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy pomarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie.
Niejeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Niejeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ karetą i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogę mówić śmiało,
W moich to oczach rosło, w moich rozumniało.
A był to lud ubogi, obciążony pracą,
Niejeden chciałby kupić... a tu nie ma za co!
Niejeden—tych paniczów dobrze mam w pamięci,—
Targuje, zwraca książkę, a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: No! szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub w zamian literackich śmieci,
Od Baki do Newton'a wszystko mi się przyda.
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz powoli, lecz ciągle, do worka się sączy,
Aż przyszedłem nakoniec do nowéj opończy.

„W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Stryjkowskich zbiór cały,
Łazarzów, Piotrkowczyków wydania bogate,
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwaląc się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłki dopatrzę.

Niepopłatny był towar, mało znany komu,
To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...
Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,
Wypchną mię przez drzwi jedne, ja drugiemi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? dla kawałka chleba
Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższéj w mym handlu dochodziły ceny
Stuletnie Kalendarze i *Nowe Ateny;*
Najwyżéj stał Paprocki — bo tam było ryte,
Jaki herb dla lokaja, jaki na karétę.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie — to na chleb dla dzieci.

„No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem... broda posiwiała,
Ręce, znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot na tym kiju stary patryarcha;
I nieraz, gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;
Bo do czego to warto? tom taki niespory!
Jam przywykł do *in folio* lub *quarto majori.*

„Co w tém, to pobłądziłem, bo to dobre dzieła!
Wallenrodom i *Dziadom* Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz? były cuda, co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem... dziesięć egzemplarzy!
A wziąwszy dziesięć złotych, raduje się dusza:
„Ha! to musi być większy od Horacyusza!“
Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnéj podzięce
Autorowi *Grażyny* całowałem ręce...

„Lecz począłem ubożeć: czas płaci, czas traci...
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdéj pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
Stoję, zgarbiwszy plecy, i podpieram ścianę.

„Co staremu do tego, czy wilgoć, czy słota?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
Pan Joachim wyjechał, pan Mickiewicz w grobie...
Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów.
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów...
Skarlał czas, pokarleli nasi literaci,
Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci.
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę.
Kupujcie go, panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.“

* *
*

Wtém kareta księgarza po bruku się toczy,
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
Otarł zbolałe oczy i podniósł je w górę:
— „Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!“

1859. Wilno.

MARCIN STUDZIEŃSKI.

KARTKA Z KRONIKI WILNA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wieczór mieszczański.

I.

Stefan Kotwica, rajca wileński,
Sprawował ucztę w dzień swego święta.
Réj wodził w tańcu Marcin Studzieński.
Miłém nań okiem patrzą dziewczęta,
Siwi starcowie patrzą nań mile,
Jako na wnuka albo na syna;
Bo pan Studzieński zuch w całéj sile,
Każdemu młode dni przypomina.
A nasi starcy, plemię junacze,
Postarzeć sercem prędko nie mogą—
Ze skaczącymi choć okiem skacze
I rzeźkie takty wybija nogą,
Z pod sutych skrętów siwego wąsa
Mruczy piosenkę — snadź dusza rada —
Głowę zarzuca, brodą potrząsa,
I ręce pysznie za pas zakłada.

W dzielnym narodzie, wiedzą to starzy,
Że być powinni wzorem młodzieży;
I znają dobrze, co im do twarzy,
Co dostojności ich przynależy.
Czy kord bojowy, czy puhar w dłoni,
Starzec ochoczo réj u nas wiedzie;
Czy biesiadnicza muzyka dzwoni,
U nas starcowie zawsze po przedzie.

II.

Muzyka dzwoni, a młodzież hasa,
I najserdeczniéj szumi zabawa;
Zagrzana tańcem dziewicza krasa
Jeszcze się bardziéj promienną zdawa,
I jeszcze ostrzéj do serca sięga
Grot pięknych oczek błyszczący jaśnie;
Furknie w powietrzu dziewczęcia wstęga,
Albo splot włosów po skroni głaśnie,
Taki dreszcz dziwny przejmie tancerza,
Że wrazby duszę oddał dziewczynie,
Krew mu do serca młotem uderza,
A głowa krąży jakby po winie.
Marcin Studzieński, tancerz ochoczy,
Do tańca córkę wiódł gospodarza:
Iskrą goreją młodzieńca oczy,
Iskra dziewczęce oczki rozżarza.
Gdyby nie hucznéj muzyki gwary,
Gdyby w podkówki tak nie grzmocono,
Możnaby słyszeć u pierwszéj pary,
Jak jednym taktem uderza łono;

Lecz choć nie słychać nic za łoskotem,
Łatwo odgadnąć, nie myśląc wiele, —
Stare matrony już szepcą o tém:
„Będzie wesele.“

III.

Będzie... nie będzie... na dwoje wróży
Babka wróżbiarka, śledząc z ukradka;
Bo coś pan ojciec oblicze chmurzy,
A niespokojna coś pani matka,
I pan wójt miejski nachmurzył lica,
Zwrócił ku ojcu wzrok zagniewany:
—„Po cóż ci było wwodzić szlachcica
„Między mieszczany?“

—„Żem go wprowadził—niewielka rzecz!
„Jak sobie przyszedł, tak pójdzie precz,
„Jeżeli szlachcic, stąpając z góry,
„Zechce nam miejskie uwodzić córy!
„Niechaj się każdy dzierży swych granic,
„Nam ich wielmożność nie zda się na nic.
„Ważność mi wielka! koń i szabelka,
„Pustka w kieszeni i harda postać!
„Sławetna miasta obywatelka
„Żoną szlachcica nie może zostać!
„Niech się tak bardzo z nami nie kuma,
„My się na łasce szlacheckiéj znamy;
„U nas jest nasza mieszczańska duma,
„Z łokcia i szali, z handlu i kramy.“
Tak mówił z gniewem Stefan Kotwica,

Trafił mieszczanom w stronę pochlebczą,
I pan wójt miejski zachmurzył lica,
I na młodego zucha szlachcica
Już zmowę szepczą.

IV.

Marcin Studzieński nie wie o zmowie,
Nie zważa na nic i na nikogo;
A taniec idzie, grzmocą grajkowie,
A on zajęty Maryą drogą.
Na wypoczynek usiada przy niéj,
I tysiąc grzecznych przymileń czyni,
Pieści jéj rączkę, szepce do ucha,
A głos ma drżący — braknie mu słów...
A ona rada, śmieje się, słucha,
Ochłodzi oddech — i w taniec znów.

V.

Na półzegarzu już po północy,
Już słychać nocne wołanie stróży,
Już w muzykantach nie stało mocy,
Już i do tańca siła nie służy.
Ucichły huczne skrzypce i kotły,
Tłum się zamieszał po izbie całéj;
Już się tancerzów ręce rozplotły,
Już się zmęczone nogi zachwiały;
I u pań mieszczek złociste czepce
Już po szklanicy na bakier głowa,
Jedna do drugiéj po cichu szepce:

—„Już czas do domu, pani majstrowa!“
Beczułka wina jedna i druga
Już pustym dźwiękiem na *finis* dzwoni;
Niejeden mdławo oczami mruga
I srebrny puhar wypuszcza z dłoni.
—„No, gospodarzu! żegnać cię trzeba!
„Dałeś nam hojnie i pić, i jeść,
„Dałeś nam soli, dałeś nam chleba,
„Dałeś nam wina, dałeś nam cześć.“

VI.

Goście żegnają pana Kotwicę
I opuszczają gościnne progi.
Tłum panów mieszczan poszedł w ulicę,
Choć nie każdemu posłuszne nogi.
Słychać w ulicy pochmielne gwary,
Lub głos piosenki ostry a twardy;
Niech sobie zrzędzi stróż miejski stary,
Niestraszne groźby ni halabardy!
—„Czyż człek w ulicy krzyczeć nie może,
„Gdy sobie podpił, kiedy go stanie?
„Czy my włóczęgi jakie broń Boże?
„Tutejsi kupcy, albo mieszczanie.
„Pachołek miejski! żartuj zdrów, bracie!“
Tak stroją śmieszki z nocnego stróża.
A w gospodarskiéj pustéj komnacie
Została gości garstka nieduża:
Został wójt miasta i dwaj ławnicy
Z siwemi brody, z siwemi głowy,
Czterech przyjaciół pana Kotwicy,

I magdeburski pisarz sądowy;
Sama starszyzna — same sensaty —
Znaczno po wąsach, co jeżą srogo...
A w oddalonym końcu komnaty
Pozostał rycerz ze swą niebogą.
Czegoś tam w tańcu nie dogadali,
Nie dokończyli jakiejś chychotki,
Więc od starszyzny siedli w oddali
I wiodą z sobą rozhowor słodki, —
Rozhowor słodki, pusty, dziecinny,
Bez ładu, składu, jakby w podchmieli;
Gdyby go z boku słyszał kto inny,
Mógłby powiedzieć, że poszaleli.
Spytaj się u nich, gadali o czém?
To żadne z dwojga samo nie powie.
—„Ot my gwarzymy, ot my chychoczem,
„Bo nam tak dobrze na téj rozmowie."
Dobrze wam społem?... strzeżcie się młodzi!
Starsi inaczéj widzą te rzeczy.
Pan wójt coś groźnie oczami wodzi,
Pan ławnik szepce i ręką przeczy,
Pan pisarz miejski nie kończy kwarty,
A pan Kotwica czoło zachmurza.
To zły prognostyk, nie żadne żarty,
Ej, będzie burza!

VII.

—„Panie szlachcicu! panie Marcinie!—
Zawołał burmistrz najpierwszy w radzie:—
„Czy znasz przysłowie: że zła nie minie,
„Kto między szparę w drzwi rękę kładzie?

„Czy znasz przysłowie sowy i kruka?
„Proszę na bacznym chować je względzie.
„Niech sobie równy równego szuka;
„Czém czart nie orał, tém siać nie będzie,
„A to się znaczy, że my, choć prości,
„Choć naszych przodków szereg niedługi,
„Mieszczanie Jego Królewskiéj Mości,
„Tacyśmy dobrzy, jak i kto drugi.
„A może lepsi... Co to?... na świecie
„Nie ma szlachcianek, wojewodzianek,
„Że córki miejskie uwodzić chcecie?
„Dość tych chychotek i pogadanek!
„Ja wiem, szlachcicu, co tobie w głowie:
„Że się odurzy biedna niewiasta.
„Wara tych myśli! — ja ci to mówię,
„Wójt wileńskiego sławnego miasta.“

VIII.

Marcin Studzieński powstał zdumiony,
Krew mu do twarzy warem nabiegła.
Wtém pisarz miejski wpadł z drugiéj strony,
Groźny, jak Jowisz, krasny, jak cegła.
Szeroko o tém gadano w mieście,
Że k'pięknéj Maryi miał affekt rzewny;
Prawda, czy kłamstwo — kto to wie wreszcie?
Ale pan pisarz bardzo był gniewny.
Poprawia pasa, czupryne muska,
A pogładziwszy ręką po głowie,
Stylem statutu, po polsku z ruska,
Tak się odzowie:

—„Wszak król jegomość, Jagiełło stary,
„Dał nam statuta i pergaminy;
„Ktoby niedobre knował zamiary,
„Ma być ukaran wedle swéj winy.
„A waść kto taki. Hej, panie bracie,
„Co na nas wszystkich poglądasz z góry?
„Na miejskim gruncie, przy magistracie,
„Do córki miejskiéj stroisz konkury.
„Przecz się szlachcice tutaj panoszą
„Pustą kieszenią i tarczą biedną?
„Możesz tańcować, kiedy cię proszą,
„Ale nie z jedną!...
„Ale nie z jedną... bo to zniewaga.
„Patrz, jak mu piękne smakują lica!...
„To przyzwoitéj kary wymaga!
„Precz ztąd szlachcica!
„Precz ztąd szlachcica! wszyscyśmy równi,
„Nam nie potrzeba szlachty widoku!“

Pan Marcin k'miecza porwał się główni;
Pan pisarz szukał czegoś u boku.
Przyszłaby walka słowo po słowie,
Lecz pan Kotwica huknął, jak z beczki:
—„Co to się znaczy? Mości panowie!
„Wara w mym domu kłótnie i sprzeczki!
„Ja was prosiłem, panie Studzieński,
„Podzielać z nami chleb i zabawy,
„Bom siła liczył na wasz duch męzki,
„Bo byłem pewien, żeś rycerz prawy;
„A waść się znęcasz nad moim progiem,
„Czyhasz na cnotę mojego dziecka!
„Jakeś tu przyszedł, idź z Panem Bogiem!

„Nam niepotrzebna łaska szlachecka.
„Idź i nie wracaj—albo bądź gotów,
„Że cię niegrzecznie za drzwi wywiodę.
„Ty, panno córko!... dość tych zalotów,
„Bo cię zasadzę na chleb, na wodę."

IX.

Tak mówił stary groźnie i żwawo,
Aż mu źrenice iskrami gorą.
Marcin Studzieński z godną postawą
Poszedł ku niemu i rzekł z pokorą:
—„Sławetny rajco! nie w złym zamiarze
„Próg waszych komnat przestępowałem.
„Moje sumienie wyznać mi każe,
„Że waszą córkę kocham z zapałem.
„Chciałem odłożyć moje wyznanie,
„Aż przyjaźniejsza chwila posłuży;
„Lecz mnie zmuszacie... niech się więc stanie!...
„Żyć bez twéj córki nie mogę dłużéj.
„Rad, że rozmowa ku temu zmierza,
„A jéj sprzyjania pewien po trosze,
„Raczcie przebaczyć śmiałość żołnierza,
„Że o jéj rękę przy świadkach proszę."

X.

Podumał trochę Stefan Kotwica,
Spojrzał na wójta i resztę gości:
—„Nie, panie bracie!... nie chcę szlachcica,
„Nam nie potrzeba Waszéj Zacności.
„My się na zięcia takiego piszem,

„Co go zrodziła matka mieszczańska,
„Co byłby w handlu mym towarzyszem,
„Coby po towar jeździł do Gdańska,
„Coby miał grosza swego dostatek,
„Nie patrząc na to, co mu zostawię,
„A na ratuszu u sądu kratek
„Obok mnie zasiadł na rajców ławie.
„A waszmość szlachcic—herbu Gryf pono,
„Cóż mi z waszego Gryfa czy Smoka?
„Masz chudą szkapkę, szablę stępioną,
„Ot i dostojność wasza wysoka!
„Pójdziesz na wojnę, lub siądziesz w mieście
„Na teściowego kawałku chleba;
„Jeszczeby bracia rzekła nareszcie,
„Że mi szlacheckich związków potrzeba!
„A toż mi na co?—Nie, panie bracie!
„Nie waż mi więcéj wdzięczyć się do niéj!
„Lepszy cechowy przy swym warsztacie,
„Niż lichy szlachcic, co wiatry goni.“
—„Dobrze powiedział!... czyta jak z księgi!—
„Krzyknęli goście już podchmieleni.—
„Wiwat Kotwica! mieszczanin tęgi,
„Co tak dostojność mieszczańską ceni!“
Podano gościom miodu antały,
I rozpoczęto huczne wiwaty.
Żalem i wstydem przejęty cały,
Rycerz Studzieński wyszedł z komnaty.
Zarzucił rysią delię na szyję,
Hełmem płonące czoło osłania,
I na spłakaną w kącie Maryę
Rzucił bolesny wzrok pożegnania.

CZĘŚĆ DRUGA.

Obmurowanie Wilna.

I.

Stara stolica Gedyminowa,
Wilno, pieszczota pięknéj natury,
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry,
To kwiat, co w dzikiém zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasz urwisko,
Albo brniesz piaskiem drogą pochyłą,
Nigdybyś nie zgadł, że Wilno blizko,
Gdyby twe serce silniéj nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszéj wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma,
Co się ku miejscu świętemu zbliża.
Korne kolano samo się zgina,
Serce uderza tętnem żałoby;
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jéj proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili bogom ofiarne Znicze;
Tu Przenajświętszéj Panny oblicze
U bramy miejskiéj stoi na straży;
Tu Jagiellończyk, lilia dziewic,
Syn uświęcony litewskiéj matki,
Patron—przyczyńca, książę, królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,

Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych nie zabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starém
Pan różdżkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je głodem, morem, pożarem,
Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
To znów miłościw ku dzieciom swoim,
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie;
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza
I zbawcze myśli w serce monarsze.

II.

Tak wśród rozlicznych losów przemiany,
Wilno przetrwało drugie stulecie.
Gedymin pierwsze zasnował ściany,
Olgierd gród ojca kochał, jak dziecię;
Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
Bo czuwa nad niém łaska książęca,
Pogańskie czoło starego miasta
Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
I z wież kościelnych zagrały dzwony,
Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
A Pan Zastępów żegna z wysoka
Litwę, i Wilno, i Jagiellony.
A choć krzyżackie czasem znamiona
Zawiały tutaj w bojowym szyku, —
Polski i Litwy dłoń zespolona

Odparła Niemca aż do Baltyku.
Zaprzestał ufać w zdrad swoich dzieło,
Że nas wypleni, że kraj nam wydrze,
Gdy pod Grünwaldem Witold z Jagiełłą
Rogatą głowę strzaskali hydrze.
Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary
W sławę u ludzi, w łaskę u Boga;
Z Niemiec, od Rusi drużyna mnoga
Szła tu osiadać, kupczyć towary,
Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
I żyć pod prawem litewskiéj ziemi,
Co jéj kniaziowie dobrzy nadali.

III.

Co ojciec począł, to syn dokona,
Uzacni Wilno nad insze grody:
Książę Kazimierz, syn Jagiellona,
Dał przywileje, nowe swobody.
A kiedy ludzie zewsząd się garną,
Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
Książę napisał ustawę karną,
Aby bezpieczne były ich głowy.
Dzieło ojcowskie umocnił jeszcze
Kniaź Aleksander prawy nowemi,
Tylko postrachy jakieś złowieszcze
Krążyć poczęły w litewskiéj ziemi:
Że się odgraża kniaź Michał Gliński,
Na Illiniczów coś w sercu knowa,
Że ma ich bronić pan Zabrzeziński,
I buchnie w kraju wojna domowa.

A z drugiéj strony, tam od Podola,
Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie;
Rycerz w zbroicy dostoi pola,
Ale z bezbronném miastem co będzie?
Póki mieszkańców było w niém mało,
Za mur starczyły piersi waleczne;
Dziś już ceglane mury konieczne,
Baszty i bramy mieć już przystało.
By nieprzyjaciel nie wszedł tak łatwo,
Opasać murem konieczność zmusza:
Świątynie Pańskie, ściany ratusza,
Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,
To, co najświętsze dla duszy człeka,
Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
Gdzie go otacza prawa opieka,
Gdzie ma wytchnienie przy swéj rodzinie.
Może wróg przypaść niespodziewany,
Spali, zbezcześci i pozarzyna;
Więc rada w radę, pany, mieszczany:
Opasać murem gród Gedymina,
I z pięciu krańców, z pięciu stron świata,
Gdzie pięć dróg wielkich w mieście się schodzi,
Niech z baszty sterczy grożna armata,
By wstrzymać wylew wrogów powodzi.

IV.

U nas wiadomo z ojców przykładu,
Że gdzie potrzebny środek ochrończy,
Tam gadu, gadu, a nie masz ładu,
Do dnia sądnego rzecz się nie skończy,

Aż myśl ognista, jak promień słońca,
Ku celom bożym powoła rzesze,
Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
Z zimnego głazu iskrę wykrzesze,
Aż gorejące natchnieniem słowo
Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową
I sercu czynem zakipieć każe.
Wtedy na Litwie żyć już nie szkoda,
Nowych w jéj dziatwie dojrzysz przymiotów,
I ład się znajdzie, i święta zgoda,
I duch do ofiar gorących gotów.
Litwin zapomni uraz uprzejmie,
Pójdzie choć w ogień w najlepszéj chęci,
Kęs chleba sobie od ust odejmie
I krwi ostatnią kroplę poświęci.

V.

Taką ognistość w myśli i słowie,
Taki we wzroku zapał zwycięzki,
Taką potęgę, co k'czynom zowie,
Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.
On, jako niegdyś Stanisław święty,
Królom i panom nadstawiał czoła;
Jak Oleśnicki równie był zdjęty
Miłością kraju i czcią kościoła.
Wedle pasterzy dobrych zwyczaju,
Po Chrystowemu do serca garnie
I wierne owce swojéj owczarnie,
I wszystek naród swojego kraju.
On za ich sprawę stawił się śmiało,
Jak mu kapłańskie każe sumienie,

Chociażby za to spotkać go miało
Prześladowanie lub umęczenie.
On Aleksandra Jagiełły głowę
Uwieńczył książąt litewskich mitrą;
On wzmocnił z Polską przymierze nowe,
Przeniknął wrogów zasadzkę chytrą.
Za jego wpływem polska korona
Na Aleksandra błysnęła czele;
A jednak późniéj nieprzyjaciele
Wyzuli starca z pańskiego łona.
Król się nań gniewem srogim obrusza,
Zamyka przed nim wejście senatu,
Że chrześciańska Wojciecha dusza
Za lud się wstawia do majestatu,
Że ze swojego wręcz stanowiska
Śmiał mu przypomnieć kraju ustawy,
Śmiał głośno wołać, że lud uciska
Gliński — powiernik króla nieprawy.
Lecz się kapłańskie nie zlękło serce:
Wojciech przed sejmem stanął raz drugi,
I śmiało palcem wskazuje zdzierce,
Słabego pana zdradliwe sługi.
Stawi jak pasterz groźne oblicze,
Jako poddany przed tronem klęka,
Ażeby tylko królewska ręka
Ze szpon Glińskiego wydarła bicze.
Nic nie pomogła szlachetna praca,
Uwiedli króla chytrzy zbrodniarze;
Król od Wojciecha oczy odwraca,
I z przed oblicza odejść mu każe.
I gdyby wkrótce nie śmierci prawa,
Co Bóg na króla przedwcześnie zsyła,

Może drugiego krew Stanisława
Kartęby dziejów naszych splamiła.
O zacną głowę obrońcy swego
Litwini drżeli po całym kraju:
Król nie ma serca karcić Glińskiego,
Gliński przebaczać nie ma zwyczaju.

VI.

Jeszcze za czasów łaski królewskiéj,
Błagał go Wojciech z radnemi pany,
Aby gród święty, gród nasz litewski,
Był krzepką ścianą obmurowany.
Król podskarbiego przyzwał ku radzie,
A rozważywszy środki i cele,
Rzekł, że murować przeszkód nie kładzie,
Ale dziś w skarbie grosza niewiele,
Że to niepilna jeszcze robota,
Że co ma stać się, późniéj się stanie.
—„Nie, miłościwy królu i panie!
„Do Litwy zewsząd otwarte wrota:
„Tatarzyn goni wiatr w Ukrainie,
„Wielki kniaź Moskwy z wami w rozterce;
„Gdy niespodziana chmura napłynie,
„Gdy piorun w Litwy ugodzi serce,
„Nie pora będzie murować bramy,
„Gdy przyjdzie późno płakać nad stratą.
„Jeżeli w skarbie grosza nie mamy,
„Serca litewskie dał Bóg nam za to!
„Serca ochocze, wierne krajowi,
„Swojemu miastu i chwale bożéj;
„Każdy z nas znajdzie drobny grosz wdowi,

„Co na ofiarę ojczyzny złoży.
„Dłonią ubogą, dłonią bogatą,
„Jako kto może, niech się przyczyni.
„Ja całe mienie poświęcam na to,
„Mnie dopomogą wszyscy Litwini!“
—„Wszyscy Litwini!—zgoda, tak zgoda!
„Niech każdy wzniesie muru kawałek!“—
Mówił wileński pan wojewoda,
Mówił litewski wielki marszałek,
Żmudzki starosta, kanclerz litewski,
Wszyscy wołali jednym wyrazem,
Jak gdyby płomień z iskry niebieskiéj
We wszystkich sercach wybuchnął razem.

VII.

Wojewodowie, i kasztelany,
I wszystek senat litewskiéj ziemi,
Rzucają pieniądz garśćmi pełnemi,
Warować miasto tworzą już plany.
Czy który więcéj, czy mniéj bogaty,
Jeden przed drugim pośpiesza z darem,
I Jagiellońskie w zamku komnaty
Kipią zapału świętym rozgwarem.
Już Wojciech Tabor nie wyrzekł słowa,
Przeżegnał złoto z modlitwą tkliwą,
I łza gorąca, dyamentowa,
Spadła na jego brodę sędziwą.
Zebrawszy pieniądz porozrzucany,
Głosem natchnienia wyrzekł dostojnie:
—„O! krzepkie będą baszty i ściany,
„Bo miłość kraju nada im spojnię.“

VIII.

I stał się rozgłos między mieszczany,
Co senatorstwo na zamku czyni:
—„A my któż tacy? to nie Litwini,
„Że lud do składki niepowołany?
„Tu idzie sprawa o naszą głowę,
„O bezpieczeństwo chat i ratusza,
„Gdzie przywileje pergaminowe,
„Gdzie naszych swobód złożona dusza!
„Na nasby spadły krajowe klęski,
„Starzec, niewiasta, dziecię przypłaci!“
Tak na ratuszu wołał do braci
Pan Otoczeńko, burmistrz wileński.
Pan rajca miejski, Stefan Kotwica,
Między swoimi głowa nielada,
Obywatelski zapał podsyca,
I tak powiada:

IX.

—„Dom mój ubogi, nawet drewniany,
„Ale mam w sklepie wiele towarów;
„Wolę coś stracić na miejskie ściany,
„Niż stracić wszystko z łaski Tatarów.
„Zbierałem grosze w ciężkim mozole,
„Bo nie tak łatwo teraz o złoto;
„Jednak na waszym radzieckim stole
„Dwie kopy groszy składam z ochotą.“
Pan pisarz miejski, człowiek z natury
Do dobrych czynów chętny i łatwy,

Dał kopę groszy na miejskie mury,
Dla bezpieczeństwa swéj przyszłéj dziatwy.
Bo choć był człekiem nie pierwszéj wiosny,
Siwiał przy aktach miejskiéj ławicy,
Jednak na córkę pana Kotwicy
Zawsze poglądał wielce miłośnie.
Tak jeden, drugi, wielcy i mali,
Skąpi i szczodrzy—z ochotą miłą
Złotem radziecki stół zasypali,
Bo o powszechną sprawę chodziło.
Bo gdzie zagraża krajowa bieda,
Tam są Litwini zawsze bogaci:
Panom się nędzarz wyprzedzić nie da,
Kto krwi nie leje—to groszem płaci;
Pomny, co zawżdy od kraju bierze,
Wszystko krajowi składa w ofierze.

X.

Stało się tedy — pieniądz już gotów,
Kupiono cegieł, kamieni, chleba;
Lecz nim do kielni, lecz nim do młotów,
Wprzód do modlitwy udać się trzeba.
Bóg, po ojcowsku patrzący z góry,
Ludzkim starunkom zsyła pomoce,
Ukrzepia w grodach bramy i mury,
Wiekową twardość daje opoce,
Daje natchnienie planów osnowie,
Obronnym basztom kształtuje czoło,
Robotnikowi umacnia zdrowie,
Nawiedza w pracy myślą wesołą.

XI.

Od Boga zbożne dzieło poczęto,
Król je od siebie jeszcze uświetnia,
I wielkie było na Litwie święto.
W dzień Wojciechowy, przy końcu kwietnia,
W rozkwitającéj wiosny poranek,
Piękna na niebie była pogoda;
Przed katedralny w Wilnie krużganek
Lud się litewski cisnął, jak woda,
Kolebki panów i same pany,
Szlachta, mieszczanie, wszyscy w natłoku,
Każdy w świąteczny ubiór przybrany,
A z uroczystym wyrazem w oku.
Tłum różnobarwny, gwarny, wesoły,
Po katedralnym placu się błąka;
Rzekłbyś, słuchając, że huczą pszczoły,
Rzekłbyś, patrzając, że kwitnie łąka.
Rzuć tylko okiem, jak tłum się mnoży,
Jakiém wrą życiem starzy i młodzi,
A łacno zgadniesz, że to lud boży
Jakieś krajowe święto obchodzi.

XII.

Drzwi się otwarły. Pod baldachinem
Dały się widzieć dwa jasne czoła:
Pasterz z monarchą, jak ojciec z synem,
Z katedralnego wyszli kościoła.
Tabor schylony i siwobrody
Niesie krzyż Pański dłońmi drżącemi;

Król Aleksander, choć jeszcze młody,
Coś bolejąco patrzy ku ziemi.
Wiedzie pod rękę starca pasterza
I jasną brodę lewicą głaska;
Lecz chorowita na twarzy kraska
Wszystkich boleśnie w oczy uderza.
— „Gasną powoli Jagiellonowie,
„Lach nas zagarnia więcéj a więcéj.
„Kto wie! czy długo kołpak książęcy
„Na téj schorzałéj zostanie głowie!“
Taki gdzie niegdzie szmer przytłumiony
Między wileńskim ludem się szerzy;
Ale tymczasem zagrzmiały dzwony
Ze starożytnéj Krywejtów wieży,
Słychać śpiewanie, tłum coraz wzrasta,
Dzwony wstrząsają stolicą naszą,
A pochód idzie w około miasta
Tak, jak je murem wkrótce opaszą.

XIII.

Naprzód na czarnych koniach trębacze
Grają sygnały, wydąwszy twarze;
Potém nadworna chorągiew skacze,
A święty Krzysztof na jéj sztandarze.
Daléj, ubrany w żupan bogaty,
Wielki marszałek, z laską swéj cześci,
Wiedzie za sobą wszystkie powiaty,
Ile ich ziemia litewska mieści.
Szlachcic, jak Centaur wrosły do siodła,
Jakby żelazny, zakuty w zbroi,
Pod powiatowym sztandarem stoi.

A każdy sztandar insze ma godła:
Tam dziarska Pogoń nad szlachtą wieje,
Tam święty Michał wojuje smoka,
Ówdzie Anioła postać wysoka;
Tam Żubr barczysty z grodzieńskiéj knieje,
Ówdzie Opatrzność, ówdzie pęk kluczy.
Dobrze te godła znają sąsiady!
Gdzie Pogoń skoczy, gdzie Żubr zamruczy,
Gdzie Anioł skinie mieczem zagłady,
Tam nieprzyjaciel uciekać musi,
Jakby powietrze spotkał morowe.
O pierś skalistą Litwy i Rusi
Niejedno plemię strzaskało głowę!

XIV.

Za powiatami, pamięć ich chwały,
Idzie Witolda działo armatnie,
I sztandar stary a wypłowiały,
Po bohaterze godło ostatnie.
Dwanaście koni, z strusiemi kity,
Obwozi działo na podziw miastu;
A stary sztandar, ledwo rozwity,
Niesie kolejno mężów dwunastu.
Na święte szczątki patrzą ciekawi
I proszą w duchu o łaskę bożą:
„Kiedyż się drugi Witold nam zjawi,
„Gdy Tatarowie Wilnu zagrożą?!“

XV.

Po za armatą, po za sztandarem,
Pergaminową księgę niesiono;

I szedł wójt miasta za prawem starém,
Za nim ławników i rajców grono.
Za radą miejską—wpośród kapeli,
Pogoń litewską niesiono w górze,
Po za Pogonią szykiem stanęli
Strzelcy nadworni, jéj wierni stróże.
Potém kapłani — wszyscy po parze,
Śpiewając hymny i wznosząc modły,
Potém król, pasterz i dygnitarze,
A tłumy ludu z dala ich wiodły.

XVI.

Wietrze litewski! gdybyś te gwary
Zdołał pochwycić w jedną osnowę,
I świętym hymnem przeszłości staréj
Zawiać nam w piersi, orzeźwić głowę!
Gdybyś te dzwony, śpiewy, okrzyki,
Rozniósł po Litwie na wszystkie strony,
A potém zawiał—gdzieś na step dziki,
By je usłyszał Tatar spłoszony:
Że nie struchleje przy krymskim hanie
Nasza stolica wielko-książęca,
Że mur obronny, co tutaj stanie,
Naród buduje, a król poświęca...
Że pasterz Pański, przodkując rzeszy,
Natchnione z Nieba słowa ogłasza,
A lud je słuchać skwapliwie śpieszy,
Że tu jest niczém potęga wasza!
Pędź już na Litwę, hordo zbójecka,
Puszczaj zagony z blizka, z daleka!

Wkrótce dolecisz na pola Klecka,
Gdzie anioł pomsty z mieczem cię czeka!

XVII.

Fundament muru już okopany,
Okop na baszty już oznaczony;
Sędziwy biskup poświęca ściany,
Błaga nad niemi bożéj obrony.
A chór kapłanów, w pięknéj gromadzie,
Do każdéj bramy z królem się zbliża,
Pod każdą basztę fundament kładzie
I żegna kamień znamieniem krzyża.
Pasterz kraj żegna życzliwą dłonią
Na cztery strony bożego świata;
A lud się modli, a dzwony dzwonią,
A z wałów zamku grzmoce armata.

XVIII.

Tak kiedy przeszli kres obwodowy,
Cały się pochód pod ratusz zwraca;
I Wojciech Tabor śpiewa hymn nowy,
Aby szczęśliwie wiodła się praca.
Kiedy wezwano Świętego Ducha,
Zadrżały ściany grodu Jagiełły,
I Witoldowskie działa ryknęły,
I w serce Litwy weszła otucha:
Że przez te murów święconych głazy
Nie przejdzie żadna do miasta klęska,
Ani morowéj powiew zarazy,
Ani Tatarów stopa zwycięzka.

XIX.

O! nieraz przeszły przez miejskie bramy
I krwawa wojna, i mór wybladły;
Bo w sercu Litwy duch nie ten samy,
Bo na kościołach krzyże opadły.
Ale nad jedną basztą obronną
Musiał się Tabor modlić najdłużéj;
Bo jego modła była niepłonną,
Bo dziś ta baszta za twierdzę służy!
Twierdza to święta, twierdza potężna,
Któréj piekielna siła nie złamie:
Bo tam króluje litewska księżna—
Bogarodzica na Ostréj Bramie!
Tam codzień ucho łaskawe daje
Na swych poddanych korne pacierze,
I Palemona szerokie kraje
Od głodu, moru i wojny strzeże.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tatarowie pod Kleckiem.

I.

Wiatr ciągle wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie;
Z wiatrem zaraza wioski wyludnia,
Wiatr piorunowe obłoki niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwéj,

Po nad miastami wicher się kręci,
Grady żną kłosy dojrzałéj niwy
I szarpią kwiaty na sianożęci.

II.

To nie wiatr wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie,
To nie zaraza wioski wyludnia:
To Tatar nóż swój morderczy niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwéj
To nie huragan szalony hasa:
Tatar pustoszy złociste niwy,
Tatar kwieciste łąki wypasa.
Ludzka się praca w niwecz obraca,
Krew chrześciańska płynie jak fala,
Codzień a codzień smolna pochodnia
Insze słomiane dachy zapala.
Daléj a daléj chmura się wali,
Wiatr ją zaledwie wyprzedzić zdoła:
Gwizdnie na dachy biednego sioła,
Aby się ludzie w lasy chowali;
Gwizdnie, uderzy o baszty wieży,
Ażeby strzelbę miano w odwodzie,
Sygnał baczności da dla rycerzy,
A serce niewiast strachem przebodzie.
Daremna, wietrze, twoja usługa!
Zaledwie kmiotek przestrogę zgadnie,
Zaledwie woły wyprzągnął z pługa,
Już go tatarska horda opadnie.
Jaskółki skore niezawsze w porę
Zdołają zemknąć z strzechy rolnika;

Szczęka krzesiwo i strzecha gore,
I dym, i płomień odlot zamyka,
I ginie ptaszę.
Ledwie w poddasze
Zawionie, wietrze, twoja przestroga,
Zaledwie rycerz pałasz przypasze,
Już go krępują powrozy wroga.
Ledwie niewiasta, wieścią strwożona,
Zdoła wykrzyknąć, włożyć krzyż Pański
Na biedne czoło, piersi, ramiona,
A już ją wloką w jassyr pogański.
Próżno rycerstwo po stepie hasa,
Zbiera podsłuchy, śledzi oczyma,
Z gór się przygląda, tropi wśród lasa:
Wczoraj tu byli, a dzisiaj niéma.
Tatar co chwila szlaki omyla,
Z każdéj przystani albo noclega,
Albo rozsypką czwałuje szybko,
To w niezliczony hufiec się zbiega.
Lecą, jak leci szarańcza mnoga,
Z kraju do kraju, z niwy na niwę,
Za hordą ślady — krew i pożoga,
Przed hordą gońce — wieści trwożliwe.

III.

Król Aleksander, złożon niemocą,
Do snu wiecznego ma zamknąć oczy.
Wtém jeden goniec przyleciał nocą,
Że już Podole we krwi się broczy;
Przyleciał drugi od Ukrainy
Z wieścią o wojsku nieprzyjaciela,

Że Achmet Gerej ze swemi syny
Na cztery części hordę rozdziela:
Jedna część w środek litewskiéj Rusi
Pod starą Mińska poszła warownię;
Druga w Polesiu plondrować musi,
Do twierdzy słuckiéj drze się gwałtownie;
A trzecia, pewna dobrego skutku,
Poszła na Połock z tysiącem koni;
A czwarta horda już w Nowogródku,
Którego Gasztołd walecznie broni.
Przyleciał goniec trzeci i czwarty,
A wszyscy bladzi i przerażeni;
Bo pożar wszędzie już rozpostarty,
Bo Litwa gore w dziesięć płomieni.
Struchlało Wilno. Radni panowie
Do boku króla zbiegli się trwożnie.
Król konający odzyskał zdrowie,
Swoją powinność uczuł pobożnie.
Próżno królowa do stóp się ściele,
Próżno się senat odradzić stara:
Król chce sam stanąć na wojska czele,
Chrobre rycerstwo wieść na Tatara.
Rada senatu długo się wlecze,
Lecz od zamiaru go nie odwiodła.
Młodzież rycerska brząknęła w miecze,
Przywdziała zbroje i konie siodła.
Kniaź Gliński wodzem! a każdy z panów
Gotuje hufce swoich żołnierzy.
Skreślono kartę wojennych planów:
Kto, dokąd pójdzie i jak uderzy?
Już nie pochmurne myślmi trwożnemi,
Ale zapałem błysnęły czoła:

Święte kochanie rodzinnéj ziemi
Swych bohaterów do czynu woła,
I lecą z miasta oddziały chyże
Stawić wrogowi rękę odporną.
Szczęsny Illinicz, hrabia na Mirze,
Powiódł chorągiew pierwszą nadworną.
Spłonęły jego włości bogate,
Wróg nie przepuścił żadnemu siołu:
Hrabia pośpiesza dać mu odpłatę
Jeszcze na świeżym stosie popiołu,
Odbić z niewoli niewiasty, dzieci,
Wzmocnić na duchu tych, co upadli,
I w ciepłéj jeszcze krwi swoich kmieci
Miecz zahartować, by rąbał zjadléj.

IV.

Sprawa ojczysta, sprawa wiadoma:
Syn winien czuwać, gdy cierpi matka;
Gdy idą bracia, wstyd zostać doma,
Albo oszczędzać krwi swéj ostatka!
Ze śmiałą głową, z duszą gotową,
Trzeba iść dla niéj na śmierć i klęski;
Więc pod chorągiew Illiniczową
Stawił się rycerz, *Marcin Studzieński.*

V.

Jutro o świcie wojsko wyruszy,
Wygnać z pod Mira nieprzyjaciela.
Do bolejącéj kochanka duszy
Zajrzał jaśniejszy promyk wesela:

Bo zawżdy serce zbywa kamienia,
Gdy powinności przed oczy staną;
Święty ich rozkaz wyrwał z uśpienia
Pana Marcina myśl rozkochaną.
Nie czas o pięknéj myśleć Maryi,
Albo rozważać, że serce boli,
Gdy na schylonéj braterskiéj szyi
Ciąży haniebny powróz niewoli.
Więc rzekł do siebie:—„Miecza nie złożę,
„Póki Tatarzyn w Litwie zostanie!
„Mogliby miasto napaść, broń Boże!
„Och! a w tém mieście moje kochanie.
„Héj na Tatary, moja szabelko!
„Mój siwy koniu, do mnie, co żywo!
„Mamy przed sobą drogę tak wielką,
„Szerokie pole i piękne żniwo!
„Do mnie, stalowa przyłbico stara!
„Do mnie, mój piękny rycerski pasie!
„Kiedy powrócę, zbiwszy Tatara,
„Może pan ojciec ubłagać da się...“
W takich nadziejach serce skąpawszy,
Westchnął modlitwą, pomyślał o niéj,
Uronił łezkę, — weselszy, żwawszy,
Już śni, jak w polu Tatary goni.

VI.

Piękny poranek na niebie świta,
Rzeźwo tchnie wietrzyk w cieniu gaika;
Młoda niewiasta, płaszczem okryta,
Z murów się miejskich z wolna wymyka,

W około siebie patrzy nieśmiało,
I czegoś słucha, na kogoś czeka.
Wtém za gaikiem coś zatętniało,
I konny rycerz pędzi z daleka.
Przybiegł i dziarsko zeskoczył z siodła,
Podali sobie ręce oboje;
Niewiasta miłém okiem obwiodła
Jego sowito błyszczącą zbroję,
I białą rączką konia popieści,
Gęstą zasłonę z twarzy odwinie,
I rzecze głosem cichéj boleści:
—„Już nas odjeżdżasz, panie Marcinie!“
To była Marya—pierwszy raz w życiu
Przyszła w ten piękny lasek przy drodze,
Z domu rodziców wyszła w ukryciu,—
Ach! bo też ciężko było niebodze!
Chciała zobaczyć swego młodziana,
Na pożegnanie rzec mu: „Szczęść Boże!“
Chciała powiedzieć, że żadna zmiana
Nigdy w jéj sercu postać nie może...
A przecięż milczy, jakby się sroma,
Jak gdyby sama z siebie nierada;
Stoi niepewna i nieruchoma,
Na oczach uśmiech, a twarz jéj blada.
Tak, gdy się grzmiące chmurzysko sunie,
Płynie po przedzie obłoczek bladszy,
Nim łzawym deszczem na ziemię lunie,
Najprzód się w jasne słoneczko patrzy,
To się w cień schowa, to wymknie z cieni,
To pobladnieje, to zarumieni.
Rycerz przywiązał konia do brzozki,
Tarczę przewiesił na siodła łęku,

Wbił w ziemię ciężki oszczep dziadowski
I rysią skórę zwiesił na ręku.

VII.

Piękni w téj chwili byli oboje.
Ona do niego troskliwie rzekła:
— „Panie Marcinie! och! ja się boję!
„Chociaż całego stal cię oblekła.
„Czyż twoja pawęż dosyć jest zwinna?
„I czy twój pancerz dosyć jest gruby?
„Przebacz, żem śmiała, żem tak dziecinna,
„Ale się lękam twojéj zaguby.
„Twojéj zaguby... nie, to nad siły,
„Nie mogę myśleć o twoim grobie!
„Ciebieby w boju wrogi zabiły,
„Mnieby zabiła tęskność po tobie.
„Panie Marcinie! wracaj niebożę,
„A pierś sklepiście okrywaj zbroją.
„Rodzice moi zgodzą się może,
„Będę szczęśliwą — bo będę twoją.“
— „Maryo dobra! — rycerz odpowie —
„Pancerz mój twardy, miecz mój niekruchy;
„Niosę me życie, niosę me zdrowie,
„Alem najlepszéj pełen otuchy.
„Gdy syn kościoła walczy z pogany,
„Nad głową jego anioł stróż lata,
„A jego piersi strzeże od rany
„Bogarodzicy promienna szata.
„Czuję, że w ostrzu mego brzeszczota
„Jest bezpieczeństwo i pomsta braci;
„Z tą myślą ręka potężniéj grzmota,

„A brzeszczot hartu swego nie traci.
„Nie zdoła przebić serca w mém łonie,
„Niech się Tatarzyn jak chce rozhula,
„Kiedy pomyślę, że ciebie bronię,
„Naszych kościołów, ludu i króla.
„Zdrową mi zostań! ja wrócę zdrowo,
„Może Bóg spełni nasze nadzieje:
„Zamiast pancerza szatę godową,
„Z łupów tatarskich szytą, przywdzieję;
„Pereł, brylantów, sznurek bogaty
„Twéj pięknéj twarzy blasku przyczyni;
„Z lamy złocistéj będą ornaty
„Do katedralnéj naszéj świątyni.
„Sam Wojciech Tabor, wielki mąż boży,
„Choć go nie bawią złota ponęty,
„Będzie wyglądał, jak jaki święty,
„Kiedy je włoży.
„Bywaj mi zdrowa! żywym zostanę,
„A nie zawstydzę mego oręża!"
I ucałował oczy spłakane,
I sam zapłakał... cichą łzą męża, —
I wskoczył na koń, i ręką skinął,
Och! bo się trudno rozstać z niebogą!
I koniem zręcznie w polu wywinął,
I pędem wiatru puścił się drogą.

VIII.

Ona została — z tłumionëm łkaniem,
W cichéj nadziei, w cichéj obawie;
Krzyż na powietrzu skreśliła za nim
I do modlitwy klękła na trawie.

Nie było zaklęć, ani rozpaczy,
Jeno kochanie, jeno tęsknota;
Bo rycerz wiedział, co słowo znaczy,
A więc mu zazdrość sercem nie miota.
I dziewic u nas serce dostojne, —
Choć o kochanka truchleje trwogą,
Nigdy nie rzekła: Nie jedź na wojnę,
Bo tam na wojnie zabić cię mogą!
Harcuje w polu młodzież pancerna,
Dziewice po niéj tęsknią kryjomu;
Została modła i pamięć wierna,
I tam w obozie, i tutaj w domu.

IX.

Na dzielnych koniach, w błyszczącéj stali,
Z iskrzącą bronią, z odwagą w oku,
Lidzkim gościńcem rycerstwo wali,
Na wpół przyćmione w pyłów obłoku.
Kniaź Michał Gliński z Wilna je wiedzie,
By w różne strony puścić gonitwy.
Chorego króla wiozą po przedzie:
Walczyć, lub umrzeć chce w pośród Litwy.
Porozsyłano królewskie wici
Do wszystkiéj szlachty litewskiéj rzeszy:
Kto jeno poczciw, niech oręż chwyci,
I na obronę ojczyzny śpieszy.
Rosną chorągwie obrońców wiary,
Litwa brzmi echem wojennej nóty;
Gliński rozesłał swoje rajtary,
Aby tatarskie zbadać obróty.

X.

Od Nowogródka wieść niezbyt trwożna:
Zbiega się szlachta, blizcy, dalecy,
Pan Marcin Gasztold czyni, co można,
Gromi Tatara z murów fortecy.
Pan Iwan Tryzna i pan Niemira
Biją ich w polu, po za murami;
Illinicz mści się za klęski Mira,
Gdzie wyginęli bezbronni sami.
Radziwiłłowi Nieśwież spalili,
Wioski spalili; lecz czynszownicy
Wnet siedli na koń, i w jednéj chwili
Łeb im strzaskali w Dorohowicy.
Na zamku słuckim dzielna niewiasta,
Wdowa po mężnym kniaziu Siemionie,
Stała w obronie swojego miasta,
Jako orlica w piskląt obronie.
Tam głowa rodu, mały kniaź Jerzy,
Pod okiem matki dziarsko się chowa;
Cóż jeśli Tatar z nienacka wbieży
I lube dziecię w więzy zakowa!?...
Lecz król i Gliński spokojni o nią,
Bo księztwo słuckie wojska ma dużo,
A bojarowie kniahini bronią,
Zaścianki szlachty wiernie jéj służą.
Sama kniahini sercem nietrwożna,
Na zamku armat, prochu dostatki;
Więc, co do Słucka, spuścić się można
Na wierność bojar i rozpacz matki.

XI.

Ale Glińskiego insze rajtary
Wpadły w sam środek tatarskiéj dziczy,
I bój był krwawy, mnogich bez miary
Tatarów zbito. Zamiast zdobyczy,
Przynieśli wodzom straszne trofeja:
Dziesięć głów wroga wbitych na dzidy,
I wieść straszliwą, że dzicz Gereja
We sześć tysięcy śpieszy do Lidy.

XII.

Padła jak piorun myśl bojaźliwa
O Jagiellońską latorośl drogą:
Na zamku lidzkim król dogorywa,
Na koń nie wsiądzie, porwać go mogą!
Więc rada w radę: kanclerz, Jan Łaski,
Jan Zabrzeziński i Jan Sobotka
Króla do miękkiéj kładą kolaski,
A Wojciech Tabor siadł z nim do środka,
Królowa u nóg, i do stolicy
Wyruszył pochód. Wszyscy truchleli.
Senatorowie, jako woźnicy,
Siedli na kozieł, cugle ujęli.
A król co chwila w boleściach stęka,
Marzy Tatarów, do broni woła.
Drżąca, troskliwa, a wierna ręka
Pot mu śmiertelny ociera z czoła.
Dwie doby jadąc noga za nogą,
Ledwie stanęli w wileńskiéj bramie;

Wszędzie wieśniactwo, przejęte trwogą,
Patrzy na pochód i ręce łamie.
Czapkę przed pańską schyla karocą
I do zamkniętych okien się kłania,
Uczuwa swoją dolę sierocą,
Bo pęknął puklerz, co ją osłania.
Stanęli wreszcie już w murach Wilna,
Lud się dowiedział, upadł w otusze,
Miasto zaległa cisza mogilna,
Mogilna trwoga zaległa dusze.
Każdy, kto może, umknąć się stara,
Każdy przedśmiertne mówi pacierze:
„Wybaw nas, Boże, z mocy Tatara!
„Brońcie głów naszych, dzielni rycerze!“

XIII.

Już Tatar w Lidzie — o milę w koło
Puszcza zagony na każdą stronę:
Czy dwór, czy kościół, czy ciche sioło,
Wszystko zniszczone, wszystko spalone;
Z lidzkiéj warowni widać pożary,
Słychać ich wrzaski, słychać płacz ludu:
„Boże zastępów! broń twojéj wiary!
Ześlij nad hufce anioła cudu!“
Polski ochotnik zbliża się z wolna,
Kłóci się w twierdzy szlachta gwałtowna;
Jeśli tak dłużéj, horda swawolna
Całą krainę z ziemią nam zrówna.

XIV.

Nakoniec jakoś zbiegło do Lidy
Rycerskiéj szlachty dziesięć tysięcy.
— „Héj! czas już zrzucić jarzmo ohydy!
„Czas do roboty wziąć się goręcéj!“ —
Krzyknął kniaź Gliński—i w jedną stronę
Wysłał pancernych zastęp niemały,
W drugą rajtary swe wyćwiczone,
W trzecią puszkarzów z dobremi działy.
I w Imię Boże począł się taniec.
Szlachta się bardziéj, bardziéj ośmiela,
Odetchnął nieco wiejski mieszkaniec,
Bo już obrońcę, bo ma mściciela.
Codzień przewagi nowe nad zgrają,
Polskiego męztwa nowe popisy,
Codziennie jeńców przyprowadzają,
Lub niosą głowy, wbite na spisy.
Nakoniec nocą, trzecią czy czwartą,
Chlubnym się plonem uwieńcza praca:
Mehmed Gereja z Lidy odparto,
Znów w nowogródzkie strony powraca.

XV.

Hejże ha za nim! — kręci się żmija
Nie prostą drogą, ale rozsypką, —
Niechaj nam sprzyja Jezus Marya!
Ścigać ich wszędzie, doganiać szybko!
Ale zbójectwo wichrem się błąka,
Błędnemi szlaki lecą jak wściekli,

Gdzie jest Ostaszyn, Cyryn, Połonka,
Byli — spalili i w lot uciekli.
Litwa ich tropi — horda zbójecka
Umie pogoni zmykać nielada;
Wreszcie przylata pod mury Klecka
I tam swój wielki tabór zakłada.
Tam krwawych łupów czyni podziały,
Z krwi myje ręce, umacnia siły,
Tam wszystkie hordy zebrać się miały,
Co w dziesięć szlaków Litwę niszczyły.

XVI.

Nad grzązkim stawem, dwoma obozy,
Synowie hana, dwóch mężnych braci,
Kując łańcuchy, wijąc powrozy,
Czekają Litwy w groźnéj postaci;
Ostrzą na głazach krzywe szabliska,
Sprawiają w łukach cięciwy, groty,
Czynią przechwałki i pośmiewiska,
I rozbijają białe namioty.
Białe namioty w polu rozbili,
Konie puścili na grzązką paszę,
Gdy niespodzianie, o rannéj chwili,
Nadbiegło chrobre rycerstwo nasze.
Najprzód Glińskiego rajtarya wpada,
Zabiera szatry w polu rzucone,
I, co się pasły, ich koni stada
Zgania tabunem na polską stronę.
Tatarzy szkodę odbijać lecą,
Wśród rozpaczliwych krzyków i wrzawy,
I hufiec pieszy, i konnych nieco,

Przez wrzącą rzeczkę bronią przeprawy.
Gdzie był bród płytki w miejscu piaszczystém,
Napięli łuki, puścili strzały;
Żelazne groty ze szczękiem, świstem,
W litewskie hufce, jak grad, leciały.
Tak, gdy niebaczny bartnik podrażni
Na rój lecące gromady pszczole,
Z brzękotem groźby i nieprzyjaźni
Tysiące żądeł twarz jego kole.
Celnie strzelają z łuków Tatarzy!
Strzał wyleciały mnogie tysiące,
Że za ich cieniem, jak mówią starzy,
Jakby za chmurą, skryło się słońce.
Niejednym pocisk przestrzelił głowę,
I niejednego powalił z siodła,
Strzała przebiła blachy stalowe,
Albo rumaka ciężko dobodła.
Litwa się cofa,—ale po chwili
Śmieléj się pocznie brać ku przeprawie;
Radziwiłłowscy z rusznic strzelili,
A broń to była nieznana prawie.
—„Héj w Imię Boże! przebrnąć te brody!"
A była gęsta zarośl u brzega;
Więc Litwa rąbie chrósty i kłody,
Rzuca do rzeki i po nich wbiega.
Gliński, jak orzeł, jak błyskawica,
Chróścianym mostem rzekę przebywa;
Na kark tatarski wpada konnica,
I rzeź nastaje krwawa, straszliwa:
Grzmot od wystrzałów, twardy zgrzyt blachy,
Tętnienie koni, rżenie, kurzawa,
Ciężkie w powietrzu mieczów zamachy.

Tam wódz rycerstwu ducha dodawa,
Tam konający: „Dobij mię!“ błaga,
A sznurem płynąc, warczy posoka.
Z piersi hordyńców pierzchła odwaga,
Proszą o wsparcie swego proroka.

XVII.

Pod kniaziem Glińskim konia zabito,
Ale się rumak nadarzył świeży,
Wskoczył nań:—„*Za mną!*“—grzmiące kopyto
Znów daje hasło, gdzie iść należy.
Wśród żądeł mieczów, strzał i bardyszy,
Kurz pokrył wojsku oczy i twarze;
A jednak widzi, a jednak słyszy,
Gdzie mu kniaź Gliński uderzyć każe.
Szlachta się waha, słabnie w natłoku,
Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła.
Wtém nowogródzka chorągiew z boku
Idzie na pomoc, jak miecz anioła.
Wściekły pohaniec znów ruszył w taniec,
Wzmógł się na siłach, tabór zamyka;
Ale grodzieńskich puszcz wychowaniec
Wziął go na oszczep, jak bierze dzika.
Mostem padł Tatar, zbity zwycięzko,
Konie swych jeźdźców dławią i tłoczą;
Chorągiew mińska wespół z grodzieńską
Po stosach trupów krąży ochoczo.

XVIII.

Lecz nowy sygnał do boju dzwoni,—
Nowy zasiłek pomocy bozkiéj: —

Hufiec koronny we trzysta koni,
Lekko, z hussarska, wiedzie Czarnkowski.
Z dala rozstawił hufce na górze,
Od trąb, od bębnów zagrzmiała niwa,
Aż wróg się zdumiał: wojsko tak duże
Zkąd na obronę Litwie przybywa?
Znowu Tatarzyn szyki rozeprze,
Chce się orzeźwić, a tu już zmierzcha;
Lecz sparł go Gliński przy rzece Ceprze,
Położył trupem—a reszta pierzcha.
Wrogów dwadzieścia padło tysięcy,
A któż policzy konie poległe?
A trzy tysiące tatarskich jeńcy
Przy murach Wilna dźwigało cegłę.
Uszli tatarscy obaj książęta
Przez grzązkie błota, przez ciemne lasy;
A Litwa długo ten dzień pamięta,
Pamiętać będzie na wieczne czasy!

XIX.

Od krwi wylanéj staw po za Kleckiem
Dziś *Krasnym-Stawem* naród nazywa;
Tarcze i hełmy z godłem zbojeckiém
Rolnik na polach dziś wyorywa;
A kurhan jeden, drugi i trzeci,
Kopcem tatarskim dotąd się zowie;
Idzie pamiątka z ojców na dzieci,
Że tu pobici są Tatarowie.
A choć od owéj wielkiéj zagłady
Cztery stulecia mija bez mała,
Dziś jeszcze mówią swym wnukom dziady

O wielkich czynach kniazia Michała.
Kniaź był wybawcą dla Litwy całéj,
Był bohaterem pomiędzy braćmi;
Któżby odgadnął, że blask swéj chwały
Podłém zabójstwem i zdradą zaćmi?

XX.

Modła serdeczna niebo przebija,
Ale wyroków zmienić nie zdoła.
Prosząc za lubym, tęskna Marya
Odwiedza święte progi kościoła.
Próżno bolesną dzieląc się troską,
Do krat pokuty uczęszcza rada;
Przed Zbawicielem i Matką Bozką
Stan swojéj duszy kornie spowiada.
Ale Niebiosa próżno zaklina:
Niebo nie chciało przyjąć ofiary,
Nie ocaliło zdrowia Marcina.
Podczas morderczéj bitwy z Tatary
Oszczep mongolski strzaskał mu ramię;
Strzała, puszczona z twardéj cięciwy,
Ostrym się grotem w piersiach załamie.
Rycerz się zachwiał,—padł jak nieżywy.
Wśród bojowiska nikt nań nie zważa;
Ledwie po bitwie, ciemną już nocą,
Jakieś życzliwe serce hussarza
Towarzyszowi przyszło z pomocą.
Ocalił brata, co, krwią oblany,
Już dogorywać w mdłości poczyna;
Omył, przewiązał, zasklepił rany,

Na tatarskiego wsadził mierzyna,
I zaprowadził na wieś poblizką,
I tam wypytał aż do ostatka:
—„Jak herb waszmościn? jakie nazwisko?
„W jakim powiecie ojciec i matka?“
—„Jestem Studzieński, Marcin mi imię,
„Gryf jest herbowym moim klejnotem.
„Ród mój w Poznańskiém bywał w estymie,
„Aleśmy jakoś zbiednieli potém.
„Ojciec i matka dawno już w grobie,
„A mnie tu nędza po świecie pędza;
„Ale jak mogę przypomnieć sobie,
„Że mam w Oszmianie krewnego księdza.
„Tam chciałbym dobrnąć, gdy będą siły;
„A jeśli umrę między obcemi,
„Wszakże tu kopać będą mogiły,—
„Będzie i dla mnie trzy łokcie ziemi!
„Umrzeć dla kraju, dla Pana Boga,
„Nie żal polskiemu bojownikowi!
„A już tam droga moja nieboga
„Zgadnie, żem umarł i pacierz zmówi.“

XXI.

—„Ej, bredzisz waszmość!—hussarz odpowie:—
„Rany waszmości goją się prawie;
„Za tydzień, drugi, da Pan Bóg zdrowie,
„Ja do Oszmiany sam cię dostawię.
„Moi rodzice żyją tam blizko;
„I ja mam krasny cel mych zalotów,
„A jak jéj imię, a jak nazwisko,
„Nie powiem waści, boś odbić gotów.“

Dzięki staraniom bratniéj opieki,
Od ran tatarskich boleść nie taka:
Marcin Studzieński, chory, kaleki,
Został pod Kleckiem w chacie wieśniaka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Zgon Wojciecha Tabora.

I.

Król Aleksander już w Wilnie złożył
Na łonie śmierci znękaną głowę;
Nawet téj pięknéj chwili nie dożył,
Aż mury miejskie były gotowe.
Postrach tatarski grzał do roboty,
By się zasłonić prędzéj od klęski;
Ale najwięcéj dawał ochoty
Wielki mąż boży, biskup wileński.
Grosz szczodrobliwy sypał w ofierze
Miłemu miastu w jego potrzebie,
Otworzył w wioskach mnogie śpichlerze
I robotników garnął do siebie.

II.

We dnie i w nocy zwożono cegły,—
Dźwigane ludu wielkiemi siły,
Już się w obronne ściany uległy,
Już się w wysokie baszty spiętrzyły.

A każda wieża głowę piętrzastą
Chlubnie podnosi na Litwę całą,
I Gedymina odwieczne miasto
Piękną a groźną postać przybrało.
Snadź duch Jagiełłów czuł radość nową,
Z wysokich niebios gdy spojrzał na nie;
Przez Gedymina pierś granitową
Przebiegło ciepło w zimnym kurhanie.
Do swéj wzniesiona już wysokości,
Kiedy ostatnia baszta stanęła,
Sędziwy biskup płakał z radości,
Widząc owoce swojego dzieła.
I drżące ręce wznosi ku ścianie,
I do modlitwy kolana chyli:
—„Teraz w pokoju puść mię już, Panie!
„Bo upragnionéj dożyłem chwili!
„Zabezpieczenie w potomne wieki
„Twojego ludu widzą me oczy;
„Niechże mur drugi, mur Twéj opieki,
„To chrześciańskie miasto otoczy.“

III.

Zatém rozkazał uderzyć w dzwony,
A krzyż Chrystusa niosąc po przedzie,
Ze wsi i z miasta lud zgromadzony
Dokoła murów z obrzędem wiedzie.
Pokrapia ściany święconą wodą,
Przy każdéj baszcie dłużéj przystanie,
A zacne dłonie wznosząc nad trzodą,
Z Miednickiéj bramy dał przeżegnanie.
Z uszanowaniem głowy uchyla,

Pada na klęczki orszak narodu.
Wielka to była a święta chwila
W życiu pasterza i w życiu grodu.

IV.

Och! bo chwil wielkich w życiu tak mało,
Radość bez ofiar stać się nie może:
Wkrótce stroskane Wilno płakało
Po swoim ojcu, po swym Taborze.
Złaman chorobą, pracą i laty,
Czuje, że stanął w wieczności progu.
Pójdźmy zobaczyć w jego komnaty,
Jak sprawiedliwy umiera w Bogu.

V.

Z białą, rzęsistą do pasa brodą,
Z obliczem pięknėm, suchėm, schorzałėm,
Siadł starzec w krześle. Czoło pogodą,
Oczy się jego iskrzą zapałem.
Habit świętego Franciszka gruby
Na zwiędłych członkach fałdami leży,
Bo Wojciech Tabor uczynił śluby
Dać się pochować w mniszéj odzieży.

Przy nim, oprawna w dębowe deski,
W mosiężne klamry, spoczywa księga:
To Pismo święte—pokarm niebieski,
Wierzącéj duszy moc i potęga.
Na starcu znaczne cierpień ostatki,
Lecz się już dusza Niebem nasyca;

Wyswobodzona z kościanéj klatki,
Chciałaby lecieć, jak gołębica,
W górę... wysoko!... i wnet uleci,
Lecz jeszcze miłość ku ziemi zowie:
Ojciec pożegnać musi swe dzieci,
Bo tu spłakani stoją synowie.

VI.

Najprzód król Zygmunt, wiedząc, że chory,
Chce uczcić starca ostatnie chwile:
Przysłał do niego swe senatory.
Pasterz ich przyjął, wysłuchał mile,
I głosem cichym, jako brzęk pszczoły,
Przemówił do nich w następne słowa:
—„Nie płaczcie waszmość, gdym ja wesoły,
„Nas nie rozdzieli deska grobowa;
„Jeśli oglądam Pańskie Oblicze,
„Jeśli wysokie Niebo posiędę,
„Wiecie, jak ziemi ojczystéj życzę,
„Tam modlitwami służyć jéj będę!
„Za króla, za was i za rycerze,
„Za stany miejskie, za stan poddańczy,
„Będę się modlił. Niech Bóg was strzeże
„Od głodu, moru, ognia, szarańczy:
„Niechaj wam Niebo męztwa przyczyni,
„Od pól oddala grady i susze!
„Będę strzegł Litwy, a wy, Litwini!,
„Módlcie się tutaj za grzeszną duszę!

VII.

Przeżegnał panów skostniałą ręką;
Wyszli ze łzami senatorowie.
Wszedł burmistrz miasta, pan Otoczeńko,
Padł na kolana i tak doń powie:
—„Panie! wy ojcem naszym jesteście!
„Tyleście miastu dali opieki!
„Raczcie zezwolić, by w naszém mieście
„Stanął tówj pomnik w potomne wieki!
„Niech go wyrobią nasi rzeźbiarze,
„Niech go wykują nasi kowale!
„A my, magistrat, jak dług nam każe,
„Sami ustawim na miejskim wale!“
—„Panie burmistrzu! praca za długa,
„Mnie za ten pomnik nie kupisz nieba.
„Jakaż tu była moja zasługa?
„Żem ja was kochał? bo tak potrzeba!
„Te wasze baszty, te wasze ściany,
„Ta łza, co u was w oczach się kręci,
„To będzie pomnik mój wykowany!
„On moją pamięć trwaléj uświęci!
„Czy nieprzyjaciel, czy czas go zburzy,
„Wy się nie leńcie kielni i młota.
„Niech waszéj głowy strzeże najdłużéj,
„Aby nie poszła marnie robota.
„W bramie Miednickiéj postawcie straże,
„A gdy zadzwonią, że już mnie niéma,
„Pierwszy, kto w niéj się jutro ukaże,
„Pięćset kop groszy niechaj otrzyma!
„Grosz na to w mojéj znajdziecie skrzyni,
„Opieczętowan wielce starannie.

„Niechże to łaska wasza uczyni,
„Bom tak ślubował Najświętszéj Pannie!
„Bywajcie zdrowi, mój Otoczeńko!
„Módlcie się za mnie, gdy w Panu zamrę...
„Bywajcie zdrowi...“ — I drżącą ręką
Mosiężnéj księgi otworzył klamrę,
I począł czytać, i święta rosa
Zwilżyła oczy, co jeszcze gorą.
Snadź świętéj duszy tęskno w niebiosa!
Burmistrz i radni wyszli z pokorą...
On się zadumał, w górę wzniósł oczy,
Przycisnął mały krzyżyk do łona...
Wtém jęknął kapłan, co stał z uboczy,
Że pasterz kona...

VIII.

O zmroku w mieście zagrzmiały dzwony,
I wieść żałosna wszystkich uderza:
Że już dobrego nie masz pasterza!
Płacz po nim, ludu osierocony!
Mnogi się naród tłoczy w ulicy,
Wszyscy żałośni, wszyscy ciekawi:
„O! na pasterskiéj naszéj stolicy
„Drugi się Tabor nieprędko zjawi.“

IX.

Pan burmistrz spełnił to, co mu każe
Święty nieboszczyk: nazajutrz do dnia
W Miednickiéj bramie postawił straże,
By najpierwszego spotkać przychodnia.

O piątéj z rana bramę otwarto.
Ktoś idzie pieszo z Miednickiéj drogi...
I w miejskiéj bramie stanął przed wartą
Pokaleczony żołnierz ubogi.
Twarz ma i postać jeszcze młodzieńczą,
Stąpa szykownie, zbudowan składnie,
Lecz głuchym kaszlem piersi mu brzęczą,
I skaleczoną ręką nie władnie.
Skłonił się warcie, wstrzymał się w bramie,
Spojrzał na nowe żelazne wrota,
I rzekł z boleścią, co łez nie kłamie:
—„Gdzież się ja udam biedny sierota?“
—„O! ja waszmości drogę pokażę!
„Pójdziesz na ratusz, sąd cię opisze.“
Rzecze mu żołdak, co pełnił straże,
Ze śmiechem patrząc na towarzysze.
—„Na ratusz!—krzykną.—Kto waszmość taki?
„I zkąd przychodzisz w tak rannéj chwili?“
Rozswawolone miejskie żołdaki
Halabardami go otoczyli.
—„Po co na ratusz? Héj, hola! hola!
„Albom ja zbrodzień?—rzekł żołnierz śmiele.—
„Ja wracam z boju, z kleckiego pola,
„Tatarskie rany noszę w mém ciele!
„Szanujcie rany! bo, jak Bóg miły,
„Jeszcze choć szczudłem bronić się mogę!“
Ale żołdaki go ostąpiły,
Wejścia do miasta przecięły drogę.
—„Wasz ratusz żadną nie jest mi władzą!
„Ja jestem szlachcic!“—wołał kaleka;
Lecz go żołdaki gwałtem prowadzą,
Gdzie na ratuszu obrada czeka.

X.

Poustrajani w szuby sobole,
W bogate pasy, w błyskotek wiele,
Panowie radni siedzą przy stole:
Pan burmistrz miasta siedzi na czele,
A obok niego radni, ławnicy,
Z kręcemi wąsy, z butnemi głowy,
A obok pana Piotra Kotwicy
Siedzi poważny pisarz sądowy.
Kunsztownie tkaną perską makatą
Pozaścielano stoły i ławy;
Pan burmistrz trzyma księgę bogatą: —
To magdeburskie miasta ustawy.
Jeden ma w czapce kitę pierzastą,
Drugi ma spinkę z drogich kamieni.
Świetneż być musi wileńskie miasto,
Gdy jego rajcy tak przystrojeni!

XI.

Straż do ratusza wiedzie żołnierza,
Kędy zasiada rajców drużyna.
Każdy ciekawém okiem go zmierza,
Oblicze jego coś przypomina.

Ten, co miał zwierzchność nad miejską wartą,
Tak przed urzędem rzecz swoją czyni:
—„Ledwie Miednicką bramę otwarto,
„Ten pierwszy człowiek zjawił się przy niéj.
„Kto on? ja pytać nie miałem prawa;
„A resztę czyńcie, jak się wam zdawa.“

—„Marcin Studzieński! znamy go! znamy!“
Wykrzyknął burmistrz i rajców grono.
I wnet za przejście Miednickiéj bramy
Pięćset kop groszy mu wypłacono.
Biedny kaleka patrzy się, dziwi
Swemu bogactwu, i sam nie wierzy;
Lecz go oblegli rajcy życzliwi,
Jak przyjaciele, jak bracia szczerzy:
—„Bozka nad tobą czuwa opieka!
„Co było, nie jest -- w regestr nie piszem,
„Boś ty wybrańcem świętego człeka,
„Bądź naszym bratem i towarzyszem.
„Powiedz nam, z jakiéj przybywasz strony?
„Czemu z twych oczu łza bujna płynie?
„Czemu powracasz pokaleczony?
„Wszystko nam powiedz, panie Marcinie!“

XII.

—„Krótkie me dzieje, sławetne pany! —
Odpowie żołnierz: — „powieść niemiła:
„W bitwie pod Kleckiem byłem zrąbany,
„Strzała tatarska pierś mi przebiła.
„Dobry towarzysz przybył z pomocą,
„Ratował, leczył, jak brat jedyny,
„A tuląc moją dolę sierocą,
„Zawiódł w Oszmiańskie, do swéj rodziny.
„I ja tam miałem krewnego księdza
„U Franciszkanów na Mieście Starém;
„Ale w klasztorze zwyczajnie nędza, —
„Czułem, że jestem księdzu ciężarem.
„Ramię mam chore, szablą nie władnę,

„Żołdem rycerskim żyć już nie mogę,
„Nie umiem wdać się w rzemiosło żadne...
„Więc kij żebraczy... i daléj w drogę.
„Tedy z Oszmiany pieszo wychodzę,
„Ale zaledwiem uszedł pół mili,
„Jacyś mię zbójcy napadli w drodze
„I towarzysza mego zabili.
„Pokaleczony, z grosza odarty,
„Inaczéj radzić gdy było próżno,
„Wlokłem się tutaj, ot dzień już czwarty,
„Z wioski do wioski żyjąc jałmużną.
„Szedłem, nie wiedząc, gdzie głowę złożę;
„Ujął mię żołdak przy bramnéj warcie...
„Gdy miłosierdzie cudowne boże
„Przez wasze ręce dało mi wsparcie."

XIII.

— „Snadź ci nadeszła nagrody pora,
„Żeś mężnie walczył w kleckiéj potrzebie;
„Błogosławiona dusza Tabora,
„W ostatniéj chwili przeczuła ciebie.
„Ciebie wybrały boże wyroki,
„Narzędzie cudu widzimy w tobie.
„Pójdźże nawiedzić pasterza zwłoki,
„Na dobroczyńcy pomódl się grobie."
Tak doń mówili miejscy rajcowie,
A pan Kotwica grzecznie i skromnie
Wziął go na stronę i cicho powie:
—„A na wieczorek przyjdź, waszmość, do mnie!"

XIV.

W dworcu biskupim smutne dziś rano:
Litwa straciła swego pasterza,
Dzwon katedralny głucho uderza,
Niosąc po kraju wieść opłakaną.
Na prostéj ławie, prostym kobiercu,
W izbie, gdzie świateł iskrzy się siła,
Leży mąż boży—z ręką na sercu;
Już dusza jego... tam, gdzie tęskniła;
Już z wysokości krainy górnéj
Może się patrzy na Litwę drogą.
Księża żałobne pieją nokturny,
Tłumy się ludu cisną, jak mogą.
Żałość rozlana w modlitwie, w śpiewie,
Po wszystkich twarzach łzy bujne biegą;
Każdy się modli, ale sam nie wie:
Modlić się za nim, albo do niego?

XV.

Marcin Studzieński, wespół z drugiemi,
Gdy się docisnął wsparty na kuli,
U nóg pasterskich klęknął na ziemi,
Wdzięczną modlitwę lejąc najczuléj.
A między ludźmi już rozgłos lata,
Że to jest rycerz, że to ten samy,
Co do Miednickiéj pierwszy wszedł bramy,
Że mu sądzona kwota bogata.
Marcin się modli.. Czy dusza wrząca
Dawne mu w sercu wspomnienia budzi?
Czy od zbytniego natłoku ludzi,

Czy z niezliczonych świateł gorąca,
Głowa się mroczy?.. Chwieje się, bladnie,
Ledwie przez ciżbę wyszedł do sieni,
I na podłogę pada bezwładnie,
Jak upadają gromem rażeni.
Długą czy krótką przeleżał chwilę,
On nie pamiętał, a nikt nie zważa.
Ciało obwite w łachman nędzarza,
A dusza, strojna w skrzydła motyle,
Przez wspomnień kwiaty, przez wspomnień ciernie,
Leci... o kwiatek, o cierń zahaczy...
To — uśmiech lubéj, co kocha wiernie,
To — krwawa bitwa, to — strój żebraczy,
To — napad zbójców, to — rzewna modła
Przy zacnych zwłokach ojca Tabora.
Wtém go chrapliwa mowa ubodła:
— „A powstań, waszmość! spać tu nie pora!
„Spać tu nie miejsce — wynoś się skoro!“
Żołdak, co w sieniach odprawiał straże,
Szarpnął go silnie za rękę chorą,
I z progów pańskich wynieść się każe.

XVI.

Powstał Studzieński — ale o dziwa!
Strzaskana ręka już go nie boli,
Rana, co w piersiach, już nie narywa;
Odrzucił szczudła — przeszedł powoli,
I sam nie wierzy, sam siebie bada,
Czy jest w istocie zdrowym i hożym?
A więc ludowi cud opowiada,
Co mu się trafił przy mężu bożym.

Tłoczy się naród blizki, daleki,
Słucha powieści, cudom zawierza;
Bo sam oglądał rany kaleki,
I wierzył w świętość ojca pasterza...
Dzisiaj powiecie: Bajka to stara!
Anachroniczna ta powieść cała;
Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
Dziś z chrześciańskich serc uleciała. —
A czyż ja mówię, że ona żyje,
Lub że dziś nasze czyny okrasza?
Ze starych kronik powtarzam chryję,—
Wierzcie, nie wierzcie, jak łaska wasza.
Dzisiaj nie nęcą anioły boże,
Dzisiaj nie straszni piekielni czarci.
Czy cud być może, albo nie może?
Czyśmy go warci? albo niewarci?
Czyśmy już w naszéj rozumnéj pysze
Wydarli Panu berło z koroną?
Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę
Z czasów, gdy jeszcze w cuda wierzono.
Marcin Studzieński zeznanie cudu
Do katedralnéj zaniósł świątyni:
Stało się jawném w obliczu ludu,
Jak Pan maluczkim swe łaski czyni.

E P I L O G.

Dał pan Kotwica wieczór wspaniały,
Powrot obchodzić chciał Marcinowy,

Pięćset kop groszy — to grosz niemały,
Więc go do spółki ciągnął handlowéj.
Marcin zezwolił, bo z jego chatą
Spółkę *serdeczną* miał z dawnych czasów;
Więc uradzono na przyszłe lato
Wspólnie nakupić pereł, hatłasów,
Po drogie wina posłać do Gdańska,
Kupić złotogłów, futra sobole:
„A co do reszty... w tém łaska Pańska,
„Spuśćmy się całkiem na Jego wolę!“
Odwiódł na stronę pana pisarza:
—„Stary kolego! — rzekł mu do ucha —
„Czy widzisz waszmość, co mi Bóg zdarza?
„Miłoż mieć zięciem takiego zucha!“
Pan pisarz miejski pojął te słowa,
Że się z nierównym spotkał szermierzem;
Ale co wyrzekł — milczenie chowa
Kronika stara, z któréj to bierzem.
Musiał pomyśleć:—„Niech kat naruszy!
„Trzeba odkosza zgryźć pokryjomu!“
Potém wziął czapkę, przytulił uszy,
I powędrował cicho do domu.
A tam na uczcie czy pito wiele?
Wiele zjedzono soli i chleba?
I czy na końcu było wesele?
O tém i mówić zda się nie trzeba.

1859. Wilno.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Z CZĘŚCI I.

Jak na wiosnę rój,
Szli pancerni w bój;
Błyszczą miecze i dziryty,
Ziemia stęka pod kopyty,
Grzmi żelazny strój!

Każdy żołnierz zuch,
Zwalczy najmniéj dwóch;
Choć wąsacze i brodacze,
Młode serce w piersiach skacze,
Młody kipi duch!

Daléj młodszy huf,
Każdy piękny, zdrów,
Na osłodę w tęsknéj drodze
Śpiewa piosnkę o niebodze
Z kordyalnych słów.

Aż się kurzy pył,
Wiatr w chorągiew bił;
Pod proporcem naprzód dąży
Siwobrody pan chorąży,
Jeszcze pełen sił.

Pod słoneczny skwar
Przyjechali w jar:
Tu przystanek dla żołnierza,
Dla koników woda świeża—
I zakipiał gwar.

Hetman krzyknął:—„Stój!
„Orzeźwijmy znój!“
I z rumaka skoczył żwawo,
I pod brzozą kędzierzawą
Płaszcz rozesłał swój.

Na hetmański ład
Szlachta poszła w ślad;
Zsiedli z koni w jednéj chwili,
I do ziemi kopie wbili,
Prychnął konik rad.

Nim zeń zejdzie pot,
Nim owieje chłód,
Pancernicy, siadłszy w wianek,
Wychylają z swych blaszanek
Smakowity miód.

U polowych miedz,
By wróg nie mógł zbiedz,
Na pagórkach i przy jarze
Postawiono gęste straże
Bezpieczności strzedz.

Jeden podał wzór,
Drugi zapiał wtór,
I płaczliwie, i boleśnie

Zaśpiewali starą pieśnię
W stogłosowy chór.

„Co będzie jadł, co będzie pił
„Mój koń chudzina?
„Gdy przyjdzie mnie legnąć bez sił
„Z rąk Tatarzyna?

„Mnie wpośród pól wykopią grób
„Rycerze mili;
„A smutny koń nad pusty żłób
„Głowę pochyli!

„Gdy wszystek duch wysączę z ran
„Pod mieczem wroga,
„Co będzie śnić, z kim pójdzie w tan
„Moja nieboga?

„Znajdzie się pan, jeśli jest koń,
„Weźmie ochotnie;
„Dziewczyna mknie innemu dłoń,
„Gdy skrzypca grzmotnie.

„Gorzéj, gdy żwir rzucony w dół
„Zasypie oczy,—
„Że przez mój grób do naszych siół
„Pohaniec wkroczy.“

—„Cicho z tą pieśnią!—hetman zakrzyczy—
„Niech idą wróżby na suchy las;

„Gdy zajrzym w ślepie tatarskiéj dziczy,
„Taniec z dziewczęty znajdzie swój czas.

„Człek się rycerski laurów spodziewa,
„Orzeł pod chmurą żartuje z burz;
„Kto sam po sobie *requiem* śpiewa,
„Idąc na bitwę, to pewno tchórz.

„Wstyd wam, pancerni, takowych treli,
„Bo w nich pieszczoty mieści się jad;
„Niech białogłowa przy swéj kądzieli,
„Niechaj przy kruchcie śpiewa ją dziad.

„Inaksza była piosenka nasza,
„Któréj w obozie uczono mnie:
„Ton jéj był ostry, jak zgrzyt pałasza,
„Gdy po pancerzu żelaznym tnie.

„Krew rozgrzewała, krzepiła zdrowie,
„I hartowała na ciężki trud:
„Nie dziw, że święci nasi ojcowie
„Niejeden chrobry zdziałali cud.

„Dziś insi ludzie, insze koleje:
„W słowach piosenki krzewi się chwast;
„Nie dziw, że oręż w rękach tępieje,
„Pieśń wasza szturmem nie weźmie miast!“

Więc rycerstwo już nie śpiewa,—
Stary hetman dziś się gniewa.
Niech się gniewa, niechaj zrzędzi,
On na wrogach złości spędzi.

Nic nie nada refleksya,
Bo przed bitwą zły, jak żmija,
I nie ujrzysz w nim dobroci,
Póki wroga nie wygrzmoci.

Ot ze złości siadł na stronie,
Że popasać trzeba konie,
Że pancernym dać potrzeba
Choć przekąsić kawał chleba.

Onby w boje leciał strzałą,
Onby nie spał przez noc całą,
Onby samém żył powietrzem,
Póki węża nie rozetrzem.

Lecz po boju,—choć do rany:
Gotów pierwszy ruszyć w tany,
I przypomnieć z czarką miodu,
Jak to śpiewał sam za młodu.

Bo to, słyszę, w dawnéj porze
I dziewczęta lubił hoże,
Krotochwilę przy obiedzie,
I kielicha nie zawiedzie.

Dziś w hetmań若stwie częściéj bywa
Pańska głowa frasobliwa,
Aby nasza dziatwa mała
W bezpieczeństwie usypiała;

By odpędził pałasz krzepki
Sny trwożliwe z nad kolebki,
Aby śpiących swemi krzyki
Nie rozbudził zbójca dziki;

Aby król nasz na swym tronie,
W senatorskiém zacném gronie,
Mógł swobodnie radę radzić,
Jak do szczęścia nas prowadzić;

By w kościołach boża chwała
Pohańbienia nie doznała,—
Ostry brzeszczot w jego dłoni
I ołtarzów naszych broni.

Bez wielkiego serca ludzie
Omdlewają w takim trudzie,
Choć buławę mają godłem,
Choć im rumak rży pod siodłem.

Fraszka—mądrość wojownika,
Co obozy sam wytyka,
Fraszka nawet duch ochoczy,
Co na dziesięć jeden skoczy.

Prawy hetman zwraca oko
Na dostojność swą wysoką;
Bo w hetmanie, jak w kapłanie,
Grunt jest—święte powołanie.

Trzeba w sercu ul mieć pszczelny,
I rój pszczółek stworzyć dzielny,
Coby żądłem pełném jadu
Bronił kwiatów swego sadu.

Trzeba w sercu, jak plastr miodu,
Mieć kochanie dla narodu:
I dla panów, i dla kmieci,
I dla starych, i dla dzieci,

I dla żytniéj ziemi swojéj,
I dla wody, co nas poi,
I dla lasów pełnych zwierza,
I dla wiatru, co odświeża.

Bo kochanie tylko w stanie
Zahartować duch w hetmanie,
I umocnić jego ramię,
Że go piekło nie przełamie.

Patrz na ptaszka lub na zwierzę,
Kiedy piskląt swoich strzeże:
Zkąd ta mądrość w ich obronie?
Zkąd to męztwo w jego łonie?

Tu mistrzyni jest wyborna—
Jedna miłość cudotworna:
Nierozumnym rozum wleje,
Od niéj słaby spotężnieje.

Taka miłość, gdy przenika
I hetmana walecznika,
Już walecznik, jak duch z nieba,
Bohaterem zwać go trzeba.

Już możecie zostać śmiele
I kapłani w swym kościele,
I królowie na swym tronie,
I rolnicy na zagonie.

Zieleniejcie, lasy, świetnie:
Wróg siekierą was nie zetnie;
Płyńcie, rzeki, w kraj daleki:
Nie jesteście bez opieki.

Już was żaden ze złych ludzi
Swemi usty nie zabrudzi;
A hetmańskiéj wierzcie stali,
Bo kto kocha, ten ocali.

Taki hetman — nasze zdrowie,
Do zwycięztwa on nas zowie;
Do zwycięztwa i do chwały,
By nas wieki pamiętały.

Z CZĘŚCI II.

Po prostu była litewskich dzieci
Chata wzniesiona;
Prosty *dajlide*, jak umie, kleci
Z dębów bierwiona.

Między bierwiona mech ściele sporo,
Otula ściany,
Krokwie obija dębową korą,
Pod dach słomiany.

Długa, szeroka chata Litwina
Z dwóch stron się składa:
Po jednéj żyje chatnia drużyna,
Po drugiéj stada.

Koniki silne, czy do roboty,
Czy to do boju,
I karmicielki—krówki pieszczoty,
Pełne udoju.

I wielkorogich wolików para,
Co skibę kraje,
I kędzierzawa owieczka szara,
Co odzież daje.

Tam, gdzie się w chacie ludzie gromadzą,
Okienko świta,
A czarna ściana dymem i sadzą
Wiecznie pokryta.

Zamiast podłogi, tok z gliny bity
Mularze dali.
Na środku izby ogień sowity
W jamie się pali.

Pali się zawsze — bo tu jest Znicza
Głównia ofiarna;
Przy nim tcze krosna ręka dziewicza
Lub kręci żarna.

Przy nim starcowie swą staroświecką
Gawędę plotą;
Słucha jéj młodzian, słucha jéj dziecko
Z pilną ochotą.

Gdy, piękną młodzież widząc przed sobą,
Staruszek baje,
On dawnym latom z jutrzejszą dobą
Święty ślub daje.

Przy tych gawędach bogowie stoją
Na pilnéj straży;
Nie umrze dziadek, aż przeszłość swoją
Wnukom wygwarzy.

Przy huku żaren, przy stuku w krosna,
Przy grzmocie cewki,
Płynie po chacie piosnka żałosna
Młodéj Litewki.

Młodziuchna Erma jest narzeczoną
Do blizkiéj wioski;
Wkrótce porzuci domowe grono
I dom ojcowski.

Wkrótce złocisty splot jéj warkoczy
Czepiec okryje,
A czarodziejskie błękitne oczy
Łezka omyje.

Biedna Litwinka! O szczęściu nie śni
W marzeniu lubém;
Obyczaj każe żałosne pieśni
Śpiewać przed ślubem.

Więc rówiennice schodzą się do niéj
Z przyjaźnią tkliwą;
A każda jęki bolesne roni,
Jak nad nieżywą!

Stare przysłowie dobrze powiada:
Ślub jest żałobą;
A jednak każda co prędzéj rada
Płakać nad sobą.

Zaszczebiotały, jakby jaskółki
Na niepogodę;
Podobierały głosy do współki
Dziewczęta młode.

Obsiadły wkoło, z pustéj swawoli,
    Ermy krosienka,
I zaśpiewały, aż serce boli,
    Aż ściana stęka:

* * *

„Do siostry naszéj ruta się wdzięczy,
„Dla niéj lilia wytryska z pęczy,
„A przecięż siostrę tęsknota dręczy.

„Czego się, siostro, twa dusza trwoży?
„Wszak twoja młodość to ranek boży,
„Wszak narzeczony piękny i hoży!“

— „Prawda, że wiosna jak ranek świeży,
„Mój narzeczony pierwszy z młodzieży,
„A przecięż kamień na sercu leży!

„Muszę się żegnać z domową stroną,
„Muszę się żegnać z matką rodzoną,
„Z moim ogródkiem, z rutą zieloną.

„Wy, czarne kury, nie piejcie rano,
„Przedłużcie moją nockę niespaną,
„Niech się nagadam z matką kochaną!

„Kury nie pieją, śpi wioska cała,
„I ciemna nocka godzin przybrała,
„A jam się z matką nie nagadała!“

* * *

— „Słuchajcie—rzekła jedna dziewoja—
„Czy nie piękniejsza piosenka moja?
„Był sobie chłopak, sierota szczera,
„Co u stop dębu serce otwiera:

„Tam przy morzu u przystani,
„Wyszła góra z ziemi,
„Dąb szeroki wyrósł na niéj
„Z gałęźmi krętemi.

„Wypłynąłem wraz z jutrzenką
„Zwiać myśli sieroce,
„I przybiłem me czółenko
„W przygórnéj zatoce.

„I objąłem dąb chropawy,
„Ile mogłem dostać:
„Zmień się, dębie, bądź łaskawy,
„W mego ojca postać!

„Wznieś gałęzie uroczyście,
„Jak ręka ojcowa;
„Zmień szumiące twoje liście
„Na serdeczne słowa!

„Lecz sierota w poniewierce,
„Próżno łzy me biegą:
„Nie zabiło w dębie serce
„Ojca rodzonego.

„Nie wzniósł ramion uroczyście,
„Jak ręka ojcowa;
„Nie szumiały jego liście
„Serdecznego słowa!"

* * *

Druga dziewica rzekła koleją:
—„Czyż tylko chłopcy boleć umieją?
„Ich łza jak ogień rozpala oko,
„Nasza do ziemi idzie głęboko;

„Ich jęk do nieba trafić ma siłę,
„A nasz się głębiéj wbija w mogiłę;
„Oni śpiewają szczęśliwą chwilką,
„A my i myślim pieśniami tylko.
„Ja takąż pieśnię umiem inaczéj,
„Jak to po matce córka w rozpaczy:

„Posyłali mię niebożę,
„Szukać jagód w ciemnym borze;
„Lecz ja w borze nic nie robię,
„Bo na matki byłam grobie.

„Poszłam w góry ścieżką znaną,
„Gdzie jéj kopiec usypano;
„Gdym płakała, drzewa jękły,
„Aż w mogiłę łzy zasiękły.

„Matka pyta w swojéj trumnie:
—„Kto tam z płaczem przyszedł ku mnie,
„Że aż jęczy piasek z gliną,
„Łzy gorące w pierś mi płyną?"

— „To ja, córka... matko miła!
„Coś sierotą zostawiła.
„Kto rozczesze włos mój złoty?
„Kto omyje twarz sieroty?
„Kto strzedz będzie moje zdrowie?
„Dobre słówko kto mi powie?"

— „Idź do domu, córko miła,
„Jam ci dolę wymodliła;
„Już w téj chwili przysłał swaty
„Rycerz zacny i bogaty.

„On rozczesze warkocz złoty,
„On omyje twarz sieroty,
„On strzedz będzie twoje zdrowie,
„Dobre słowo on ci powie.“

* * *

—„Ej wy, dziewczęta! to nie wypada,
„Łzy wywoływać na oczy dziada!“—
Tak mówił Warpas, starzec brodaty,
Zakuty Litwin dawniejszéj daty,
Starych obrzędów postrzegacz ścisły,
Siwy, jak jawór szronem nawisły.
Ale dla niego była pokutą
Pieśnia weselna z grobową nótą.
Stary był wesół, jak rzadko starzy,
Lubił śmiech widzieć na każdéj twarzy,
Zwłaszcza, gdy miodek lub chmielne piwo
Na twarzy kraskę wywoła żywą.
Aż się od śmiechu kładą przytomni,
Dawną pustotę kiedy przypomni.
I teraz mówił:—„Będzie wesele...
„A wy, choć piosnek umiecie wiele,
„Nie znacie jednej. Za méj młodości,
„W chacie litewskiéj, gdy pełno gości,
„Chórem śpiewali, chórem się śmieli;
„Dzisiaj i śmiać się już zapomnieli,
„I żaden nie wie, co wtedy było,
„Gdy się wilczysko w lesie żeniło?
„Dajcie mi żarna—niech je pokręcę,
„Niech odprostuję zgrzybiałe ręce,
„I puszczę myśli w weselszą drogę,
„Bo bez roboty śpiewać nie mogę.“

Więc do kamienia nasypał ziarna,
Odrzucił głowę, zahuczał w żarna,
Jak dobry gęślarz, co w pierwszéj probie
Najprzód przygrywkę dobiera sobie,
I głosem takim, jakby ze studni,
Jak wóz skrzypiący po moście dudni,
Zaśpiewał pieśnię z dawniejszéj chwili,
Kiedy wilczycę z wilkiem żenili:

„Przywędrował niedźwiedź kudłaty, kudłaty,
„Do wilczycy z piwem we swaty, we swaty;
„Téj jesieni wilk się żeni,
„Idą goście zaproszeni
„Do lasu, do lasu!

„U jeża pod kluczem gorzałka, gorzałka,
„Lis sprawuje urząd marszałka, marszałka,
„Zając zda się, w trudnym czasie,
„Państwa młodych wieźć w kolasie
„Do ślubu, do ślubu!

„Tchórz szumiące piwo wypienia, wypienia,
„Wróbel robi słody z jęczmienia, z jęczmienia,
„A kukułki im do wspólki
„Śpieszą chmielne nieść szypułki
„Z ogrodu, z ogrodu!

„Drwa piłuje rydlem byk łysy, byk łysy,
„Pies wymywa garnki i misy, i misy,
„Warchlak gładki dla gromadki
„Nakupował mięsa z jatki
„Po groszu, po groszu!

„Niedźwiedź, spoczywając po trudzie, po trudzie,
„Gra niemieckie marsze na dudzie, na dudzie,

„Wilk ssał czarę, przebrał miarę,
„Prosi kozę w pierwszą parę
„Do tańca, do tańca!

„Jestem dzisiaj w dobrym humorze, humorze,
„Niech mi kuma w tańcu pomoże, pomoże!
„Wróg widocznie, kto dziś spocznie;
„Héj, niedźwiedziu, zagraj skocznie
„Walczyka, Niemczyka!

„Jak odmówi kuma w zabawie, w zabawie,
„To ja panią kumę zadławię, zadławię,
„A ze skóry dla wilczury
„Będzie kołpak jasno-póry,
„Od święta, od święta!“

* * *

Zachychotały dziewki chychotki,
Jaki to z wilka tanecznik słodki,
I jak mu kozi kołpak do twarzy,
Jak na weselu lis gospodarzy,
Jak tam pod wozem zajączek stęka, —
Aż do rozpuku śmieszna piosenka!
—„A co? czy śmieszna? powiedzcie szczerze!“
Staruszek sam się za boki bierze;
Rad, że zabawił garstkę domową,
Zahuczał w żarna, pokiwał głową,
I chciał ich śmieszyć i śpiewać daléj,
Gdy trwożny okrzyk wszyscy wydali!
Wśród nocy, z okna tam od podwórza
Dwoje się z ciemna oczu wynurza,
Przez szybę błyszczy twarz jakaś dzika

I ryża broda, jak rozbójuika,
Rząd białych zębów świeci z pod wąsa,
A straszne widmo głową potrząsa.
—„Kto tam?!“ krzyknęli wszyscy strwożeni,
I wyleciała młodzież do sieni.
Jeden pochwycił bardysz ze ściany,
Drugi swój topór grubo kowany,
Dziewki za starca tulą się z trwogą;
Lecz już na dworze nie ma nikogo,
Tylko posłyszał jeden z młodzieży,
Że ziemia tętni, jak gdy kto bieży;
Tylko zobaczył drugi z za drzewa,
Że widmo białym płaszczem powiewa,
Że się coś iskrzy nad jego głową,
Jakby nosiło czapkę stalową.

Starzec żartował z trwogi dziecięcéj,
Ale już pieśni nie śpiewał więcéj.
Na twarzy jego z dziwnym wyrazem
Strach i szyderstwo zbiegły się razem.
Lecz przerażenia nie dając znaku:
„To wilk—powiadał—w kozim kołpaku!“

. . . .

1860. Wilno.

DOKUMENTA.

GAWĘDA BABY LULKI.

I.

Na wiosce, w chacie rolnika,
Żyje staruszka sędziwa;
Że czasem luleczkę pyka,
Baba się Lulką nazywa.

Prześliczny obraz, choć w ramy,
Nasz z nią wieczorek w gawędzie;
My przy kominku słuchamy,
A baba gwarzy i przędzie.

Stare podania pamięta.
Raz nam mówiła te słowa:
Że dawniéj wszystkie zwierzęta
To była szlachta herbowa.

Lew już z przed wieków miał sobie
Prawa królewskie uznane:
W konstytucyjnym sposobie
Pożerał swoje poddane.

Niedźwiedź był baron, wilk hrabia,
A lis to szambelan stary;
A co tam który wyrabia,
Lew na to patrzał przez szpary.

I zwierząt inszych niemało
Stan szlachty rycerskiéj składa,
I jak na szlachtę przystało,
Próżnuje, pije, zajada.

Głowy nosili do góry
Wolni panowie swych domów;
Z osiełków zdzierano skóry
Na pergaminy dyplomów.

Tylko się biedna mysz w norze
Lub zasklepiona w stodole,
Legitymować nie może—
Zwyczajnie chude pacholę.

Lecz nie zna podatku z duszy
I na pańszczyznę nie idzie;
Więc głowy wielce nie suszy,
Że w chłopskiéj musi żyć biédzie.

A rządząc się gospodarnie,
Ma pokarm smaczny i zdrowy,
Ma śpichrz, stodołę, śpiżarnię,
Jak jaki szlachcic czynszowy.

II.

Raz niedźwiedź tak się rozgada
W swoich przyjaciół drużynie:

—„Piękna to rzecz, kto posiada
„Dyplomat na pergaminie!

„Lecz zimą, jak będę we śnie,
„Choć go pod głowę położę,
„Z wilgoci wkradną się pleśnie,
„Jeszcze dyplomat zgnić może!

„Wilku! przyjacielu szczery,
„Przyjaźń usłużnym być każe:
„Wszak ty masz własne papiery,
„Weź dyplom pod swoją straże."

—„Nie mogę — wilk mu odpowie: —
„Ja zawsze jestem za domem,
„Sam rady nie znajdę w głowie,
„Co zrobić z własnym dyplomem.

„Muszę pilnować baranów,
„Co się tam pastwią nad zbożem;
„Więc sam się, *mon cher*, zastanów,
„Że nie mam czasu być stróżem.

„Ot lis, co siedzi na stronie,
„Niechaj tém zajmie się szczerze:
„Daj mu swój dyplom, baronie,
„A ja mój własny powierzę.

—„Dajcie mi pokój! — lis wrzaśnie—
„Mnie myśleć o pergaminach!
„Wszak do mnie należy właśnie
„Sąd sporów w kokoszych gminach.

„Muszę od wioski do wioski
„Biegać i słuchać ich gwarów.
„Och, urząd... urząd sędziowski
„Ileż ma w sobie ciężarów!“

— „Ha! jeśli tak — wilk mu rzecze—
„W psiéj budzie złożym archiwa:
„Pies weźmie dyplomy w pieczę,
„On się stróż wierny nazywa!“

Więc oddał psu swoich braci
Rodowitości dyplomy.
Pies przyrzekł, że ich nie straci,
A już psi honor wiadomy.

Ale po krótkiéj rozwadze
Zadrżał o papiery w budzie:
—„A cóż ja biedny poradzę,
„Jeśli ukradną je ludzie!

„Bo takie rzeczy ich wabią:
„Niebardzo wierzę w ich cnotę,
„Zostać baronem lub hrabią
„Każdy z nich miałby ochotę.

„Psie nawet szlachectwo moje
„Skusiłoby niejednego:
„Sam się o własny skarb boję,
„Jakże się inne ustrzegą?

„Ot, pójdę do kota lepiéj:
„Jego troskliwa opieka

„Niech gdzieś w zapiecku zasklepi,
„Z dala od oka człowieka.“

Szedł i powiada rzecz całą:
— „Składam w twe ręce skarb wielki,
„Przodków pamiątkę wspaniałą,
„Żeśmy nie *hetki-pętelki.*

„Pamiętaj czuwać przykładnie,
„By ten skarb nie był zepsuty;
„Bo jak szlachectwo przepadnie,
„Wszyscy pójdziemy w rekruty.“

Kot, pełniąc sercem gotowém,
Co każe bracia życzliwa,
Złożył pod strychem domowym
Rodowitości archiwa.

Lecz gdzież pieszczonemu dziecku
Ślęczeć jako archiwista?
Trzeba się wygrzać w zapiecku,
Trzeba się umyć do czysta.

Trzeba wskoczyć na ramiona
Panienki, co go tak kocha;
Ówdzie go rybka smażona,
Tam słońce nęci pieszczocha.

Tam trzeba poigrać skocznie,
Tam przyszła pora obiadu...
Czasu — brak czasu widocznie,
Że ani zajrzał do składu.

Tak przeszło lato, tak zima;
Mysz, co siedziała po cichu,
Gdy zboża w śpichrzu już niéma,
Poczęła wietrzyć po strychu.

I aż z radości podrosła,
Do heraldyki dopadłszy:
Choć twarda skóra w niéj osła,
Ale głód smaku nie patrzy.

Zwołała braci i siostry
Na te przysmaki jedyne,
I wzięły na ząbek ostry
Średniowiekową łacinę.

Nigdy tak krytyk w gazecie
Nie pastwi się w żywe oczy,
Gdy autor nieznany w świecie
Tom poezyjek wytłoczy,

Jak one wszystkie pospołu
Strzygły, gryzły, darły w szmaty...
Stały się kupą popiołu
Hrabiowstwa i baronaty,

I psie szlachectwo zginęło,
Figurujące tak dumnie.
Na takie wandalstwa dzieło
Paprocki aż stęknął w trumnie.

Lecz można w obronie myszy
Użyć retoryki całéj:
Zkąd one w swojéj zaciszy
O dyplomatach wiedziały?

Do takiéj rozmyślnéj psoty
Syn tylko zdolen człowieczy:
To dzieło chłopskiéj roboty,
Co nie zna wartości rzeczy.

III.

Wtém niebo cisnęło głazem:
Kazano na łeb, na szyję,
Wszystkim zwierzętom zarazem
Składać legitymacyę:

Kto jesteś zacz? kto cię rodzi?
Kto pradziad świętéj pamięci?
Zkąd się twój klejnot wywodzi,
Co go używasz w pieczęci?

Gdy każą, to trudna rada,
Potrzeba słuchać w téj chwili;
Więc każdy do psa powiada:
—„Oddaj mi, waszmość, przywiléj!“

Pies idzie i kota pyta
Swoich współbraci imieniem,
Co miękki, jak sybaryta
Bawił się własnym swym cieniem.

Pod strych pobiegli co żywo:
Obaj krzyknęli z rozpaczą,
Kiedy ruinę straszliwą
Zamiast dyplomów obaczą!

W żalu załamali pięście...
Kot już ze strachu na strzesie;
Pies poszedł wspólne nieszczęście
Zwiastować braciom, co w lesie.

Niedźwiedź rwał kudły, gryzł ziemię
Na wiadomości bolesne,
Rycząc przeklinał psie plemię,
Aż głusze zadrżały leśne.

Porwał psa w silne pazury,
Chcąc mu rozszarpać jelita;
Lecz pies, skoczywszy do góry,
Silnie za gardło go chwyta.

Krew obryzgała murawę,
Pies już w godzinie ostatniéj
Na bok dwa susy dał żwawe
I umknął z niedźwiedziéj matni.

Bieży — wtém wilk go napada,
Który plondrował po niwie:
Całą mu rzecz opowiada,—
Wilk tylko zawył straszliwie.

Głos tak okropne miał zmiany,
Rozpacz tak wielka rozdraźni,
Że w siódméj wiosce barany
Beczeć poczęły z bojaźni.

I przyjaciele najszczersi
Poczęli gryźć się, jak wrogi,

Paszcz z paszczą, piersi do piersi,
Pies zdusił wilka i w nogi.

Co daléj, przewidzieć łatwo:
Spisano zwierzęce głowy,
Wszyscy z żonami i z dziatwą
Poszli w okład podatkowy.

Poczęto ścigać zwierzęta,
Czy gdzie las gęsty, czy pole;
Pies z wolnego rezydenta
Poszedł do człeka w niewolę.

Został na łańcuch przykutym,
Gdy dawniéj na taki przymus
Mógł się zastawić statutem:
„*Neminem captivabimus.*“

Schłopiały zwierzęta z laty
Pod człeka władzą i strażą;
Wkrótce, dla większéj intraty,
Jeszcze im wódkę pić każą.

Pies się na sforę utroczy
I idzie na polowania,
Z wilkiem, z niedźwiedziem bój toczy,
Lub się za lisem ugania.

A gdy się walka rozjada,
Każdy o krzywdzie pamięta
I każdy do psa powiada:
—„Oddaj moje dokumenta!“

Pies czuje, że to sromota —
I szkoda mu leśnych dzieci;
Za to, gdy ujrzy gdzie kota,
Heżha za nim! aż pył leci.

Kot przed nim na dach ucieka,
Albo do drzewa gdzie dotrze.
Pies tylko gniewliwie szczeka:
—„Oddaj papiery nam, łotrze!“

Kot czmycha, parska ze drżeniem,
Nudzi się taką zabawą;
Za to nad myszém plemieniem
Mści się codziennie i krwawo.

Odtąd w zwierzęcéj zaciszy
Zmienił się porządek błogi:
Niedźwiedź, wilk, pies, kot i myszy
Są sobie śmiertelne wrogi.

Ktoś chciał ich jednać powoli,
Lecz to zaliczmy do baśni:
Niezgoda — cecha niewoli—
Na wieki wieków ich waśni.

1861. Borejkowszczyzna.

SZKOŁA WIEJSKA.

GAWĘDA.

I.

Na końcu naszéj wioski stała się nowina:
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, — coś nakształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano:
Tu będzie szkoła!

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta;
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni niewarta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu, jak miotełka, żółtawa wyrasta,

Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop, bo
[czyta;
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmiby od rana gwarzył do wieczora.
Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy,
I pędza do roboty mularzy i szklarzy;
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę, — ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niéj z kropidłem, poświęcił jéj ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknéj myśli:
O jutrzni, która niegdyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada;
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź, Duchu Przenajświętszy! A ty, ucz się,
dziatwo!“

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczku.
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna.
Patrzym... co z tego będzie... Matko miłosierna!

A co z miasta przyjechał, ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu Boże zdrowie!
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany;
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
Szkoła jak targowisko o wieczornéj dobie,
Kiedy to naród boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi
Tysiączny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.
Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole
Pchniesz jego dolę?...

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
Musiał za pilność pochwałę dostać,
Bo zuchowato najeżył postać,
I tak sam w sobie odwagę nieci:
— „Mówił ksiądz pleban: „Chłopskie wy [dzieci,
„Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
„Rozwielmożnicie waszą potęgę.“
Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień, i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano;

I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał, jak sztych, litery.
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
I być wielmożnym sam sobie każę.
Lecz czémże będę na bożym świecie?
Pozostać chłopem niemożna przecię;
Tylko nauka poszłaby marnie,
Te, co mój ojciec, znosząc męczarnie,
Wypasać woły nago i boso,
Chodzić z toporem, sochą i kosą,
Żyć łustą chleba czarną i twardą
I nierozumnych ludzi pogardą!
Tego niewarto...

VIII.

„Ot tak na zmianę
Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód, i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo;
Zapuszczę wąsy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnéj cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łajać męża przez cały dzionek.

Pan łaje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednéj osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę.

IX.

„Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy.
Tacy wąsacze! przy Pańskim grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz za to pióra, co zdobią głowę,
Jedno błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca nielitościwe,
Pana Jezusa męczyli srodze,
Za to dziś stoją na jednéj nodze.
Dobrze im za to... Będę malarzem,
I co umiemy, wtedy pokażem.
Nakupię pendzli i farb niemało:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.
Będzie kościołek, będą mogiły,
I organisty domek pochyły,
Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzózka wonią oddychać świeżą,
Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,
I szumieć będą jodłowe wzgórki,

I będzie brzmiała z mojego płótna
Staréj żebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundle, kłócą się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby.
A nad tém wszystkiém obłok poranny,
I widać postać Najświętszéj Panny:
Pana Jezusa mając na łonie,
Ku naszéj wiosce wyciąga dłonie,
I błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościołek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę kwiatem pokrytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który z blizka, albo z daleka.

X.

„Bo tam z za góry ledwie widzianéj
Z chorągiewkami jadą hułany.
Boże mój, Boże! co za koniska!
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużéj!
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w hułany!
Strój będzie złoty,—lecz mniejsza o to,
Tu mi nie idzie o jasne złoto;
Wąs będzie duży,—co mi wąsiska!
Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
Jak wróci z krzyżem ku swojéj strzesie,
Toż to rodzicom radość przyniesie!

Ojciec się spłacze, a matka powie:
—„Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!“
Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
I mnie uścisną dziadowie starzy.
Wartoż dać życie za taką chwilę!...
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamie,
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże,
Na bojowisku strach mię przemoże,
I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
A ludzie krzykną:—„Podłyż ty, podły!“
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,
A dla mnie hańba na całe życie!
Nie!... choć w hułanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur, i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

„Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem,—
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno... trudno hułanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.

Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią;
Za to odpiszę wszystkie szarwarki
I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potém przyjedzie architekt biegły,
Każe nazwozić czerwonéj cegły,

I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszył obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chłopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Gdy matka pańskie młóciła zboże,
Niosąc jéj obiad, byłem we dworze;
Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
Wodna polewka i trzy ziemniaki.
Pan, co pilnował młocków w stodole,
Jakoś polubił biedne pacholę,
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,
I do pałacu swego prowadził.
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!
Na każdéj błyszczy tyftyk złotawy.
Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!
Zdaje się człowiek drażni sam siebie.
A na obrazie, co aż mur łamie,
Panny w kąpieli w złocistéj ramie,
A jakie okna!... jaka podłoga!
Co to za przepych, na miłość Boga!...
Tak samo wszystko u mnie urządzę:
Będą i sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy,
I będę gadał po europsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku,
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jeść marcypany z kwaśnym ogórkiem.
A jak mi matka w staréj siermiędze
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
—„Daj mi, panoczku, daj zapomogę!“

Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z mego domu wypchnąć ich każę.

XII.

„Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddal ode mnie myśli nie czyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,
Gotów opłakać krwawemi łzami.
Niech rówiennicy a swawolnicy
Błotem obrzucą mnie na ulicy!
Na tę myśl ciężką licho mnie wniosło...
Ej, grzeszne, grzeszne, dumne rzemiosło!
Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
Pieśń *o Łazarzu i o bogaczu*...
I przez nauki wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracię uściśnie!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecze:—„Mój mały, *widać, żeś człowiek!*
„Idź uczłowieczać rodzinną wioskę!
„Idź gładko orać skibę ojcowską!
„Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
„Ze starą matką sadzić buraki,
„A wśród buraków wrzuć jéj nieznacznie
„Nasienie słońca, co rodzić zacznie.

„Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
„Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!“

„Otoż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siać je będę na naszéj niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrosną szczęśliwie!
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosy aż pod niebiosy.
A Pan Bóg niwę tutejszéj włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Spłacze się ojciec, spłacze się matka;
Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!

„Chciało mnie zrobić zachcenie wieszcze
Panem, hułanem i czémś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!“

1862. Borejkowszczyzna.

TANDECIARZ.

W rogu ulicy, przy bramie,
Stoi z koszykiem Żyd stary;
Jak Icek w warszawskiéj bramie
Zachwala swoje towary.
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
—„Ja wszystko przedam niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!

„Niech jasne państwo pozwoli
„Obaczyć towar wszelaki:
„Mydło, co bez brzytew goli,
„Jak gdyby piśmiennik jaki;
„Karty, co zmieniać się mogą,
„To bardzo rzecz wyśmienita!
„Och, ja przedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta.

„Ot cybuch! bursztyn, jak jaje,
„Nie włożyć w usta, tak duży;
„Wnet jasnym panem się zdaje,
„Kto tylko z niego zakurzy.
„Można na szlachtę ubogą
„Dym puścić, gdy się z nią wita.

„Och, ja przedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!

„Mam dzwonek—u tego dzwonka
„Serduszko takie jest przednie:
„Jak pan w salonie zabrząka,
„Służba ze strachu pobled nie.
„Lecz trzeba trzymać ją srogo,
„Bo z dzwonka może być kwita.
„Och, ja przedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!

„Mam wodę na różne plamy:
„Gdy nikną naprzykład wdzięki,
„Lub gdy się czasem zbrukamy
„Dotknięciem niegodnéj ręki;
„I takie wymyć się mogą,
„Co się od *wziątków* nachwyta.
„Och, ja przedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta.

„Co! przestarzałe towary?
„Jegomość! czy mówisz szczerze?
„Ej stary jestem! ja stary,
„W gruszki na wierzbie nie wierzę!
„Poczciwość z biczem, z ostrogą
„Na krótki popas zawita!
„Ja sprzedam towar niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta.“

1862. Wilno.

BŁOGOSŁAWIONY SZEWC
ŚWIĘTOSŁAW.

1480 r.

Ledwie świta jutrznia dniowa
W mglistéj niebios ustroni;
Dzwon Zygmunta wśród Krakowa
Na pacierze nie dzwoni.

Sennym taktem zegar stary
Ściele głos swój po ziemi;
Ulatują senne mary
Nad głowami ludzkiemi.

Tylko widać lampę skrytą
W oddalonéj gdzieś chacie;
Bije młotem o kopyto
W lichym szewckim warsztacie.

Tam Świętosław, prostak boży,
Całą noc się mozoli,
By sieroty albo chorzy
Mieli ulgę w swéj doli.

Z jego pracy—biednych plony;
Żył wyrobnik jak święty:

Skarb miłości niezmierzony
 W jego sercu zamknięty.

Zapracować, co się zdarzy,
 To on wszystko, co zyska,
Zaraz niesie do nędzarzy
 Gdzieś w podziemne sklepiska.

Na poddaszu—wiecznėm kołem
 Nędzy ciągnie się proba;
Starość jęczy pod kościołem,
 A w podziemiu choroba.

Przed trybunał lichwiarz wlecze
 Nieszczęsnego dłużnika;
Biedne syny wy człowiecze,
 Ileż plag was dotyka!

Lecz Pan męże swoje budzi
 Ku cierpiących ochronie;
Wszystkie bole wszystkich ludzi
 Czuł Świętosław w swém łonie.

Stary kubrak go obleka,
 Pas rzemienny zwykł nosić,
Twardy kołacz, puhar mleka,
 To dla niego i dosyć!

Ale inni? nieszczęśliwi!
 Jakaż dni ich osnowa?
Czém ta matka dzieci żywi,
 Kiedy chora i wdowa?

Zkąd to zdrowie tak wyborne,
U odartych tragarzy?
Zkąd rzemieślnik ma komorne,
Gdy się praca nie zdarzy?

Wszedł Świętosław w imię boże,
Zaraz w chacie już lepiéj;
Kopą groszy zapomoże,
Dobrém słówkiem pokrzepi.

Gdy dla bliźnich wszystko traci,
Z uległością powinną,
Kochał matkę, swoich braci,
Swoją ziemię rodzinną,

Króla, senat, mniejsze stany,
Pola, góry i drzewa;
Nieraz klęcząc, łzami zlany,
Modły za nie wylewa:

Za powagę majestatu,
Za hetmańską buławę,
Za szykowność rad senatu,
Za sejmową ustawę.

Takie czyny wielkiéj duszy
Przebijają mur nieba;
Taka modła skały kruszy,
Takiéj krajom potrzeba.

Świętosława zapał szczery
Ma u Boga zapłatę:

Widzeniami z wyższéj sfery
    Opromienia mu chatę.

* * *

Raz, jak zwykle, przy kaganku
    Pukał młotkiem przed świtem,
Dusza jego bez ustanku
    Wirowała zachwytem.

A modlitwa szła radośnie
    Do podnoża Jehowy:
Każde słowo w obraz rośnie,
    Promienisty, tęczowy.

Wtém przez okno widzi rzesze
    W uroczystym pochodzie:
Hufce konne, półki piesze,
    Pierwszych mężów w narodzie.

Strój uroczy oko dziwi
    W piękném gronie kobiecém,—
Z koszturami starcy siwi,
    Dzieci z palmą i kwieciem.

Mąż wspaniały, z długą brodą,
    Wiedzie orszak ludowy, —
Dwaj kapłani starca wiodą,
    Uchyliwszy swe głowy.

Strój biskupi go obłoczy,
    Od brylantów i złota;
Zachwyceniem płoną oczy,
    W ustach święta szczerota.

Kler młodzieży niezliczony
    Śpiewa pieśnię „*Hozanna!*“
Cały Kraków bije w dzwony,
    Płonie jutrznia poranna.

Biskup w świata cztery strony
    Przeżegnania udziela;
Klęka przed nim lud wzruszony,
    Płacząc łzami wesela.

Ku katedrze Zbawiciela
    W górę Wawel lud płynie,
Tylko biskup się oddziela
    K'Świętosława mieścinie.

Skrył się w cieniu mąż pobożny —
    Wtém głos słyszy za sobą:
—„Przyjacielu! nie bądź trwożny
    „Przed tą świętą osobą!

„To Stanisław Szczepanowski,
    „To męczennik wsławiony,
„Ulubiony sługa bozki,
    „Dawny biskup téj strony.

„On za lud swój walczył długo,
    „Przelał własnéj krwi zdroje,
„On te tłumy swą zasługą
    „Wiedzie w niebios podwoje.

„Kogo przemoc uciemięża,
    „W kim się duch już osłabił,

„Do świętego módl się męża,
„Co Bolesław go zabił.

„Kiedy grozi wam ruina,
„Bądźcie w modłach wytrwali;
„Ten, co wskrzesił Piotrowina,
„I wam życie ocali.

„Jeszcze innych sześciu męży
„Niebo z Polski posiada;
„Téj potęgi nie zwycięży
„Ziemskich hufców gromada.

„To krew ze krwi, kości z kości,
„W nich zastępców znajdziecie;
„Poglądają z wysokości,
„Czy wam dobrze na świecie.

„Tam, w klasztorze Dominika,
„Mieszka Ojciec Wincenty;
„W celi wiecznie się zamyka,
„Modlitwami zajęty.

„Nad książkami wiecznie siedzi,
„Ssąc z nich zdrowie dla ducha.
„Idź do niego do spowiedzi —
„On cię wdzięcznie wysłucha.

„A zebrawszy lud z ulicy,
„W imię Pańskie pozdrowi,
„I rozpowie z kazalnicy,
„Jak Bóg sprzyja ludowi!...“

Gdy Świętosław trwożne oczy
Wszędzie rzuca nieśmiało,
Zmilknął nad nim głos proroczy,
I widzenie ustało.

Szedł i czynił, co głos każe,
A sprzedawszy swe mienie,
Pieniądz oddał na nędzarze,
Włożył grube odzienie.

W pokutników idąc ślady,
Ślub ubóztwa uczyni,
I siadł w kruchcie między dziady
W Maryackiéj świątyni.

Szła jałmużna dosyć sporo,
Lecz, co przyśle mu doba,
To wieczorem biedni biorą,
Albo świątyń ozdoba.

Wreszcie poszedł w świat nieznany,
A gdy w grób się położy,
Wołał naród i kapłany:
„Błogosławion człek boży!“

* * *

Wszystkie stany bez różnicy
Pan przytula do łona:
I wy, polscy wyrobnicy,
Macie w niebie patrona.

Wrzesień 1862. Wilno.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ II.

UTWORY DRAMATYCZNE.

ROK W PIEŚNI.

KANTATA DO MUZYKI ST. MONIUSZKI.

Introdukcya.

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,
Kto w pieśni rad swojskie powietrze chwyta,
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,
I prosty lud wioskowy zaściankowy,—
Kto chciałby tam
Marzyć jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo,
I letni skwar, i jesień szczodrobliwą,
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa,
I straszny grom, co bije w dzień Borysa,
I granie trąb, i nasze gwarne łowy,
I skrzypiec dźwięk, gdy wieczór dożynkowy.
Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:

Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

Przypomnim wam zimowych wichrów świsty,
Wieczornic gwar, i kulig uroczysty,
Pamiątkę świąt—zakolędujem, spiejem
Na stary ład piosenkę o Betlejem;
I rozlew rzek, i wiosny oddech nowy,
Skowronka hymn, i jasny dzień majowy.
Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

CZĘŚĆ I. LATO.

Recitativo.

Jutrznia na niebie świtać poczyna,
Nad rośną trawą błądzi mgła sina,
A po nad rzeczką ptactwo świergota—
Słowik w olszniaku, chróściel z nad błota.
Śpi wioska w mroku szarych półcieni,
Ludzie, wczorajszą pracą znużeni,
Błogim spokojem zdjęci chwilowo,
Wzmacniają siły na pracę nową.
Kto umie oczy podnieść ku górze,
Widzi, jak Pańscy anieli stróże
Latają chórem, śpiewają radzi,
Po nad chatami sielskiéj czeladzi,
I błogosławiąc jéj sny poranne,
Bogu za ludzi pieją *Hozannę*.

Chór aniołów.

O święty, święty, święty,
Boże i Ojcze nasz!
Co lud ten snem ujęty
Zdałeś pod naszą straż!
Oto gromada ludzi,
Gromada bożych sług,
Do pracy wnet się zbudzi,
A weźmie sierp i pług.
Błogosław prac ich znoje,
Plonem ich ziemię darz —
I święć się Imię Twoje,
Boże i Ojcze nasz!

Recitativo.

Lecz się różowa jutrznia rozszerza,
Zbudził się kogut, skrzydły uderza,
I zapiał silnie pobudki hasło,
Że aż nad rzeczką echo zawrzasło.
I czujne kury, jak gdyby czaty,
Podają hasło z chaty do chaty,
Że wstawać pora. Stary Wasili,
By zbudzić swoich, czekał téj chwili.
Już od godziny sen go nie bierze,
Chodząc po dworze, mówi pacierze.
Jużby się z rosą napasła trzoda,
Lecz budzić młodszych staremu szkoda:
Syn jego Janko pracował dosyć,
I wczora kosił, i dziś ma kosić;
Lecz to już taki zwyczaj młodzieńczy,
Że śpi jak kamień, kiedy się zmęczy.
„Coś sobie marzy i przez sen gada

O krasnéj Hannie, córce sąsiada;
Niech sobie marzy, sercu dogodzi,
I my starcowie byliśmy młodzi.
Sen w biedach serca jedną pociechą!
Lecz kiedy kogut zapiał nad strzechą,
Zapiał powtóre, zapiał raz trzeci,
Wstań do roboty, wstań, synu kmieci!
Słonko pogodne, korzystaj z chwili."
Tak sam do siebie mówi Wasili.
Choć mu żal budzić synów i wnuka,
W okno do chaty donośnie puka.

Wasili.

Wstawajcie dzieci! świta na dworze,
Już od godziny krzątam się sam,
Już z za pagórka słoneczko boże
Brzask na dzień dobry przesyła wam.
Otwórzcie ze snu, otwórzcie oczy,
Leniwéj drzemki już minął czas.
Z Bogiem pocznijcie wasz dzień roboczy,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.
Wstawajcie dzieci! do pracy czas!
Już od godziny krzątam się sam,
Słońce dzień dobry przesyła wam,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.

Recitativo.

Już na głos starca w chacie się szerzy
Gwar pogadanki i szmer pacierzy.
Jak na głos matki robocze pszczoły,
Sypie się z chaty naród wesoły,
A komu oczy orzeźwić trudniéj,
Bieży je przemyć do chłodnéj studni;

A komu chatnia przykrzy się ława,
Chłodnym wietrzykiem piersi napawa.
Tak, pokąd światło ziemię ogarnie,
Chatnie podwórze odżyło gwarnie;
Odżyła wioska w rannéj pomroce,
Starcowie gwarzą, młodzież chychoce.
Ów idzie z kosą, drugi do żniwa,
Wójt do roboty dwornéj zwoływa,
I w końcu wioski naród się tłoczy,
Wyszedł na pole orszak roboczy.
Janek przy Hannie—lecz spuścił głowę,
Chciałby rozpocząć słodką rozmowę;
Lecz kędy miłość do serca wpadnie,
Tam pogadanka idzie niesnadnie.
Od czego począć?—niełacna rada,
Serce już sercu resztę dogada,
Dusza przed duszą jakoś się sprawi,
Ale w około ludzie ciekawi,
A więc ostrożnie, z cicha, nieznacznie,
Niby przypadkiem, tak mówić zacznie:

Janek.

Dzień dobry, Hanno! droga w połowie,
A twego głosu nic nie rozbudzi.
Jakie ci chodzą dumki po głowie,
Że się odezwać nie chcesz do ludzi?

Hanna.

Dzień dobry, Janku! myśl gdzieś się błąka
I do gadania chętka nie bierze.
Ja sobie słucham pieśni skowronka
I po cichutku mówię pacierze.

Janek.

Co ten skowronek? lata nad zbożem,
Czyniąc w powietrzu jakieś igraszki.
Ty nam zaśpiewaj, my ci pomożem,
Ty, Hanno, lepiéj śpiewasz niż ptaszki.

Hanna.

Śpiewać nie będę,—twoja pochwała
Do mego serca nic się nie wkradła.
Wszystkich piosenek jam zapomniała,
Poranna rosa na piersi spadła.

Janek.

O, wiem ja dobrze, co ci się święci,
Czemu ci rosa na piersi spada!
Nie brakło piosnek twojéj pamięci...
Kto inny prosi, ty śpiewasz rada.

Hanna.

Bój się ty Boga, dziwny człowiecze!
Rad, kiedy zręczność do kłótni zyska.
Lada dla żartu coś się wyrzecze,
Już zaraz gniewy i przymówiska.

Janek.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.
Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

Hanna.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.

Chór.

Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

PIEŚŃ.

Hanna.

Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
Że cię zeżniem z pola?
Pókiś jeszcze trawka młoda,
Póty życie i swoboda,
Póty lepsza dola!

W pośród listków i badyli
Rośnie kłos zielony,
To do kwiatka się przymili,
To wesołą głowę schyli
W rozmaite strony.

Chór.

Deszcz dla niego—to otucha,
Wicher—to swawola;
Zda się żyje w pośród pola
I skowronka słucha.

Hanna.

Przeszła wiosna, przeszła marno,
Nastał miesiąc nowy;
Kłos obciąża bujne ziarno,
Jako myśli, co się garną
Do poważnéj głowy.
On zesmutniał w suche lato,
Zżółkniał w czas dojrzania,
Przeszła młodość, cóż mu za to?

Głowę, plonem choć bogatą,
Ku ziemi nakłania.

Chór.

Skwar i słota go przeraża,
Grad i wicher troska,
A wesoły śpiew żniwiarza
Śmierci dłań pogłoska.

Hanna.

Ej! lepiéj być trawką w wiośnie,
Pieszczotą motyli,
Niźli kłoskiem, gdy wyrośnie,
Ociężeje i żałośnie
Ku ziemi się schyli.
Lepsza młodość i śmiech skory,
Choć nie ma w nim treści,
Niż późniejszéj wieku pory
Mądre, suche rozhowory
Z westchnieniem boleści.

Chór.

Puśćmy ducha na swobodę,
Gońmy senne mary:
Lepiéj nosić serce młode,
Niźli rozum stary.

PIEŚŃ.

Wójt.

Héj, chłopcy! na łąkę i kosić!
Jesteśmy przy drożnéj figurze.
A dosyć tych śpiewów, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!

Kwiateczki i wiatrów igranie,
Dobre to w piosence pastuszéj;
To u mnie gospodarz, mospanie,
Co kwiatki na sianko wysuszy.
Was, dziewki, do żniwa mam prosić,
A snopy związywać mi duże!
I dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!
Te kłosy, to wiatrów igranie,
Zabawka dziecinna i marna;
To kłosek najlepszy, mospanie,
Co wyda najwięcéj mi ziarna.

Hanna.

O Janku! ruszajcie już kosić,
Daj radę wójtowskiéj naturze.

Wójt.

A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!
Ja będę przechadzał się blizko,
Do kośby, do żniwa się wtrącę;
Niech będzie gładziutkie ściernisko
I równe przekosy na łące.
Ja umiem upartych poprosić,
Zaradzić upartéj naturze.
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!

Recitativo.

Przez długie morgi w śmiechu i gwarze
Długim szeregiem stoją żniwiarze.
Wójt ich gromadę dzieli na części;
Zboże dojrzałe pod sierpem chrzęści,

A kędy ostre żelazo błyska,
Ciągną się długie pasma ścierniska.
Słońce, z niebieskiéj patrząc oddali,
Głowę żniwiarek gorącem pali;
Ręce ich ostre kaleczą ciernie;
Wójt w pracy nagli niemiłosiernie.
Źródlanéj wody w gorącej chwili
Ostatnią konew żeńcy wypili.
A przecież poradź z ochotą młodą!
One się śmieją i piosnkę wiodą.
Bo młode piersi sielskiéj dziewoi
Piosnka nakarmi, piosnka napoi,
Piosnka umocni ustałe ręce;
I śmiech, i boleść—wszystko w piosence.
Więc hoża Hanna, idąc po przedzie,
Ład na zagonach i w piosnkach wiedzie.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

Przepióreczka w zbożu kwili,
Żeśmy gniazdo jéj zburzyli!
I ze złości nieszczęśliwa
Różne rzeczy wygadywa;
Wygadywa i przeklina...
Ej, złośliwa to ptaszyna!

— „Piejcie żeńcy! żnijcie zboże!
„Wszak bogaty pan we dworze;
„Choć pragnienie głos wam trudni,
„Teraz wyschła woda w studni,
„Ale gdy się wszystko pożnie,
„Pan uraczy was wielmożnie,
„Da wam miodu, da wam wina!“
Ej, złośliwa to ptaszyna!

„Pijcie, żeńcy, pijcie do dna,
„Bo daleko wioska głodna.
„Gdy wiosenne słonko wstanie,
„Ciągną zboże na przystanie,
„Wicinami k'Niemcom gonią,
„A po wioskach w dzwony dzwonią,
„Śmierć swe żniwa rozpoczyna“....
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Przepióreczka kwili w życie,
Panie wójcie, czy słyszycie?
Bież do dworu, pański sługo,
I przynieście strzelbę długą,
I zastrzelcie nam na dziwo
Przepióreczkę szczebiotliwą,
Niech nie jęczy, nie przeklina.
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Wójt.

Héj żwawo! czyż długo mam prosić?
Pilnujcie porządku na sznurze!
A dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!
Czujecie, jak pali.... jak parno....
Zachodnia zachmurza się strona;
Deszcz będzie... zamoknie mi ziarno...
Robota przy snopach stracona!
Héj, żwawo do kopy je znosić!
Zagrzmiało... zbiera się na burzę...
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczéj zawtórzę!

Chór.

Czujecie, jak pali... jak parno...
Zagrzmiało... to Pan Bóg się gniewa.
Wiatr chmurę napędza już czarną,
I grozi straszliwa ulewa!

Hanna.

Jakby krwią słoneczko po ziemi
Mignęło... i w chmurę się chowa;
A chmura kłębami czarnemi
Wije się, jak chusta grobowa,
Świat zmienia w pieczarę podziemną.
Wiatr ustał.... to cisza złowroga....
I straszno.... i głucho.... i ciemno....
Módlmy się! módlmy do Boga!

Chór.

Deszcz bujny kroplami już spada,
Wiatr zerwał się w czarnéj pomroce,
Co spotka, uchyla, gruchoce...
Módlmy się, bo idzie zagłada!

Recitativo.

Wtém błyskawica, jak gdyby żmija,
Ognistém pasmem niebo przebija;
Piorun uderzył w rozdartą chmurę,
Aż ziemia drgnęła raz i powtóre,
I grom zahuczał w strasznym rozgwarze,
Strwożeni ludzie padli na twarze.

Chór żniwiarek.

A Słowo jego.... a Słowo....
A Słowo stało się Ciałem!

Nie racz nas, wielki Jehowo!
Karać piorunnym postrzałem.
Niech nas Twa łaska osłania
W miłosierdzie bogata!
W chwilę Twego zagniewania
Nie bierz pomsty ze świata.
Czy w dobry czas
Popieścisz nas,
Czy w gromie drgasz,
Tyś Ojciec nasz!
Tyś Ojciec nasz!

(Łoskot burzy przerywany szmerem modlitwy).

Hanna.

O! dzięki.... dzięki Ci, Chryste!
Snadź już się Pan Bóg nie gniewa:
Przechodzą gromy ogniste,
Ucichła straszna ulewa.
Z pod chmury — dzięki Ci, Boże! —
Zachód rozwidnił się złoty;
Ale już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

Chór.

Człowiek pracować nie może,
Przemoknął w polu od słoty;
Oto już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

Wójt.

Jeszcze z daleka i z cicha
Dochodzi nas łoskot gromu;
Idźcie już, dzieci, do domu!
Jam głodny, zmokły do licha!

Czuję, że serce mi wskrześnie,
Kiedy się człowiek posili.

Chór.

Hanno! zaśpiewaj nam pieśnię,
To będzie wracać nam miléj.

Hanna.

Po nocnéj rosie
Płyń, dźwięczny głosie!
Niech się twe echo rozszerzy,
Gdzie nasza chatka,
Gdzie stara matka
Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,
Niwa nieżęta
Niechaj przez jutro dojrzewa;
Niech wiatr swawolny,
Niech konik polny,
Niechaj skowronek tu śpiewa!

Blizko już, blizko
Chatnie ognisko,
Znużone serce weseli;
Tam pracowita
Matka mię spyta:
—„Ileście w polu nażęli?“
—„Matko, jam młoda,
„Rąk moich szkoda,
„Szkoda na skwarze oblicza!
„Źle szła robota,
„Przeszkadza słota,
„I moja dumka dziewicza.“

Recitativo.

Nie masz, jak w lecie święta niedziela,
Dzień odpoczynku, chwila wesela!
Gdy dzwon kościelny jutrznię wydzwoni,
I wiatr swobodniéj hula po błoni,
I trzoda rankiem weseléj ryczy,
I człek zapomni przeszłych goryczy;
Bo porankowych marzeń u ludzi
Wójt kołataniem w okno nie budzi.
Wolno ci, chłopcze, podniosłszy głowę,
Nie dbać na groźne miny wójtowe,
Wolno-ć się lubéj słodko zalecić,
Wolno ci, dziewczę, głowę zakwiecić,
W świątecznéj bieli wyglądać hożo,
Idąc w gromadce na służbę bożą.
A cóż w kościele? aż spojrzeć pięknie,
Gdy przed obrazem gromada klęknie
I uszanuje Twe rany, Chryste!
Spojrzy w oblicze Matki przeczyste;
Przy biciu dzwonów śpiewając pieśnie,
Dusza ożyje i serce wskrześnie,
I tak umocni modlitwa święta,
Że żadnych cierpień człek nie pamięta.
Tylko wieczorem idąc z kościoła,
Kiedy dźwięk skrzypiec w gospodę woła,
I miód niedzielny myśli rozmarzy,
Starzy biadają — zwyczajnie starzy,
Oto w gospodzie gwar, zalecanka,
Młodzież się raźno zwija wśród tanka;
A otoczeni poważném gronem,
Stary Wasili z kumem Szymonem,

Trącając w czarki, kiwając głową,
Zrzędzą na ciężką biedę wioskową.

Szymon.

Co to będzie? ciągłe deszcze,
Już zamokła niwa;
Jam połowy nie zżął jeszcze,
Żal się Boże żniwa!
A gdy zboże chybi zbioru,
Będzie głód i nędza.
Miéj w zapasie czynsz dla dworu,
Kolędę dla księdza.
Żona głodna, dziatwa naga,
Spocząć ani chwili,
Za niedobór wójt wysmaga...
Źle, kumie Wasili!

Wasili.

Ej! pamiętam lepsze czasy:
Człowiek żył w rozkoszy,
Zboża rosły gdyby lasy,
Czynsz był kilka groszy.

Szymon.

Ryba w koszu, a człek w biedzie
Napróżno się sili...
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Wasili!

Wasili.

Ku gorszemu wciąż się wiedzie,
W pracy krzepną dłonie...
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Szymonie!

Szymon.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,
Lichaśmy dożyli;
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie!
Źle, kumie Wasili!

Wasili.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,
W pracy krzepną dłonie;
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Szymonie!

Razem.

Janek.

Dość jęczeć na biedę i pracę kląć mozolną!
Drzemiecie, grajkowie! a niech was Pan Bóg kocha!
W niedzielę, w gospodzie, po pracy spocząć wolno.
I sercu dozwolić, niech sobie hula trocha.
Starcowie! ojcowie! rozkażcie miodu wnieść!
Dziewczęta! jagódki! ja będę taniec wieść!
Wyskoczym, aż w niebie zazdrościć będą nam.
Graj, stary muzyku! na struny grzywnę dam!

Wasili.

Bies licho przebędzie! Chłopaki, kółko czyńcie!
Graj, stary muzyku! dostaniesz kufel miodu!
Pamiętasz? pamiętasz? jak to przy twojéj kwincie,
W téj saméj gospodzie, hasałem ja za młodu?
Starcowie! ojcowie! niezgorszy był to czas!
Dziewczęta! jagódki! nie było jeszcze was!
Z waszemi babkami gdym hasał, ziemia drga!
Graj, stary muzyku, bo mi się kręci łza!

Chór.

Bóg święty odgadnie, czy się zbierzemy skoro?
Za chwilę, za dzionek, jesienne dni niezdrowe!

Starcowie zmierają, chłopców do pracy biorą,
Dziewczęta, jagódki zesmutnieć nam gotowe.
Co przeszło, co przyjdzie, zapomnim póki czas.
Ojcowie! starcowie! pobłogosławcie nas!
My w tanku rzęsistym wzbijem gospodny pył,
Graj, stary muzyku, dopóki starczy sił!

1852. Wilno (dom Müllera).

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE

W PIĘCIU USTĘPACH.

OSOBY:

MARYA.
P. HENRYK, literat-poeta.
P. CZCIONKA, księgarz edytor.
P. Sędzia PŁODOZMIAN.

USTĘP PIERWSZY.

(Rzecz w ogrodzie publicznym).

HENRYK, CZCIONKA.

Czcionka.

Raduję się, że pana napotykam wreszcie.
Ho! ho! latasz, łaskawco! masz intryżki w mieście...
Czemu nie? młodzi ludzie... bardzo temu wierzę.
Ja byłem razy ze trzy na pańskiéj kwaterze,
A zastać go nie mogłem.

Henryk.

Co chcesz, panie Czcionka?
Człowiek, idąc bez myśli, łacno się zabłąka.

Chodziłem na brzeg rzeki, splondrowałem góry.
Śmieszna to rzecz doprawdy ta miłość natury:
Codzień patrząc na widok jeden i ten samy,
Nigdy się nie napatrzym, ani nasłuchamy.
Koleje dnia i nocy, wieczoru i ranka,
Zdaje się już zużyta, znana powtarzanka:
Wiosna jest córką kwietnia, jesień listopada,
Latem słońce dopieka, a zimą śnieg pada;
A jednak w tych kolejach niebieskiéj budowy
Codziennie i corocznie upatrzym wdzięk nowy.
Słuchaj, jak szumią drzewa, jak pluchocą wały,
Codzień ci coś doszepcą, czego nie szeptały;
Patrzaj na stare słońce: od tylu stuleci
Jednostajnym sposobem ogrzewa i świeci,
A jednak ile razy z po za chmury błyśnie,
Zawsze ci słodki uśmiech na twarzy wyciśnie,
Codziennie zda się piękniéj wschodzi i zachodzi.

Czcionka.

Najzupełniejszą słuszność mówi pan dobrodziéj:
Natura, jasność słońca i bladość księżyca,
Nie spada ze swéj ceny... to jest... nie przesyca.
Jéj miłe, lubo zawsze jednostajne zmiany,
Porównałbym do książki dobrze napisanéj,
Któréj co rok edycya dostarcza się nowa
I z Lipska, i z Poznania, z Warszawy, ze Lwowa,
Jednak wciąż ją kupują mędrcowie i prości,
Bo stała się potrzebą naszéj publiczności;
Zawsze będzie dla ducha pożyteczną strawą,
Czy ją wydasz *in quarto*, albo *in octavo*.
Otoż z powodu książek, zapytam nawiasem:
Co pisze pan dobrodziéj?

Henryk.

Próżnuję tymczasem.
Lubię pochmurną jesień, jéj mgliste poranki,
Lubię z dobrymi ludźmi siąść do pogadanki.
Tak przechodząc kolejno od gwaru do ciszy,
Czasem się coś wymarzy, czasem coś posłyszy,
Niekiedy dobra książka do ręki mi wpadnie,
To wszystko w głębi duszy gromadzę bezładnie;
Bo z owych wrażeń życia—smutno czy radośnie,
Zawsze się treść wysączy i korzyść urośnie,
Albo sercu pociecha, lub głowie nauka.

Czcionka.

A! teraz zrozumiałem... to pan wrażeń szuka,
I z książki, i z natury, i z przyrody całéj
Do przyszłego utworu zbiera materyały.
Niech mi się godzi spytać: czy ten utwór śliczny
Będzie w guście poważnym, czy humorystyczny?
Czy wierszem? czyli prozą?

Henryk.

A broń Panie Boże!
Ja teraz nic nie piszę, nic w myślach nie tworzę;
Zbieram sobie bez celu wrażenia i fakta.

Czcionka.

Teraz pan nic nie pisze... chyba pod kontrakta.
Trzeba pańskiemu pióru z czémś wystąpić chlubnie,
Na kontraktach we Lwowie, Kijowie i Dubnie.
Co teraz mamy?... sierpień... aż mię strach ogarnia!
Wrzesień zajmie cenzura, październik drukarnia,
A tu jeszcze dla lepszéj na oko odznaki,
Wypadnie dać rycinę, lub drzeworyt jaki...

Na wszystko trzeba czasu... Daléj, panie, daléj!
W zasłużony kałamarz atramentu naléj,
Śpiesz się, śpiesz pan dobrodziéj dobijać wawrzynu!
Od abstrakcyjnych marzeń czas wziąć się do czynu!
Co zaś do kosztów druku, pomówim w tym względzie.

Henryk.

Ja nic nie będę pisał.

Czcionka.

Pan pisać nie będzie?

Henryk.

Nie myślę.

Czcionka.

Pan nie myśli?

Henryk.

Powtarzam raz trzeci.
Czytałeś pan o czajce bajeczkę dla dzieci?
Ja nie chcę brać za pióro przymuszoną dłonią,
Ja nie chcę gonić natchnień...

Czcionka.

To niech pana gonią!
Zresztą... po co te żarty?.. mnie oczy nie mylą:
Oto w pańskiém mieszkaniu, kiedym był przed chwilą,
Spojrzałem... broń mię Boże!... bez żadnéj rachuby...
I widziałem na stole jakiś poszyt gruby.

Henryk.

Nic z tamtego poszytu obcy nie skorzysta:
To prosto mój pamiętnik... to rzecz osobista,
To pismo nie dla druku, nieprzedażna praca.

Czcionka *(na stronie).*

Hm... autobiografia... to dobrze popłaca;
Można wydać z portretem...
(Głośno:)
Pan dobrodziéj mówi,
Że swój teraz poświęca czas pamiętnikowi;
O czém to, proszę pana?

Henryk.

O wszystkiém, mój panie.

Czcionka.

W rodzaju fantastycznym?...

Henryk.

Mniejsza o nazwanie.
Skupiam wrażenia życia, rozkosze i ciernie.
Ręka drży mi, gdy piszę, a maluję wiernie;
Bo tu każdy obrazek, jak się w głowie kręci,
Rys po rysie przenosząc, maluję z pamięci.
Życie, to rzecz ciekawa, kto je pilno zbada:
W powszednich jego chwilach jest dramat nielada,
A cóż w dni uroczyste, lub w dni ciężkiéj proby?
Oddaj je tylko wiernie, bez żadnéj ozdoby,
Toć gotowi powiedzieć, że zmyślasz z przesadą—
Przy nim dramat Szekspira wyda się za blado.
Dni nasze, jak cień, giną, więdnieją, jak trawa,
A doprawdy żal wspomnieć, bo to rzecz ciekawa!
Co tu różnych obrazów! co tu różnych ludzi!
Jedno rzewne westchnienie, drugie śmiech obudzi,
Albo dumkę wywoła, albo przeszłość cała,
Doświadczenie dawniejsze na przyszłość podziała.
Wierzaj mi, panie Czcionka, uchylmy zasłonę,
W pamięci znajdziem skarby nieukorzystnione.

Czcionka.

Skarby znajdziem? No proszę! któżby ich nie chwytał?
Dla czegoż mają leżeć, jak martwy kapitał?
W obrót je, panie, w obrót! to za krótką chwilę
Dadzą *alterum tantum*, to jest drugie tyle.

Henryk.

Wielką myśl powiedziałeś... Tak, wzorem handlarza
Podwaja własne życie, kto przeszłość rozważa.
Weźmy pamiątki życia, spiszmy je najściśléj,
Wszystko, co się przecierpi, przekocha, przemyśli;
Wykreślmy wierny obraz, choćby w mniejszéj skali,
Ludzi, co z nami żyli, miejsc, gdzieśmy bywali;
Wpuśćmy tu woń powietrza, promień słońca złoty,—
A potém w dzień zwątpienia, smutku czy nudoty,
Kiedy w życiu obecném pocieszenia niéma,
Weźmy kartkę po kartce przesnuć przed oczyma;
A rozważając życia minione koleje,
Gdy się nieraz zapłacze, lub szczerze zaśmieje,
Gdy się migną przed nami młodociane lata,
Gdy serce po dawnemu w piersiach zakołata,
Gdy twarze niegdyś lube zabłysną radośnie —
Toć i wrażeń przybędzie, i życia przyrośnie.
Jak żeglarz nad dziennikiem ubiegłéj żeglugi,
Podróż naszego życia odprawim raz drugi.

Czcionka.

Podróż... to bardzo pięknie... ja sternikiem służę...
Nasza publiczność lubi ciekawe podróże.
Ale przebacz, że prawdę wyświecę ci nagą:
Turczyn wojażujący i *Jakób Arago*,
Toć oba podróżnicy, oba piszą dziwa;
Ale *Turczyn* w księgarni stosami spoczywa,

A za *Podróż Arago naokoło świata*
Mniéj więcéj... codzień prawie... oberwę dukata.
Bo dzisiaj wiek postępu.

Henryk *(zamyślony).*

Tak.

Czcionka.

Wiek dziewiętnasty:
Dziś publiczność rozezna, co kwiat, a co chwasty,
Od rzeczy mdłych, bezbarwnych czytelnicy stronią;
Co jest kwiatem, niech będzie z narkotyczną wonią,
Co jest tylko pokrzywą... jest miejsce i dla niéj,
Niech tylko pali, piecze i aż do krwi rani,—
Wszystko dobrze zapłacą, przyjmą jak najsłodziéj,
Lecz trzeba mocnych wrażeń... słyszy pan dobrodziéj?
Naprzykład, podróż pańska...

Henryk *(ocyka się z zamyślenia).*

Jaka podróż, panie?

Czcionka.

Ach, przepraszam... pamiętnik... poufne wyznanie...
Coś w guście Lamartine'a...

Henryk.

W moim własnym guście.

Czcionka.

Tworzycie nowy rodzaj... a i owszem! stwórzcie;
Niech tylko każda postać, którą nakreślicie,
Ma... jakby to powiedzieć?... ruch, wyraz i życie;
Niech się w każdéj postaci dobitnie i rześwo
Jéj własne charaktery, jéj słowa odezwą...

Ja, widzi pan... w tych rzeczach nie jestem zbyt biegły,
Lecz takie wymagania jakoś się dostrzegły
W pismach krytyków naszych... pan rozumie przecię?
W *Dzienniku* i w *Przeglądzie*, a nawet w *Gazecie;*
A z *Dzienników*, z *Przeglądów*, jak to w handlu widno,
Dzisiaj się i publiczność uczy być wybrédną.
Czy pan to uważałeś?...

Henryk (*machinalnie*).

Widzę wyśmienicie.

Czcionka.

I według tych wymagań kreślisz własne życie?
To pięknie! bardzo pięknie! zgoda co do joty!
Daj mi pan w kilku słowach szkic swojéj roboty.

Henryk.

Chcę, widzisz, panie Czcionka, moją przeszłość całą
Owiać takiém powietrzem, jak się oddychało
W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika
Wieje aromat łąki, gdziem łapał konika;
Chciałbym wydać ten odgłos na rzecznéj zatoce,
Jako fala pienista po żwirze pluchoce;
Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;
Niech mi się zda samemu, że ja dzieckiem jestem,
Że na kiju ojcowskim harcuję ochoczo;
Niech mię lube dzieciństwa postacie otoczą,
Niech mię upominają, żem chłopak swawolny.
Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny;
Niechby moich dzisiejszych czytelników łono
Zadrgało razem ze mną radością szaloną,
Gdym pierwszy raz nauki skończył w imię boże,
Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;

Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocalał,
Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.
Chcę utrwalić piskliwe organy u fary,
Gdym jeszcze służył do mszy, a nasz pleban stary
Wyciągał „Święty Boże!“ całą siłą piersi;
A ludzie, w nabożeństwie gorliwsi i szczersi,
Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,
W sto głosów niedobranych na odpowiedź krzyczą.
Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...
Tak to chciałbym obrazek prześnić po obrazku,—
Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,
Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

Czcionka *(na stronie).*

Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy,
Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.
Czuję węchem wydawcy, że to niezła proba,
Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.
Cóż daléj? słucham pana.

Henryk.

Daléj, panie Czcionka,
Kolejno moje oko w przeszłości się błąka,
I czuję niepojęte artysty rozkosze,
Kiedy wszystkie jéj rysy na kartę przenoszę.
Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę,
Oko łzami zapływa, a serce kołace.
A jednak wśród tych wzruszeń odżywam najsłodziéj,
A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi;
Bo obraz w méj pamięci wyżył się pomału,
Przystroił się w tęczowe barwy ideału.
Dziś dobitniéj się może, niż wtenczas, odsłania
Kronika mojéj wiary, mego wychowania,

Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dla czego?
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzegą,
Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie.
Na przykład: pierwsza miłość...

Czcionka.

Ho! i miłość będzie!
A przyznam się — począłem był tracić otuchę,
Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

Henryk.

Nie bój się!... mój pamiętnik, to nie cmentarz trupi:
Tam na tle młodych rojeń, we właściwéj szacie,
Ruszają się i żyją prawdziwe postacie.
Tam postać mojéj matki, tam siostry, tam krewni,
Tam jest niejedna scena, co serce rozrzewni:
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,
I szlachta, co poluje, i dziewki, co przędą;
Jest nawet organista, co jeździ z kolędą.
Każdą postać maluję tak wiernie, tak święcie,
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcencie,
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głowie,
Czego się nie domyślisz, serce ci dopowie.
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,
Bo serce nadto drżało...

Czcionka *(ze śmiechem)*.

Tę postać... kobiecą
(Widzisz pan, żem się rzeczy domyślił w téj chwili)
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreślili.

Henryk *(z zapałem).*

Ty skreślisz, panie Czcionka? ty!... harpagon blady?!

Czcionka.

Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;
Wszak w poetach miłości jednostajna miarka.

Henryk *(z zapałem).*

Choćbyś serce znał Tassa, choćbyś znał Petrarka,
Choćbyć oczy wyślepił w łacińskim Nazonie,
Nie zdołasz oddać nieba, co w jéj oczach płonie!
Słuchaj... ja byłem stary... byłem bardzo stary...
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czułem nad głową, —
Ona tylko spojrzała... jam odżył na nowo!
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich, i marzenia moje;
A wtórując szczebiotom niewinnego dziecka,
Anim poczuł, jak mija godzina zdradziecka,
Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...
Jam przecię człek statysta—znasz mię, panie Czcionka,
I zadziwisz się pewno: zkąd mi zapał służy?
Jam biegał na wyścigi wpośród malw i róży,
Bo to było w ogrodzie—był wieczór majowy...
Wtém—Bóg wie zkąd tęsknota obwiała nam głowy.
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,
I bolesne westchnienie dwa serca przeszyło,
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,
Dla czegośmy weseli? dla czegośmy smutni?
Dziwne serce człowieka!..

Czcionka.

To dalipan dziwno!
Ja sam, słysząc od pana tę powieść naiwną,

Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegł po méj duszy...
Co pan chcesz za pamiętnik, licząc od arkuszy?
Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę
In octavo minori, nie drukując ściśle.

Henryk.

Co pan chcesz? nie rozumiem.

Czcionka.

Chcę nabyć tę pracę.

Henryk.

Ależ to nie na przedaż!

Czcionka.

Ja dobrze zapłacę:
Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,
Sześć talarów zapłacę i wydam z ochotą;
Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

Henryk.

Źle widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:
Toż moja osobistość, moja dusza przecię!
Chcesz, abym własne serce stawił na tandecie;
Ja tego nie przedaję!

Czcionka.

Widzisz pan, żem skory:
Za jeden arkusz druku *octavo minori*
Płacę siedem talarów—widzisz pan, że dużo.
Dzisiaj trudno o pieniądz, dziś czasy nie służą;
Drukujemy, sprzedajem, a straty ponosim.

Henryk.

Lecz, panie...

Czcionka.

No... pół-ósma—niech już będzie osiem;
Dawaj prędzéj rękopism!

Henryk *(powstając z urazą).*

Co pana ośmiela
Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?
To pismo ciekawości niczyjéj nie wzbudzi:
Kreśliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.
Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku
Świętokradzkiéj źrenicy na cichém ognisku?
Że dla waszéj zabawki, choć w karykaturze,
Najdroższe memu sercu postaci powtórzę?
Że dla was własne piersi i serce otworzę,
Byście anatomiczne zatapiali noże,
Abyście łzę bolesną, kiedy oczy gryzie,
Mogli poddać chemicznéj ścisłéj analizie?
Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,
Niegodzienem zaszczytu, by się mną trudniono.
W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożę;
Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!
Ja siebie nie przedaję.

Czcionka.

I to mię nie dziwi:
Ilu znałem poetów, wszyscy są drażliwi.
Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,
Byś wychodził na pokaz we własnéj osobie?
Owszem... jeszcze rzecz sama na wartości zyska,
Gdy się odmienią miejsca i osób nazwiska;
A że tu pozwolona zupełna swoboda,
Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.
W przedmowie się zazwyczaj wiadomość udziela,
Że to niby pośmiertna praca przyjaciela,
Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!
Jakoś się wydrukuje, jakoś się wyprzeda.

Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,
Naprzykład: *Podróż życia*, lub *Moje notatki;*
Jak pan chcesz, bo co do mnie, byłbym za *Podróżą*.
Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia dużo;
Gdy autor o swéj pracy rozprawia z zapałem,
Musi być rzecz niezgorsza i czarno na białém.
Prawdaż?!

Henryk.

Gorsza, czy lepsza, ale nie na przedaż.
Nie dam panu téj książki.

Czcionka.

Jak to! pan mi nie dasz?

Henryk.

Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

Czcionka.

Pan się, widzę, zbyteczną sumiennością pęta.
Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,
Zmienić nazwiska osób.

Henryk.

Ja nic nie odmienię
I drukować nie myślę.

Czcionka.

Nie??

Henryk.

Za nic na świecie!

Czcionka.

Dałbym panu zadatek w brzęczącéj monecie.

Henryk *(z uśmiechem)*.

Schowaj twój pieniądz w worek, ja książkę w zacisze.

Czcionka *(na stronie)*.

Nie przyjmuje pieniędzy... to pierwszy raz słyszę!

(Głośno).

Namyśl się pan nakoniec — pośpieszmy z umową.

Henryk.

To książka nie dla druku.

Czcionka.

To ostatnie słowo?

Henryk.

Ostatnie i stanowcze.

Czcionka.

Nie masz z panem rady!
Bądź pan zdrów, kiedy moje odrzucasz układy.
Ja śpieszę, nie mam czasu.

(Ściska mu rękę i odchodzi).

Henryk.

Żegnam, panie Czcionka!
Ja sobie pójdę słuchać, jak wodospad brząka;
Pójdę...

Czcionka *(wraca).*

Za pozwoleniem — jeszcze jedno słówko:
Ja chcę kupić rękopism, ja płacę gotówką.
Odmawiasz pan?

Henryk.

Odmawiam.

Czcionka.

Ha! to trudna rada!
Więc przynajmniéj o jedno prosić mi wypada:
Byś tego pamiętnika, z którym tak się biedzę,
Nie odstąpił, broń Boże, mojemu koledze.
Ja, albo nikt nabywcą — daj pan słowo?...

Henryk.

Zgoda!
Przyrzekam, że się nigdy do druku nie poda.

Czcionka.

A jeśliby przypadkiem, jeśli po namyśle,
Panbyś się zdecydował na projekt, co kréślę,
To wtenczas...

Henryk.

Obaczymy — za rok, za dwa lata.

Czcionka *(odchodząc, na stronie)*.

Jak mu grosza zabraknie, to sam zakołata.

USTĘP DRUGI.

MARYA, HENRYK.

Marya.

Ty milczysz, jakbyś nierad, żem dzisiaj wesoła,
Wiesza się myśl pochmurna u twojego czoła.
Czy mię kochasz?

Henryk.

Och, kocham całą duszy siłą!
A cóżby memu życiu radością świeciło?
Zkądżebym czerpał siłę na ciernistą drogę?
Na świecie duszno... chłodno — ja tu żyć nie mogę...
Och! gdyby nie uczucie, którém żyję cały!
Tu nie ma dość powietrza na oddech zbolały!
Ja ciebie muszę kochać całą mą istotą.

Marya.

Kochasz z musu — dziękuję! — ale mniejsza o to!
Czy wierzysz w moją miłość? — odpowiadaj szczerze.

Henryk.

O! wierzę, moja luba, jak we świętość wierzę!
Tą wiarą tylko żyję, tą wiarą się pieszczę...

Marya.

A przecię jesteś smutny.

Henryk.

Och! bo smutniéj jeszcze
Być szczęśliwym, jak w raju, i żegnać się z rajem,
I nie czuć się w możności dać szczęście nawzajem.

Marya.

Jak to?

Henryk.

Posłuchaj, luba! jam zawinił srodze,
Żem ciebie śmiał pokochać, że tutaj przychodzę,
Żem rozdmuchał w twém sercu uczucia żarzewie.
O twojém przywiązaniu ani ojciec nie wie,
Ani świat się domyśla.

Marya.

To i cóż za bieda?
Alboż myślisz, że ojciec méj ręki ci nie da?
On, co ciebie tak ceni, szacuje i kocha!
Zresztą, jeżeli widzisz, że to zdrożność płocha,
Że się czasem widujem w tajemnym sposobie,
Mów mi... mów mi, mój luby, ja co zechcesz zrobię.
Pójdę zaraz do ojca, opowiem rzecz całą:
Jak to się pokochało, jak miłość wyznało;
Kto kocha pełném sercem, całą duszy mocą,
Nie ma się czego wstydzić, ani lękać o co.
Ja ci chętnie powierzam przyszłość mojéj doli;
Ojciec wszystko pochwali, — na wszystko zezwoli;
Czegoż tu więcéj trzeba?

Henryk.

O lube ty dziecię!
Tobie trzeba dostatku i szczęścia na świecie,
Twoja myśl taka czysta, dusza tak niewinna,
Samém szczęściem na ziemi oddychać powinna,
A ja cóż ci dać mogę?

Marya.

Czegoż trzeba jeszcze?
Dasz mi serce wzajemne, dasz mi imię wieszcze,
Toż nam duszę zapełni, próżność zadowolni.
Będziemy sobie razem weseli, swawolni,
Poprzestaniem na chlebie i na nizkiéj strzesie.

Henryk.

Ja nie mam własnéj strzechy.

Marya.

To kup chatkę w lesie.
Małą, z nizkiemi okny, otoczoną sosną.
Wkoło skopiem ogródek... tam kwiatki wyrosną;
Zaprowadzim rój pszczółek w gospodarstwo nasze,
Potém parę gołębi wpuścim na poddasze;
Kupimy parę krówek — toć będzie i mleko;
A w rzece, co za domem płynie niedaleko,
Pluchotać będą rybki, pływać ptactwo wodne.
Czyż jeszcze takie życie niedosyć wygodne?
Wszak my cichéj natury wychowańcy prości;
Czy nam światu zazdrościć? — niech świat nam za-
[zdrości.

Henryk.

Lecz dola twoja świetna — rodzina zamożna...

Marya.

Czyż dostatków na szczęście zamienić niemożna?
A czyż jest większe szczęście nad ustronną ścianę,

Gdzie płynie jedno życie w dwoje serc rozlane?
W koło piękna natura, co nam oko bawi,
Nad nami dobry Pan Bóg, co nas błogosławi.
Słuchaj mię... w takiém życiu myślami i duszą,
Mierność... nawet ubóztwo... koniecznie być muszą;
Będzie więcéj uroku, popędu do pracy,
Serca nam nie potoczą lenistwa robacy,
Żwawo krzątać się będziem o wzajemnéj doli,
Jedno będzie bolało, gdy drugie zaboli,
Jedno cieszyć się będzie drugiego weselem,
I wzajem sobie drogę kwiatami uścielem,
Tysiącznemi drobiazgi — wzajemną przysługą...
Obaczysz... będziem młodzi na długo, na długo!
Marzę: ze snu raniutko wstajemy oboje,
Ja ci kwiatki podleję i krówkę wydoję,
Nazbieram słodkich malin i poziomek w lesie,
Ty sobie będziesz pisał, co ci myśl przyniesie...

Henryk.

Albo pójdę ze strzelbą w majową pogodę.

Marya.

Przyniesiesz mi jarząbka, albo sarnię młode,
A ja cię wyjdę spotkać... gdzieś... aż na rozdroże...

Henryk.

A ja ci za to ładną piosenkę ułożę.

Marya.

I zjemy smaczny obiad.

Henryk.

I siądziem pod brzozą.

Marya.

A ty mi coś przeczytasz wierszami lub prozą.

Henryk.

A ty weźmiesz rysunek lub ręczną robotę.

Marya.

Czasem z polnych stokroci wianek ci uplotę.

Henryk.

Czasem ja pójdę z sochą.

Marya.

Ej, na cóż ta socha?!
Choć zresztą nic niecię̇żko, gdy kto szczerze kocha.
Ja wezmę sierp żniwiarki — me ręce odważne,
I całą kopę żyta za godzinę nażnę;
I wrócimy do domu, spoceni, znużeni, —
Obaczysz, jak wesołość twarze opromieni!
I pobieżymy skocznie o wieczornéj porze,
I łowić żwawe rybki będziem na jeziorze,
Jedną wędką—nie prawdaż? jam biegła w téj sztuce;
Wstyd ci będzie, gdy zręczniéj mój haczyk zarzucę.
I wrócimy do domu z plonem i z chychotem,
A sen nasz będzie błogi.

Henryk.

Ani wątpić o tém!

Marya.

Czy złe życie?

Henryk.

To niebo!...

Marya.

Głowa mi się pali!

Henryk.

Stworzyć niebo na ziemi... zuchwali! zuchwali!
Czy tu takiego szczęścia doczekać się możem?

Och, luba! z marzeniami ostrożnie, jak z nożem,
Bo ci serce zakrwawią, wyssą po kropelce.

Marya.

A czyż nasze marzenia tak zuchwałe wielce?
Innych upaja chciwość, albo pycha zdrożna,
A nam o chatce w lesie pomarzyć niemożna?
Czyż to Boga rozgniewa, że nam będzie błogo?
Kup tylko cząstkę lasu malutką, niedrogą,
Kup ogródek do kwiatków i chatkę poziomą,
Choćby nietynkowaną, choć pokrytą słomą,
Dwie krówki, wędkę z haczkiem i gołąbków dwoje,—
A już się ja o przyszłość nic a nic nie boję!
Znam ojca... on zezwoli... on pobłogosławi.
Otoż jak będą na nas patrzali ciekawi!
Jak nam zajrzą zawistni! — lecz nie nasza wina:
A po co świat dla złota serca zapomina?
Niechże teraz zazdrości, niechaj się nam dziwi!
Jak porzucą egoizm, to będą szczęśliwi:
Wszak tacy sami ludzie, jak my, tak i oni,
Wszak Pan Bóg szczęścia duszy nikomu nie broni.

Henryk *(klęka z zapałem).*

O luba! dziecko niebios szlachetne i piękne!
Z tobą się ciernistego życia nie przelęknę:
Tyś zamknęła w uczuciu wszystkie marzeń światy!
Nie straszy mię ubóztwo; bo mój duch bogaty!
Ja spełnię twoje szczęście, — o czuję, że spełnię!
Bo kochać tak serdecznie, kochać tak zupełnie,
Kochać potęgą duszy nikt silniéj nie zdoła!

Marya *(powstając z uśmiechem).*

Ty chciałbyś ze mnie stworzyć ziemskiego anioła,
A ja prosta ziemianka — proszę cię, mój luby,

Kupując chatkę w lesie, pilnuj się rachuby:
Nie przepłacaj, to pierwsze; a twém okiem wieszczém
Patrzaj, czy dach gruntowny, by nie płynąć z deszczem;
A ważniejszy od pierwszych, to warunek trzeci,
Aby w lesie dość było poziomek i kwieci.
A zresztą Bóg nad nami, dziéj się boża wola.

Henryk.

Kupię ci piękną chatkę, żyzny zagon pola,
I rzeczkę o błękitnéj, kryształowéj fali.

Marya.

A kiedy to nastąpi?

Henryk.

Za miesiąc najdaléj.

Marya.

Miesiąc... jakież to szczęście wabi mię z daleka!
Bądź zdrów — bądź zdrów, mój luby! bo mię ojciec
[czeka.

USTĘP TRZECI.

(*Mieszkanie Henryka*).

HENRYK, PAN SĘDZIA PŁODOZMIAN.

P. Sędzia (*wchodząc pogląda na Henryka, mówiąc do siebie*).

Twarz ma pełną prostoty... lubię takie twarze.

(*Do Henryka, kłaniając się:*)

Czy tu mieszka pan Henryk?

Henryk.

Co mi pan rozkaże?

S ę d z i a *(zawsze z ukłonem).*

Przepraszam.... nie przeszkadzam... do nóżek się ścielę...
Jestem sędzia Płodozmian... słyszałem tak wiele,
Tak wiele chlubnych rzeczy o pańskiéj osobie,
Że cieszę się serdecznie i winszuję sobie
Przyjemności poznania.

H e n r y k.

A niechże pan siada.

S ę d z i a *(siadając z ukłonami).*

Spotyka mię w téj chwili przyjemność nielada:
Wyczytałem w gazecie, w numerku ze środy,
Że pan szukasz nabycia wioskowéj zagrody,
Majątku w stronie leśnéj.

H e n r y k.

Majątku? broń Boże!
Po prostu chatki w lesie, — dwa morgi na zboże,
Parę ulów na pszczoły i kawał ogródka.

S ę d z i a.

Majątek... mająteczek... czy chatka malutka,
To prawie wszystko jedno... Otoż...

(Powstaje z ukłonem).

Co za radość,
Jego szanownym chęciom gdy uczynię zadość!
Mam właśnie mająteczek, bez gruntu, bez włości:
Mieszkali tam leśniczy, albo strzelcy prości,
Nie umieli korzystać, zwyczajnie prostacy;
Lecz tam troszeczkę gustu, a troszeczkę pracy,
Będzie złote jabłuszko, opasane lasem.
Lubisz pan polowańko?

H e n r y k.

A poluję czasem.

Sędzia.

Tam, byle nie zbywało na dobréj ochocie,
Są kaczeczki w jeziorku, są bekasy w błocie;
Wprawdzie błotko z jeziorkiem na gruncie sąsiada,
Lecz to poczciwa dusza... będzie panu rada.
Zresztą, pan, jak słyszałem, i wierszyki pisze,
A nie masz dla poety, jak leśne zacisze!
Tam wspaniałe zarośla, niebotyczne drzewa,
Wiater huczy w sosenkach, a słowiczek śpiewa,
Aż duszą się rozpływa. Ale z ideału,
Przepraszam, że na ziemię powrócę pomału.
Pan tych rzeczy nie lubisz, ale trudna rada:
Bez korzyści poziomych ideał przepada!
Więc mówmy o korzystkach, jakie kupno niesie.
Będziesz pan miał i grzybki, i jagódki w lesie,
I ziółeczka lekarskie, bujne tak dalece,
Że niezgorsze pieniążki można wziąć w aptece.
Zresztą, dwa morgi gruntu, a łąki bez miary;
Wprawdzie w polu piaseczek — na łące... wiszary,
Zwyczajnie... postać lasu właściwa tym stronom.
Ale pan masz naukę!... pan tęgi agronom!
U nas kraj zaniedbany w prostocie wieśniaczéj;
Niech nauka w pustynie zagłębić się raczy,
A znajdzie plon szeroki, niesłychany w mieście:
Fizyk, chemik, botanik, archeolog wreszcie,
Ktoś, jak pan, co wioseczkę rozpoznawszy trocha,
I rozumem oceni, i sercem pokocha,
Z cierniska stworzy róże — piękne, wonne róże.
Jakże będę szczęśliwy, gdy panu usłużę!

(*Siada*).

Henryk (*z uśmiechem*).

Jakaż tego obszerność?

Sędzia.

Ze trzy morgi może.

Henryk.

A czy dach nie zacieka?

Sędzia.

Chowaj Panie Boże!
Przed kilkunastu laty przeciekały deszcze,
Więc go pokryłem słomką — ta trzyma się jeszcze.
Ideał wiejskiéj chatki! a zwłaszcza w jesieni,
Gdy się meszek na dachu bujnie zazieleni,
To widok malowniczy, domowy, ojczysty,
Co się gwałtem napiera pendzla pejzażysty.
Och! po cóż interesa ciążące na karku
Zmuszają mię zamieszkać w podmiejskim folwarku!
Tam, tam znalazłbym szczęście, odpoczynek, zdrowie,
Tam, w *Czartowéj Pustyni*, — tak się chatka zowie.
Nie zmieniałem téj nazwy — rozumiesz mię, panie!
Bo ja kocham lud wiejski, szanuję podanie.
W nazwie miejsca jest zawsze przeszłości oznaka,
Musi być legendeczka, tradycyjka jaka;
Ktoś szczęśliwszy odszuka, wybada, wyszpera:
Długo Troja czekała na swego Homera.
Pan to lepiéj rozumiesz, jako biegły w sztuce,
Ja tylko myśl nastręczam i projekcik rzucę,
Ziarneczko w bujnéj roli, wiem, że nie przepadnie.

Henryk.

Nazwa dość malownicza, ale brzmi nieładnie.

S ę d z i a *(zakłopotany).*

Jak... to można odmienić, tylko z innéj temy:
Z *Czartowéj* na *Czarowną* pustynię ochrzcimy,
Wszak to zmiana malutka... tylko dwie litery...

H e n r y k.

A dalekoż ztąd do niéj?

S ę d z i a.

Będzie mil ze cztery.

H e n r y k.

Musiałbym to obaczyć.

S ę d z i a *(powstając).*

A i owszem! proszę!
Już panu jéj zalety skreśliłem po trosze...
Choć zresztą... jeśli, panie, lękasz się bezdroży,
To się i tu na miejscu kontrakcik ułoży,
Obustronną dogodność mając na uwadze.
Już pan tylko zaufaj — ja pana nie zdradzę!

H e n r y k.

Cóż pan cenisz tę chatkę?

S ę d z i a.

Za ów majączek
Dawano mi przed rokiem, bez najmniejszych sprze-
[czek...
Dawano mi... tak... dobrze... coś się w głowie kręci!...
Licząc dwa morgi gruntu, ogrom sianożęci,
Licząc zabudowania (niech się pan nie lęka),
Bo przy chatce jest jeszcze obórka maleńka,
Licząc drzewka, zarośla, olszniak gęstoliści,
Kwiatki, grzybki, jagódki i dalsze korzyści,
Wszystko, co można użyć lub spieniężyć w mieście,
Dawano mi... talarków... trzy tysiące dwieście.

Henryk.

To za drogo, mój panie.

Sędzia.

To wcale niedrogo:
Zapytaj pan sąsiadów, choćby Bóg wie kogo,
Co powiedzą o mojéj Czarownéj Pustyni?
Co dziś daje intratki? co kiedyś uczyni?
Za drogo!...

(Zamyśla się).

Co tu począć?... ale mniejsza o to:
Owe dwieście talarków odstąpię z ochotą;
Więc tylko trzy tysiączki.

(Kłania się).

To za bezcen, panie,—
I wszystkie koszta prawne, poszlina, przyznanie,
Przytém intromissyjka do ustroni w lesie,
To panu jedno z drugiém... niewiele wyniesie,
Bagatelka, drobnostka... Kończmyż o pustyni.
Mój szacunek dla pana natrętnym mię czyni;
W rzeczach serca jam miękki, u mnie krew nie woda;
Mająteczek za bezcen... lecz duszy osłoda;
Nie żałuję, żem zrobił ustępstwo tak duże:
Może tém jego przyjaźń szanowną zasłużę.
Co tam! cztery tysiączki każdy mi wyliczy;
Ale gdzie tyle szczęścia, gdzie doznam słodyczy?
Gdzie tyle przyjemności?

Henryk.

Dzięki, panie, dzięki!

Sędzia.

Więc kończmy interesik drobniutki, maleńki.
Podaję waruneczki dla pana korzystne;

No! dobijajmy targu—niech dłoń pańską ścisnę—
Trzy tysiączki, bagatel!

Henryk.

Ja myślę inaczéj:
Bo dla mnie taka kwota bardzo wiele znaczy.
Muszę siebie obliczyć, porachować ściśle;
Daj mi pan nieco czasu, niech trochę pomyślę.

Sędzia.

A i owszem! i owszem! bardzo mi przyjemnie.
Wprawdzie inni stanowczo chcą słowa ode mnie,
Prędziutko chcą zapłacić ów leśny zakątek;
Lecz dla pana poczekam. Co dziś mamy?... piątek,
Więc w niedzielę stanowczo... skończymy i dosyć.
Miałbym jeszcze prośbeczkę—jeśli wolno prosić—
Byłbym uszczęśliwiony nad wszelkie wyrazy:
W niedzielę po mszy świętéj—na barszczyk i zrazy,
Na szlachecki obiadek zajdź, łaskawy panie.

Henryk *(z ukłonem).*

Z największą przyjemnością przyjmuję wezwanie.

Sędzia.

Obiadek, obiadeczek—czém chata bogata!...
(Patrząc na zegarek).
Jak w miłém towarzystwie czas prędko ulata!
A tu pracy... co pracy! aż się w głowie kręci!
Żegnam... dobremu sercu... łaskawéj pamięci
Polecam się, polecam!
(Podaje rękę).

Henryk.

Żegnam pana szczerze.

Sędzia.

Więc w niedzielę...

Henryk.

Pan moją odpowiedź odbierze.

Sędzia.

Ułożym waruneczki, pogadamy z blizka.
Do miłego, prędkiego z panem obaczyska!

(Kłania się raz jeszcze i odchodzi).

Henryk (*sam*).

Przeczuwam – choć to przeczuć nie tak trudna sztuka,
Że ten grzeczny jegomość gładko mię oszuka.
Trzy tysiące... dla niego taka mała kwota,
A ja za całą pracę nędznego żywota
Nie zdołam tyle zebrać... Dałbym mu z ochotą,
Niechby sądził, że ujął swą grzecznością złotą,
Że wykrętną wymową oszukał prostaka.
Mniejsza o to... niech sądzi... ale kwota taka,
Zkąd ją wezmę?.. A gdzie tam!.. nie myśleć o chatce.
Mam półtora tysiąca po umarłéj matce,
Mam srebro, co pamiątką po rodzicach służy,
Z ojcowskiego żupana mam dyament duży,
I to sprzedam... O, święte mych rodziców cienie!
Przebaczcie, że ja waszych pamiątek nie cenię...
Matko!... chciałaś mi szczęścia! pamiętam twą duszę:
W téj chatce szczęście moje... ja nabyć ją muszę...
Szczęście téj, którą kocham nad duszę, nad życie,
Co tak mi się powierza w dziecięcym zachwycie!..
Roję niebo w pustyni – och! kiedy przypomnę
Jéj marzenia niewinne, pracowite, skromne!
I tężby się rojenia przeze mnie zawiodły?
Czyż tyle niedołężny—czyż tak jestem podły?

Nie! rodzice przebaczą, żem w tak ważnéj chwili
Naruszył te pamiątki, co mi zostawili...
Ojcze, ty mię przeżegnaj na mój zawód nowy!
Matko, pomódl się za mną do tronu Jehowy!...

(Po chwili zamyślenia).

Tak... zbiorę dwa tysiące... ale zkądże trzeci?
Iść do możnych przyjaciół, do szczęśliwych dzieci,
I żebrać o pożyczkę, czy może o wsparcie? —
Prędzéj u drzwi kościelnych żebrałbym otwarcie!
Czy ująć topór cieśli, albo młot kowala?
W dzień i w nocbym pracował — co siła pozwala...
Lecz bezczynność szlachecka i pycha wyniosła
Rozmiękczyły mi ręce... nie umiem rzemiosła!...
Pióro moje! dla ciebie wyrzekłem się świata;
Czy ty mię wyratujesz, gdy nędza przygniata?
Złota mi dzisiaj trzeba, złoto niech zagarnę!
Ty mi dajesz ubóztwo i oklaski marne...
Och! dusza za oklaski szczęścia nie nabędzie...
Precz, niedołężnéj myśli dziecinne narzędzie!

(Rzuca pióro z gniewem).

(Po chwili uspokojenia mówi z wolna i z uśmiechem):

Ot gdyby tu naprzykład, jak w staréj balladzie:
Przychodzi do mnie szatan i wór złota kładzie,
A za kilka lat życia i talarów tysiąc
Cyrograf na mą duszę kazałby poprzysiądz...

(Zrywa się z rozpaczą).

Dziśbym przysiągł...och! przysiągł, nie zwlekając dłużéj.

Czcionka *(wchodząc).*

Dzień dobry, drogi wieszczu! Jak zdrowieczko służy?

HENRYK, P. CZCIONKA.

Henryk.

Przybywasz w samą porę.

Czcionka.

To mi bardzo miło.

Henryk.

Pomnisz, co się niedawno w ogrodzie mówiło?
O moim pamiętniku?

Czcionka *(do siebie)*.

Właśnie szedłem po to:
Lecz musi być poeta ściśniony biedotą,
Gdy pierwszy rzecz zagaja, co się tyle drożył.
Trzymajmy się odpornie.

Henryk.

Jużem się ułożył...
Jużem się zdecydował.

Czcionka.

Co?

Henryk.

O pamiętniku.

Czcionka.

Przepraszam... u mnie zawsze kłopotów bez liku,
Czasem się zapominam — jak to było? proszę...

Henryk.

Jużem ci, panie Czcionka, wspominał po trosze:
Pamiętnik mego życia, młodych marzeń roje,
Com je kreślił, maczając we krwi pióro swoje.
O mego życia rannéj i późniejszéj dobie,
Spowiedź myśli i uczuć.

Czcionka.

Przypominam sobie.
Myślałem wtedy szczerze o tym manuskrypcie;
Ale pan się uparłeś: „Choć złotem osypcie,
„Nie dam, nie dam i nie dam!“—Wola, to nie żarty;
Trudno znaleźć lekarstwo, kiedy kto uparty.

Henryk.

Teraz się rozmyśliłem, bo mam potrzeb dużo.

Czcionka.

Widzi pan, że mi teraz finanse nie służą,
Drukarnia zatrudniona, a handel w téj porze
W stagnacyjném uśpieniu — nie dopuszczaj Boże!

Henryk.

Więc nie chcesz pamiętnika? odrzucasz mą pracę?

Czcionka.

Któż mówi, że ja nie chcę?—wezmę i zapłacę;
Lecz wtedy powiedziałem za drogo... za drogo!
Dzisiaj się rękopisma przepłacać nie mogą.
Druk, panie dobrodzieju, kosztuje niezmiernie.
Opłacaj robotników, opłacaj papiernie,
Ogłaszaj w katalogach, ustępuj rabata,
A książeczka na półce spoczywa trzy lata,
Publiczność ani spojrzy, choć jéj wiernie służę —
Stagnacya niepojęta dziś w literaturze.

(Wzdycha).

Henryk.

Bez przedmów, panie Czcionka, kończ twoje nabycie.
Ja przedaję krew moją, przedaję me życie,
Dziś frymarczę na srebro święte dla mnie karty,
Przedaję kawał serca z méj piersi wydarty;

A boleść mojéj duszy trzymając na wodzy,
Poodmieniam nazwiska tych, co sercu drodzy,
Dam inszą nazwę miejscu, gdzie byłem w kolebce,
Gdziem się uczył, gdziem kochał, — miejsca, co wy-
Konającemi usty — wszystko to odmienię, [szepcę
Za lichą garstkę złota po księgarskiéj cenie;
Zrobię z moich świętości zarobku narzędzie.
Masz pięć grubych sposzytów—z każdego tom będzie.
Co mi płacisz?

Czcionka.

Hm! płacę wedle słusznéj miary,
Za każdy arkusz druku po cztery talary;
Jak pan chcesz... nie przymuszam... nie odbieram
[gwałtem.

Henryk.

Cóż mi dasz za pięć tomów, kupując ryczałtem?

Czcionka *(przeglądając jeden z zeszytów).*

Pisano tak rozwlekle... cóż robić?... dam dwieście.

Henryk.

O! zmiłuj się...

Czcionka.

Panowie drażliwi jesteście;
Dam więc dwieście pięćdziesiąt, a zadatek z góry.
Dzisiaj strasznie złe czasy dla literatury!
Dwieście... dwieście talarów, to nie tanio, sądzę.
Napisz mi pan cessyjkę, ja płacę pieniądze.

Henryk *(do siebie).*

Do tysiąca daleko... lecz pan sędzia może
Zechce mi coś ustąpić... Co za radość! Boże!
Będę miał chatkę w lesie, ona dłoń mi poda!...

Czcionka.

Zgoda, łaskawy panie?

Henryk *(oddając mu rękopism).*

O, zgoda już, zgoda!
Jesteś panem krwi mojéj, łez moich i pracy...

Czcionka *(do siebie z uśmiechem).*

Finis coronat opus — powiedział Horacy.

USTĘP CZWARTY.

(*Po roku*).

Marya *(sama).*

Rok czasu... co tych odmian i w sercu, i w świecie!
Mówią, żem wyładniała — to słuszna kobiecie;
Przybyło doświadczenia i rozumu trocha;
Dziś nibym stateczniejsza, niby bardziéj płocha —
Nie zgadnę, czy to wada, czy może zaleta?
Ale mówi sumienie, żem dzisiaj już nie ta...
Przed rokiem—kiedy w myślach pocznę się unosić,
Czułam, że chatki w lesie byłoby mi dosyć;
Dziś widzę, że w téj chatce byłoby mi ciasno:
Tam życie spowszednieje — tam wdzięki zagasną,
Tam, nim się obejrzymy, nim przetrzemy oczy,
Toć i starość nadejdzie, to i śmierć zaskoczy.
A Henryk... jeszcze wierzy... gdzieś tam chatkę [kleci...
O! mężczyźni lalkami bawią się, jak dzieci,
Będą o życiu, sercu prawili bez granic,
Ale serca i życia nie znają nic a nic.
Biedny... teraz w pustyni leśnéj gospodarzy;
Płodozmian go bezczelnie oszukał w przedaży;
A on, kupiwszy chatkę w bezludnéj oddali,
Gdzie dach podziurawiony, gdzie się ściana wali,

Urządza się, przystraja, pracuje od roku,
I jeszcze pięknych marzeń nie stracił z widoku.
Nie... albo on dziecinny, albom ja zepsuta:
Dla mnie dzisiaj samotność to ciężka pokuta.
Nie chcę go dłużéj zwodzić — próżno się kłopota...
Co ja pocznę wśród sosen, pustyni i błota?...
A jednak gdy pomyślę... o Boże łaskawy!
Na co ten świat i ludzie? na co te zabawy?
Jeszcze dzisiaj instyktem czuję, jak to błogo
Żyć naturą i sercem, nie widzieć nikogo,
Na zawsze serce z sercem zjednoczyć się ściśle...
Boże! daj mi natchnienie... doprawdy pomyślę...
Tymczasem dzisiaj wieczór—a mnie coś się marzy,
Że strój biały z różowym będzie mi do twarzy;
Tam czeka tyle cukrów, tam młodzieży tyle,
Tańczę wszystkie mazury i wszystkie kadryle;
Czyż dla mnie leśna pustka?... ja, co gwar tak lubię?...
Śmiesznie o tém pomyśleć!

(Do służącego, który wchodzi):

Co tam chcesz, Jakóbie?

Służący.

Pan Henryk w przedpokoju.

Marya.

Pan Henryk... w téj porze!
Cóż mu biedna odpowiem? — o Boże mój, Boże!

HENRYK, MARYA.

Marya *(patrząc na wchodzącego).*

Jaki blady, znękany, znużony przez drogę!

On wart szczęścia... wart szczęścia... ja go dać nie
Byłoby niesumiennie uwodzić go dłużéj. [mogę...

Henryk *(wchodząc z uniesieniem).*

Maryo! jakżem szczęśliwy!

Marya *(zimno podając mu rękę).*

Witamy z podróży!
Jakże się powodziło?

(Zakłopotana, patrząc w okno).

Ale jak dziś chłodno!

Henryk.

Urządziłem w pustyni zaciszę wygodną,
Lecz nimem ją wystroił, urządził tak ładną,
Och! sądziłem, że ręce z rozpaczy opadną.
Przedawca mię oszukał — wziął cenę w trójnasób;
Wyczerpałem grosz wszystek — cały męztwa zasób.
Gdyby mię nie pokrzepił Bóg i silna wola,
Gdyby nie błoga przyszłość—nie dotrwałbym pola!

Marya.

Na cóż było tak wiele utrudnień ponosić?

Henryk.

Znalazłem chatę prostą i starą już dosyć,
Co się chwiała z podwalin z każdym wiatru świstem:
Znalazłem kilka sosen na polu piaszczystém,
Pełny chwastów ogródek —do koła płot stary
I okiem nieprzejrzane bagniste obszary...

Marya.

O jakaż to pustynia okropna i dzika!
Jak tam nudno być musi... aż mię dreszcz przenika!
Osobliwsza wytrwałość! i pytam, co skłania
Mieszkać coś blizko roku w téj ziemi wygnania?

Henryk.

Możnaż się o to pytać?... Cały rok miniony
Tęsknota rwała piersi — duch leciał w te strony;
Lecz przyzwawszy twój obraz oczyma méj duszy,
Wezwawszy silną wolę, co skały poruszy,
A poruszywszy zapas ostatni ojcowski,
Wezwałem lud poczciwy z okolicznéj wioski,
I czułem się w méj duszy najszczęśliwszym z ziemian,
Z siekierą i z ołówkiem pracując na przemian.
Ociosywałem kłody, rysowałem plany,
I stanął piękny domek, maleńki, drewniany.
Ganek, przyzby, ławeczki urządzone cudnie;
Czyste, jasne okienka patrzą na południe.
Pod oknem rosła grusza stara, rozsochata,
Co się z sąsiednią sosną konarami splata;
Skorzystałem z téj pięknéj igraszki przyrody:
Te drzewa zdobią ogród nad wszystkie ogrody.
Bo sąsiedni szlachcice, serdeczni a prości,
Nieśli jeden przed drugim dowód uprzejmości:
Ów podarował wiśnie, drugi malin krzewy,
Inszy szczepy owoców, ów kwiatów zasiewy,
Trzeci przysłał ze włości cały rój kopaczy,
Inszy sam kopie ziemię i drożyny znaczy.
Dopomogli swą radą, pomocą krzepili.
Jeden z nich, dobra dusza... mieszka o pół mili;
Wiedząc, że pragnę strumień mieć kędyś poblizko,
Kazał na własnéj łące zmienić wód łożysko,
I dzięki serdeczności poczciwego człeka,
Płynie od naszéj chatki rzeczka niedaleka.
Udzielono mi drzewa, robotników, cieśli,
Przesypali stodołę, oborę przenieśli.

Jam zbudował altanę... zasadził powoje.

(*Wydobywając papier*).

Spojrzyj na ten rysunek—to dziedzictwo moje.

Marya (*patrząc na rysunek zamyślona*).

Doprawdy piękna chatka... cudny widok z domu;
Trzeba wkleić tę chatkę do mego albomu.

(*Do siebie*).

Jeżeli będę panią możną i bogatą,
Każę takie ustronie zbudować na lato.

(*Głośno*).

Ależ to chatka w lesie idealna chyba?

Henryk.

Nie, Maryo! wiernie zdjęta — to nasza siedziba.
A jak tam już wesoło! jak tam już zamożnie!
W stodole będzie chleba, gdy się wszystko pożnie,
W oborze kilka krówek — będzie mleka suto;
Tu buduję gołębnik — już zręby zasnuto;
A w tym lasku—czy wierzysz? co nie było z wieka,
Słowik do nas poczciwy przyleciał z daleka,
I już przez całą wiosnę sprawiał mi wesele,
I dodawał otuchy wywodząc swe trele.
Wszystko się nam przymila, uśmiecha słodyczą;
A poczciwi sąsiedzi jak cię poznać życzą!
Mieć będziesz w koło siebie dobrych serc bez liku...
Cóż?... podajesz mi rękę?

Marya.

Nie, panie Henryku!
Szczęśliwi są poeci, co umieją roić,
I biedną chatkę w lesie w ideał przystroić.
Ja cenię pańskie serce, pańskie poświęcenia;

Lecz rok w życiu kobiety... ach, wiele przemienia!
Nie pytaj pan przyczyny—bo cóż zgadnąć można?
Jam może doświadczeńsza, może bardziéj próżna.
Marzenie swoje prawa, świat swoje ma prawa.
Ja nie znam drogi życia—a jam jéj ciekawa.
Czyż mam kłamać dziecinne, przesadzone chęci?
Urocza chatka w lesie już mię dziś nie nęci;
Wyborna do sielanki lub do krajobrazu,
Lecz serce młodociane przesyci od razu.
Ja, łapając motyle przy szumiącéj strudze,
I sama się zanudzę, i pana zanudzę.
Musimy czarę życia wypijać aż do dna:
Ja kocham pańską chatkę—alem jéj niegodna.

(Zakrywa rękami twarz i odchodzi).

USTĘP PIĄTY.

HENRYK, CZCIONKA.

Czcionka.

A to ciekawe rzeczy!.. Stracić się do grosza,
Zbudować chatkę w lesie—i dostać odkosza!
Widzi pan, jak to w życiu dziwniéj się wydarza
Niż w najlepszych powieściach jakiego pisarza.
Opisz choćby najwierniéj... powiedzą: przesada!
I nieznajomość serca recenzent ci zada.
Lecz ja wiem z doświadczenia, widzi pan dobrodziéj,
Że krytyka sprzedaży książki nie zaszkodzi;
Owszem, im więcéj krytyk na jakowe dzieło,
Tém się prędzéj wydanie z handlu wyczerpnęło.
Już gorzéj, kiedy milczą... Czego pan tak blady?...

Pogadamy spokojnie, skończymy układy:
Już pamiętnik pod prassą... a druk leci czwałem...

Henryk.

Czy pan kiedy kochałeś?

Czcionka *(zmieszany).*

Czy ja się kochałem?
Uważa pan... że miłość, biorąc rzeczy ściśléj,
Potrzebuje i czasu, i swobodnéj myśli...
A jam zawsze w obrotach, w rachunkach, w pogoni...
Co téj pracy! co pracy!... to niech Pan Bóg broni!

Henryk.

Szczęśliwy, kto nie kochał, czyje serce więdnie,
Lub kto kochał pół-sercem, a wierzył oględnie!
Lecz biedny, kto zaufał bez granic, bez miary
Słowom prostym, niewinnym a pełnym ofiary,
Kto, słysząc słowa święte, bo wylane z duszy,
Mniemał, że tych przekonań już nic nie poruszy!
Och! ale myśl kobiety ruchoma, jak fala,
Co się najlżejszym wiatrom kołysać dozwala:
Dziś odbija niebiosa, jutro chmurę czarną,
Najsprzeczniejsze wrażenia jéj serce ogarną.
Gdy ci obraz swych zasad, swéj duszy otworzy,
Kiedy z ust jéj natchnionych przemówi duch boży,
Poczujesz, jak się dziwnie twa istota zmienia,
Zapłaczesz w zbytku szczęścia, klękniesz z uwielbienia,
I jak Dante, płomieniąc natchnione oblicze,
Odprawisz spowiedź ducha przed twą Beatrycze —
I cały człowiek ziemski w téj spowiedzi zginie,
Staniesz się wielkim w myślach a olbrzymim w czynie...
Ale chwila upływa—o biada ci, biada!
Patrzaj! oto twój anioł z obłoków upada;

Nie ciesz się twojém szczęściem, najszczęśliwszy z ludzi:
Samolubstwem twe serce boleśnie ostudzi,
Płochością je zakrwawi, igrając wesoło,—
I będziesz martwym wzrokiem poglądał w około,
I pytał sam u siebie, patrzając w jéj lica:
Gdzie się podziała święta niebios posłannica?
A świątynia twéj duszy rozpadnie się w zgliszcze,
Bo już przestaniesz wierzyć w twe cudne bożyszcze...
I ku zbolałym piersiom twoja głowa zwiśnie,
Jak bezsilny załamiesz ręce bezkorzystnie...
Przeszła twa chwila czynu, boś z wiary wyzuty;
Wśród żywych jesteś trupem, jak upiór pokuty...
Tylko jedno zostanie uczucie złowieszcze:
Przeklinasz twoją miłość, ale kochasz jeszcze!

Czcionka.

O jak pięknie, jak żywo malujesz pan duszę!
Tylko z jednym zarzutem odezwać się muszę:
Że z podobnym zapałem wylewając bole,
Trzeba zawsze mieć papier i pióro na stole,
I notować wrażenia w tak przyjaznéj porze;
Na co ma się ulatniać, co w druku być może?

Henryk (*ocyka się z zapomnienia*).

Jesteś tu, panie Czcionka?—Ach! przepraszam pana!
Radzisz mi zapisywać, gdy dusza znękana:
Piękna zaprawdę rada—i pytam, co znaczy?
Po cóż mam upamiętniać słowa méj rozpaczy?
By znienawidzieć ludzkość?.. ja chcę kochać ludzi!
By żyć temi bluźnierstwy, co rozpacz obudzi?...
By, czytając, odnawiać dręczące tortury?...

Czcionka.

Ależ dla dobra świata... dla literatury...

Słyszałem od autorów, widzi pan dobrodziéj,
Że myśl—to salamandra, co się w ogniu rodzi.

Henryk *(tamując oburzenie).*

Przepraszam, panie Czcionka! ale powiem szczerze:
Już dzisiaj do klientów pańskich nie należę.
Ja nie byłem autorem gwoli marnéj pysze,
Pisałem dla mych braci—cóż im dziś napiszę?
Czy z głowy?—biedna głowa marzy bezrozumnie;
Czy z serca?—dzisiaj serce odrętwiało u mnie;
Miotałbym złorzeczenia? wylewał żółć z pióra?
Och! dosyć takich żółci ma literatura.
Czy rozpaczliwe myśli rzucać w serca czyje?
To grzech, to ciężka zbrodnia!—świat złudzeniem żyje!
Niech żyje w swojéj wiary zbawiennym zakresie.
Pójdę z mojém zwątpieniem do méj chatki w lesie:
Tam w obliczu przyrody, wśród serdecznych ludzi,
Może się lepsza wiara i we mnie obudzi.
A kiedy się spostrzegę, że na rozpacz zbiera,
Wyratuje mię praca, socha i siekiera,
Wyratuje modlitwa, albo myśl pobożna;
Bo w lesie ta pociecha—że się modlić można.
A zresztą kilka książek, co mam w mojéj szafie,
Rozbije gorzkie myśli...

Czionka *(do siebie).*

Do końca nie trafię!
Dzisiaj panicz w gorączce... ale to przeminie.

(Głośno).

Podam panu projekcik... projekcik jedynie:
Kiedy pański pamiętnik już dziś u mnie w prassie,
Może go uzupełnić autorowi zda się?
Trzeba zrobić ofiarę piśmienniczéj muzie:

Powieść o chatce w lesie... o pańskiéj rekuzie,
O tém, jak to kobiety do zmienności skore,
Skreśliwszy piórkiem pańskiém—ale *con amore*,
Pozmieniawszy nazwiska, ująwszy, dodawszy,
Stanie się koniec dziełka daleko ciekawszy.
Przyczyniłoby druku dwa arkusze blizko...

Henryk (*z urazą*).

Chcesz podać moją boleść na urągowisko?
Kto pana upoważnił do podobnéj mowy?..
Żem ci dał spowiedź duszy—pamiętnik domowy,
Że, jak kuglarz uliczny, za grosz i oklaski
Najdroższe sercu twarze postroiłem w maski,
Że, wywodząc na scenę twego targowiska,
Zmieniłem drogich osób, drogich miejsc nazwiska,
Żem kości mych rodziców oddał ci na przedaż;
To już przez całe życie spokoju mi nie dasz!..
I w każdéj świeżéj ranie każesz maczać pióro,
I każesz zapisywać każdą myśl ponurą,
Każde słowo rozpaczy!.. Czyż mam znosić dłużéj?..
Żegnam cię, panie Czcionka, bo mi krew się burzy!..

Czcionka (*sam, patrząc za odchodzącym*).

Irritabile genus... ale wiem, co zrobię:
Powieść o chatce w lesie zanotuję sobie,
I któremu z autorów jako plan przedstawię:
Niechaj mi to obrobi żywotnie, ciekawie...
Hm! oni to umieją, jak pokręcą głową...
Trochę humorystycznie, trochę uczuciowo,
Jak to lubi publiczność. No! w żwawym zapędzie
Piszę jutrzejszą pocztą... ot i książka będzie!

Maj, 1855. Borejkowszczyzna.

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE.

CZĘŚĆ DRUGA.

OSOBY:

HENRYK.
MARYA.
PAN MARSZAŁEK, ojciec Maryi.
PAN SĘDZIA Płodozmian.
TRZASKA, stary myśliwy, sąsiad Henryka.
MATEUSZ, stary służący tegoż.
WIEŚNIACY.

USTĘP PIERWSZY.

(*Ciemny las — opodal schludna chatka*).

Henryk *(zamyślony, siedząc na wywróconéj kłodzie, mówi do siebie).*

Tak tu miło, jak w raju, choć ciemno, jak w grobie!
Jak tu rzeźwo mym piersiom, po ciężkiéj chorobie!...
Serdecznie bądź pozdrowion ciemnych puszcz namiocie!
Tak dawno z całą żądzą garnąłem się do cię;
Lecz głuszon gwarem świata, kędy troski bodą,
Człek nie czuł się być godnym rozmawiać z przyrodą;
Duch niedosyć był święty, niedość uroczysty,

Rozważać szelest dębów, albo jodeł świsty,
Nie rozumiał strumyka, co wśród olszyn burczy,
Zapomniał pisku wilgi i mowy przepiórczéj...
Część tutaj była mojéj, część nie mojéj winy...
Ot, jak ten trup zwalonéj na ziemię sośniny,
Czemu się nie podniesie? czemu nie zieleni?
Bo ma próchno pod korą, a robactwo w rdzeni,
Bo sam środek jéj piersi młodzieńczéj, a wątłéj
Porozbijały żółny, poraniły dziątły.
Rozsochate jéj ręce zielenią się, kwitną,
Ale to mchem zielonym, trawą pasorzytną...
Tak i z sercem człowieka, tak i z głową jego:
Gdy niedole obarczą, gdy troski oblegą,
Życie niby to tleje, krew obrót swój kréśli,
Lecz karmi pasorzytne uczucia i myśli.
Kiedy ręce opadną, gdy zamroczy głowę
Wśród niemierzonych godzin lenistwo grobowe,
Nie znajdziesz dobréj woli, ani chwilki czasu
Na modlitwę pod krzyżyk, na dumkę do lasu.
I cóż wtedy natura obchodzić nas może?
Słowik śpiewa—tém lepiéj, snadź w dobrym humorze;
Kraśnieje złota jutrznia — co mi tam do złota?
Wietrzyk łąkę kołysze — a i to robota!...
O! takie to bluźnierstwa i urągowiska
Człek z matowém spojrzeniem na przyrodę ciska;
Bo, przygnębion ku ziemi, sam o sobie nie wie,
Jak bujny zagon żyta po gęstéj ulewie.
Lecz Bóg przesyła promyk pogodnego słonka,
Ten w ciemną otchłań duszy kiedy się zabłąka,
Kiedy z piersi upadnie gniotąca opoka,
Gdy łza rzewna opłócze kataraktę z oka,
Wtedy idzie myśl zbawcza i lepsza otucha...

Mateusz (*wychodzi z gęstwiny z koszem grzybów*).
W Imię Ojca, i Syna, i Świętego Ducha!
Wszak to pana po lesie i chart nie dogoni!
A święty Mateuszu! a święty Antoni!
Ja latam, biegam, hukam — od chaty Jakóba
Tropię zgubę po lesie...

Henryk.

A jakaż tam zguba?

Mateusz.

O święty Bonifacy! o święty Gerwazy!
Pan sam zginąłeś z domu!

Henryk.

Jestem na rozkazy.
Czegoż tam chcesz ode mnie?

Mateusz.

At, nic... jedno słowo:
Chciałem panu przypomnieć gorączkę nerwową,
I co przepowiadała doktorska nauka:
Że kto się nie szanuje, recydywy szuka.

Henryk.

Daj pokój, Mateuszu! mnie tutaj tak błogo!
Tutaj serce odetchnąć, myśli bujać mogą,
Tu skupiam dawnych wrażeń rozproszone szczęty,
Po tak długiéj chorobie.

Mateusz.

A święty Wincenty!
Alboż pan nie rozumie, co to z tego bywa?
Z tych dumań, wrażeń, marzeń — będzie recydywa.

Henryk.

Wszakem zdrów od tygodnia.

Mateusz.

O święty Gerwazy!
Nerwowa... i sercowa... gorączka dwa razy!
Pan myślisz, że ja nie wiem, jaka tu zawiłość?
Miłość rodzi gorączkę, a z gorączki—miłość;
I tak *idem per idem*, jak mówi wikary,
A do końca nie trafim.

Henryk.

Nie bój się, mój stary!
Gorączka już minęła, a miłość ochłodła.
Chcieć Maryi zapomnieć—byłaby myśl podła,
Poprzysiągłem raz kochać i uczuć nie zmienię;
Ale nazbyt gwałtowne przygasły płomienie.
Nic mi obrazu Maryi z serca nie wyziębi...
Ty nie wiesz, jak to słodko w tych ostępów głębi
Marzyć o niéj, przebaczyć jéj płochéj pustocie,
Odnawiać miłych wspomnień niezliczone krocie,
Wywołać cień jéj ducha wyobraźni siłą,
Szczebiotać z nią i gwarzyć, jak to się gwarzyło
W szczęśliwsze chwile życia, jak tu czas upływa!
Nie uwierzysz, mój stary!

Mateusz.

Będzie recydywa!
Nerwowa, czy sercowa, albo razem obie.
Ej, panie! jak Bóg miły, strzeż się po chorobie!
Na dwoje babka wróży—ja tu niewidomy,
Byłem świadkiem niedobréj u pana symptomy:
Pan gadałeś sam z sobą—czy pan to pamięta?
O święty Mateuszu! Małgorzato święta!
Patrzę... to pan... podchodzę... i bliżéj znów patrzę:
Gada... macha rękami, jak aktor w teatrze...

Może przez pięć *Ojcze nasz*—ja cały się trwożę;
Gorączka, myślę sobie, nie dopuszczaj Boże!
A po takich cierpieniach, o święty Sylwestrze!
Wszystkie momenta życia stoją na regestrze!
Gadać samemu z sobą—to, uczciwszy uszu,
Grozi coś *mentus captus.*

(*Świdruje sobie po łbie*).

Henryk.

Nie, mój Mateuszu!
Ja nie z sobą gadałem.

Mateusz.

A z kimże?

Henryk.

Z drzewami!
Gniewały się, że miasto za długo mię mami,
Że boleść mego serca, że męki i burze
Nie przyszedłem powierzyć zbawczyni naturze.
Gniewał się na mnie strumień, i ten las sosnowy,
I ptaszki, żem zapomniał ich serdecznéj mowy.
Musiałem je powitać, musiałem przeprosić;
A ty, stary, sądziłeś...

Mateusz.

A dosyć już, dosyć!
Ja rozumiem—pan myślisz, że u Mateusza
To już drewniana głowa i kamienna dusza?
Mnie samemu, i nieraz, ot tak czasem chce się
Zamyślić się, pogadać z drzewami, co w lesie,
I z mych dumań bożemu spowiadać się światu;
Lecz powoli przychodzę jakoś do ochwatu:

Wszak to martwe stworzenia, gadam czy nie gadam.
Ot lepiéj się samemu Stwórcy wyspowiadam.

Henryk.

Mój dobry Mateuszu, bądźmy z sobą szczerzy:
Jakże gadasz ze Stwórcą?

Mateusz.

Mówię pięć pacierzy,
Pięć razy Zdrowaś Marya, jedno Wierzę w Boga —
Ot jakoś i pociecha znajduje się błoga,
I nie śmieją się ludzie, choć posłyszą czasem,
Bo ja gawędzę z Bogiem, a nie z ciemnym lasem.
To samo radzę panu.

Henryk.

O mój dobry starcze!
Czyż Boga roztargnioną modlitwą obarczę?
Modlę się, a myśl ziemska wciąż do mnie powraca.

Mateusz.

I na to jest ratunek.

Henryk.

A to jaki?

Mateusz.

Praca.
Weź pan strzelbę, czy książkę, albo kosz na rydze,
Pracuj, aż panu czoło spotnieje w fatydze.
To się grzędę pokopie, to drzewko zaszczepi,
To i myśl swobodniejsza, i modlić się lepiéj.
Siądziesz pan do wieczerzy, stukniesz kielich wina,
To i sen, i apetyt powracać zaczyna,
A robak gorzkich myśli, co serce przejada,
Zatruje się od razu.

Henryk.

O biada mi, biada!
Nie umiem znaleźć pracy, choć jéj serce szuka.

Mateusz.

Ej, panie! wolne żarty! Gdyby mi nauka,
Gdybym, co pan, przeczytał książek choć w połowie,
Toż tobym ja pracował, i sobie na zdrowie,
I drugim na pożytek! Co to, panie, w lesie
Człek wyrwie się na chwilę, to i plon przyniesie.
Patrzaj pan: co tu ziółek! gdybym czytał księgi,
Doszedłbym ich własności, ich całéj potęgi.
O święty Mateuszu! o święta Doroto!
Tu choroby po wioskach biednych ludzi gniotą,
To jabym ziółek leśnych miał zapas gotowy,
To od kaszlu, mospanie, to od bolu głowy.
Tu wilki robią szkodę — a dosyć wam, dosyć!
I starałbym się szlachtę i włościan uprosić,
Otoczyłbym obławą cały obszar lasa;
Człek się dobrze zabawi, uczciwie pohasa,
A w dodatku i naród wspominałby wszędzie,
Bo wilczysko ich trzody pustoszyć nie będzie.
Gdybym ja czytał książki... powoli, powoli,
Wyczytałbym, co piszą o uprawie roli,
Począłbym własne grunta wyorywać lepiéj,
Jakiś się nowy koncept na gruncie zaszczepi...
O święty Mateuszu! intrata się sporzy,
Jeden, drugi zobaczy, że idzie niezgorzéj,
Poczną probować szlachta, a daléj wieśniacy,
Jedni oszczędzą kosztu, drudzy sobie pracy;
Ot będzie i zasługa: skorzysta lud boży.
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!

Daj mi, panie, naukę i książki, co w szafie,
A w lesie już ja sobie zaradzić potrafię,
I nie będę się skarżył, że mi w sercu bodzie,
I nie będę z drzewami gawędził na kłodzie,
I Bogu się zasłużę, i sobie wystarczę.
No, panie — czas na obiad.

Henryk.

Dziękuje ci, starcze!
Nauczyłeś mię goić ciężką w sercu ranę:
Z poety słów ja czynu poetą zostanę.
Czynu!... na téj pustyni... tak! żaden pan świata,
Żaden rycerz, poeta, żaden dyplomata,
Nie ma tak pięknéj drogi w swych działań zakresie,
Jak Litwin dobréj woli, w nędznéj chatce w lesie!
Witaj mi, chatko leśna, ustronna, wieśniacza,
Którą tyle serc biednych a dobrych otacza!
Oni pracują krwawo — pracujmyż pospołu:
Piękna niwa do pracy!

Mateusz.

Dano już do stołu.
My o gruszkach na wierzbie pleciem, jak w malignie,
A tam pieczeń się spali i zupa ostygnie.
Zebrałem trochę rydzów na borowym mszarze,
Jak zmówić pięć pacierzy, zaraz je usmażę.
Idź pan powoli lasem, a ja skoczę dołem.

(Odchodzi śpiesznie).

Henryk.

Życie czynu!... Ty, Maryo, bądź moim aniołem!
Twym natchnieniom winienem téj chaty nabycie!
Pocznę z myślą o tobie odrodzone życie,
Pocznę żyć w mojéj chatce, jakby w ojcowiźnie,

Pocznę wspierać, pocieszać, nauczać me bliźnie,
A tak i dolę własną, i drugich osłodzę...
Święty duchu natchnienia, wspieraj mię na drodze!

USTĘP DRUGI.

(*Rzecz w restauracyi*).

Marszałek (*przeglądając kartę potraw*).
O dzisiejszym obiedzie dobrą mam otuchę.
(*Do służącego:*)
Dasz nam chłodnik... potrawkę, jeśli mięso kruche,
A na trzecie...
(*Zamyśla się*).
Bekasa...

Sędzia.
Ale przed bekasem,
Pan marszałek staruszki wypije tymczasem.
Chłopcze, daj staruszeczki!

Marszałek.
Prędko przynoś jadło.

Sędzia.
A widzi pan marszałek, jak dobrze wypadło,
Że dzisiaj kropnął deszczyk — toć dróżka nie kurzy.

Marszałek (*opinając serwetę*).
Powiem ci, panie sędzio, ten projekt podróży
Wcale mi nie do smaku, choć ja lubię drogę.
Zamykam się w powozie — no! i chrapnąć mogę;
Ale rozpacz porywa w obiadowéj porze:
Znasz, sędzio, nasze karczmy.

Sędzia.

Nie dopuszczaj Boże!
Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawałek.

Marszałek.

Więc na licho ta podróż?!

Sędzia (*z uśmiechem*).

Widzi pan marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknéj buzi.
„Chce kobieta — chce Pan Bóg,“ tak mówią Francuzi.
(*Biorąc od służącego kielich gorzałki*):
W rączki pana marszałka!
(*Wypija mały kielich, a nalewa marszałkowi większy*).
Staruszeczka przednia!
Córka pana marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu, zabawić w Tryeście...

Marszałek.

A chłodnik czy podadzą?

Sędzia.

Chce do Rzymu wreszcie.
To pięknie, bardzo pięknie... Młodziutka się nudzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi.
Co robić?... trzeba uledz przed niewieścią władzą...
Zresztą, panie marszałku...

Marszałek.

A chłodnik czy dadzą?

Sędzia.

Zresztą, panie marszałku...

Marszałek.

Z rakami i z lodem.

Sędzia.

Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.
Pan marszałek zobaczy, jakie to słodycze:
Coraz nowy widoczek...

Marszałek (*zajadając przyniesioną potrawę*).

I ja na to liczę:
Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,
W Johannisbergu dobrém winem się zakropię,
W górach szwajcarskich sery i smaczne, i tanie,
A we Włoszech makaron... historyczny, panie!
To słyszę piękna ziemia: oliwa dojrzewa,
Sardynki prosto z morza, pomarańcze z drzewa.
Podróż mi się uśmiecha; ale będziem w biedzie,
Póki człowiek ojczystych granic nie przejedzie:
Och! wiadomo, wiadomo, co u nas podróże!

(*Wzdycha*).

Sędzia (*z ukłonem*).

Ja panu marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza — talencik nielada:
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie sztufada,
I prędziuchno, i smaczno sporządzi, jak z płatka;
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka,
Jakoś podróż osłodzą...

Marszałek.

O! dziękuję tobie!

Sędzia (*do siebie*).

A w podróży maleńki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży — tu ciągła przeszkoda,
A w drodze może jakoś zręcznostka się poda
Przysłużyć się grzeczniutko, coś przemówić słodziéj.

Pół miliona posagu nie piechotą chodzi.
Dziewczę wcale nieszpetne.

Marszałek.

Chłodniki mi służą.

(*Smakując resztki w talerzu:*)

Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedosyć zimny... ale mniejsza o to.

Sędzia.

Winka, panie marszałku.

Marszałek.

Wypiję z ochotą.

Sędzia.

Czy reńskie?

Marszałek.

Wszystko jedno... reńskie czy madera,
Po chłodniku od zimna żołądek zamiera.

(*Dzwoni*).

Gdzież służący?... to kara boża z tą posługą!

Sędzia (*do służącego, który wchodzi*).

Buteleczkę madery.

Marszałek.

I potrawę drugą.

(*Służący ustawia potrawy i nalewa wino*).

Marszałek (*zapijając*).

Bieda!... bieda na świecie!

Sędzia (*z westchnieniem*).

Och! bieda na świecie!

Marszałek (*jedząc*).

Wiesz, sędzio!... moja Marya, to szalone dziecię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobieca,

Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca,
I dogodź tu dziewczynie!... a dogadzać muszę!
Widzę, jakieś cierpienie zatruwa jéj duszę;
Muszę dzielić jéj myśli, zachcenia i zdania:
Ja mam serce ojcowskie, pełne przywiązania...
Choć zresztą dobre dziecię... lecz nazbyt mię męczy,
Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodzieńczy...
Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi...

Sędzia *(z westchnieniem)*.

Wygódka i swobódka—dwa szczęścia na ziemi!
I ja do nich, marszałku, wzdycham pokryjomu.

Marszałek *(zapija)*.

Widzisz, sędzio kochany... tyś przyjaciel domu,
Ty się ze mną podzielisz mym ciężkim kłopotem.

Sędzia.

Marszałku dobrodzieju! czy wątpiłeś o tém?
Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpieczy.

Marszałek.

Słuchaj więc...

(Sędzia przysuwa się konfidencyonalnie).

Marszałek *(smakując potrawę)*.

Mięso twarde, a sos nie do rzeczy.

(Do służącego:)

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety.
Przynieś pieczeń huzarską, lub bite kotlety.

(Do sędziego:)

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(Do służącego:)

Do kotletów oliwa, ocet i sałata.

(Do sędziego:)

Stare lata nadchodzą... przy inném zajęciu
Czas o córce pomyśleć.

Sędzia.

A raczéj o zięciu...
Winka, panie marszałku!
(Nalewa mu kielich. Do siebie):
Jesteśmy ciekawi.

Marszałek.

Młodzieży bywa dosyć, lecz jéj to nie bawi.
Lubiła dawniéj taniec, śpiew, muzykę, stroje;
Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję.
Na życia czcze i smutne skarży się koleje,
A co mię bardziéj trwoży... że nic a nic nie je:
Na obiad szklankę mleka... niechże mi kto powie,
Zkąd tu będzie wesołość? zkąd się weźmie zdrowie?
Czyż nie wstyd ci—powiadam—być z tak bladą twarzą?
Niech ci zrobią rosołu, niech zrazów usmażą,
Posil się, potém zaśniesz; a w jednéj godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie.
Czy myślisz, że mię słucha? Gdzie tam! ani trocha!

Sędzia *(półgłosem).*

Może jaka miłostka... może kogo kocha...
Uważa pan marszałek... potrzeba znać ludzi...

Marszałek.

Gdzie tam! Zabawa męczy, a młodzież ją nudzi.
Młodzieży dosyć bywa, wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci.
Jeden dla niéj zbyt pusty—trzpioce się, jak dziecię,
Drugi zbyt hałaśliwie o postępie plecie,
Trzeci za nadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w duszy,
Do każdego coś znajdzie, wyszuka, dopatrzy...

Sędzia.

To znaczy dobrą główkę—rozsądek najrzadszy:
Bo tylko zastanów się marszałek dobrodziéj,
A pewno swoje zdanie z mojém zdańkiem zgodzi.
Patrz na naszych młodzików, przeznaj ich nałogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, demagogi!
Córce pana marszałka z serduszkiem i głową
Słusznie, że się wydają ckliwie i jałowo!
Jéj potrzeba mężulka wcale inszéj treści,
Coby miał wiek dojrzały... tak... lat ze czterdzieści.

Marszałek.

To może już za wiele.

Sędzia.

Tak... trochę za wiele;
Zdanie pana marszałka z ochotą podzielę.
Więc... *około* czterdziestu... mniéj więcéj tych latek.
Trzeba, żeby posiadał powagę i statek,
Człowiek miły, grzeczniutki, choć przyłóż do rany,
I dobrze z interesów biegiem obeznany.
Bo pytam,.. dać fortunkę młodzikowi z miasta,
Nietylko nie przymnoży, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interesa...

Marszałek.

Urządzi obiady:
To rzecz ważna w pożyciu.

Sędzia.

Tak... tak, nie inaczéj.
A może pan marszałek jeszcze winka raczy?

(*Nalewa wina*).

Potém szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...
Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową:

Bo też biorąc posagu pół miliona, słyszę,
Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze.

Marszałek.

Pół miliona posagu!! co ci, sędzio, w głowie?

Sędzia (*obojętnie, pijąc wino*).

A ileż?... tak... na przykład?...

Marszałek.

Coś dać postanowię;
Może jakich ze trzykroć... ze czterykroć może...
(*Ziewa*).

Sędzia (*na stronie*).

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze.
Obiadek jakoś trafia do serduszka sknery.
Hm... licząc sześć procentów... to dwadzieścia cztery...
Niezła roczna intratka... Śmiało, w imię boże!
(*Głośno*):
Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,
Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość marną:
Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd garną,
Upatrzyłeś już kogo... tak sobie... z daleka?...

Marszałek.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,
Który ją szczerze kochał—prawda, człek ubogi...

Sędzia.

A jakaż ewikcyjka?...

Marszałek.

Poczekaj, mój drogi!
Z dobrém sercem...

Sędzia (*na stronie*).

To mniejsza—ciekawość mię drażni...

Marszałek.

Nieboszczyk jego ojciec był ze mną w przyjaźni;
Biedak, w końcu podupadł, to się wszystkim zdarza...
Ale jakie miał wina!... jakiego kucharza!
To, powiadam ci, rozkosz nad wszelkie wyrazy!...
Bywało, zrazy dają... a ja lubię zrazy...
Tylko, sędzio... uważasz, jam kapryśnik stary:
Sos powinien być wonny i pieprzny do miary, —
Nie dodawać doń octu — tego nienawidzę;
Lecz za to ujdą trufle, albo świeże rydze,
Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaproś króla!

Sędzia.

O! dla mnie to przysmaczek, smażona cebula!
Lecz ten pan, co o rączkę twéj córki się stara?...

Marszałek.

Poczciwy, lecz ubogi...

Sędzia.

To nierówna para.

Marszałek.

Syn mego przyjaciela...

Sędzia.

I tego niedosyć.

Marszałek.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

Sędzia.

I to jeszcze nie powód.

Marszałek.

Ma ciotkę bogatą,
A kocha moją córkę...

Sędzia.

A ona co na to?

Marszałek.

Wiedziałem, że go kocha — i byłem już gotów,
Dla jego pięknych zasad, dla dobrych przymiotów,
Powierzyć mu jéj rękę. Skrycie się kochali;
Potém on gdzieś wyjechał, o sto mil, czy daléj,
Ona długo chodziła tęskna a wybladła,
Wzdychała co godzina, nic a nic nie jadła;
Aż mi był żal niebogi... Wtém nadszedł karnawał,
A pamiętam, jak dzisiaj, miałem sarny kawał;
Ruszam tedy konceptem, na jaki mię stanie,
I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie;
Potém jakoś na obiad, potém wieczór dałem...
Uważam... moja Marya tańcuje z zapałem;
Już wzdycha coraz rzadziéj, a częściéj się śmieje...
Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję.
Ja na takie odmiany z dala sobie patrzę.
Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
Pojutrze na szlichtadzie, i znów na wieczorze, —
Słowem, tak się roztrzpiota, że nie dopuść Boże!
Wtém — dawny jéj kochanek, co rok tu nie postał,
Powrócił... wyznał miłość — i odkosza dostał.
Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
Potém znów zesmutniała, znowu świat ją nudzi,
Poczęła się urągać z całéj naszéj młodzi,
I znowu często wzdycha — oko łzą zachodzi,
Nic nie je... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
A teraz już się gwałtem napiera podróży, —
Rad nierad muszę jechać...

Sędzia (*na stronie*).

To ciekawe rzeczy...
Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?...
Lecz nie traćmy nadziei... posażek bogaty,

Do trzydziestu tysiączków dorocznéj intraty...
Młode piwko wyszumi... jakoś się uchodzi...

(Głośno:)

Otoż tedy, uważa marszałek dobrodziéj,
Nic nie masz nad wojażyk — rozerwie się trocha,
Może kogo pokocha...

(Na stronie:)

I pewno pokocha.
Ja będę jéj wyrządzał grzecznostki nieznaczne,
Poczne na nią poglądać, potém wzdychać zacznę.
Z lekka poczernię włosy, które śnieżek prószy,
I powoli... powoli... wkradnę się do duszy...
Interesik niezgorszy — popróbujmy doli...
Trzeba tylko grzeczniutko, słodziutko, powoli,
A może się powiedzie na drodze zalotów...

Służący *(wchodząc).*

Pański powóz już gotów.

Marszałek *(budząc się).*

Co! powóz już gotów?
Weź tedy kosz madery i sera na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace.

(Dzwoni).

A podajcie rachunek!

Sędzia *(z ukłonem).*

O! ja sam zapłacę:
Marszałku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście, że dzisiaj mój zjadłeś obiadek —
Rozliczymy się w drodze.

Marszałek.

Niechże i tak będzie.

(*Do służącego:*)

W powozie miękką pościel proszę mieć na względzie.
Włożyć mi jaką książkę — chociaż nie literat,
Muszę teraz książkami bawić się rad nierad,
Bo czytając, najlepiéj zasypiać w dni słotne.

Sędzia.

Mam tu właśnie *Gawędki i rymy ulotne.*
Autor ich doświadczony, czy w wierszu, czy w prozie.
Ręczę, że pan marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpierwszéj karteczce — doświadczona proba!

Marszałek.

O! to... to! panie sędzio!... to mi się podoba!
Z tylu książek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uśpi najprędzéj:
Jest przynajmniéj cel pisma...

Sędzia.

A wierszyków zwłaszcza!

Marszałek (*do służącego*).

Dać mi ciepłe kalosze, nie zapomnieć płaszcza...
Szlafmycę i parasol, bo na deszcz się zbiera;
Flaszę gdańskiéj gorzałki, sucharków i sera,
Lulkę, tytuń, krzesiwo... No, bywajcie zdrowi!
Ruszajmy, panie sędzio!

Sędzia.

Służę marszałkowi.

(*Odchodzą*).

USTĘP TRZECI.

Przed schludną chatką w lesie MATEUSZ na stole suszy ziółka i mówi z wolna do siebie.

O święty Mateuszu! chcę płakać, jak dziecię.
Jak to wszystko i dobrze, i mądrze na świecie!
Parę garsteczek zielska... ot suche badyle!
A tu zdrowia ludzkiego, tu bożych łask tyle!
W każdém marném ziółeczku jakiś dar ukryty:
Ot *Absinthum vulgare,* — piołun pospolity,
A od febry jedyny! — Ot garstka rumianku,
Jak od rozlicznych chorób leczy bez przestanku!
Żywokost na ból piersi cudownie pomaga;
Na wściekliznę wyborna *Alisma Plantaga;*
Ślaz pomagał od kaszlu w najdawniejsze czasy.
Kmin wyborny do chleba, majran do kiełbasy,
Mięta na ból w żołądku, choćby Bóg wie jaki,
A tomka i bławatki pyszne do tabaki!...
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Jak to w każdéj roślince kryje się duch boży!
Ja człowiek nieuczony — a w głowie się kręci,
Że te dary być muszą dla jakiéjś pamięci.
Ot może dano ziółkom własność i nazwanie,
Gdy się Chrystus w Betlejem urodził na sianie,
Więc każda marna trawka z owéj garstki siana
Jakowémś dobrodziejstwem została nadana...
Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nie niesie,
Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela,
Niejednemu człekowi zdrowia się udziela...
Pan Henryk, daj mu Boże i życie, i zdrowie,
Wskazał mi każdą trawkę, uczył, jak się zowie,

Pokazał jak się zbiera, jak się wszystko suszy,
Zkąd ludzkość ma pożytek, a on szczęście w duszy...
Cóż za dziw, że tu biegną, jak na odpust jaki,
Przygnębione chorobą i pracą biedaki?
Że tak go błogosławi okolica rada?
A téj pięknéj zasługi i na mnie coś spada!
Bo się ziółeczka zbiera, układa i suszy,
A czasem coś zaradzę w prostocie méj duszy.
Medycyna nie tęga — ale chęć życzliwa:
Ja tylko poczną leki, a Bóg dokonywa.

(Wchodzi Trzaska ze strzelbą i torbą myśliwską.)

MATEUSZ, TRZASKA.

Trzaska.

Dobry dzień, Mateuszu!

Mateusz.

Kłaniam, panie Trzaska!
A pochwalić Chrystusa czemu to nie łaska?

Trzaska.

Otoż widzisz, że z waścią wieczysty *certamen.*
Niechże będzie pochwalon...

Mateusz.

Na wieki i amen.
Zkąd to Pan Bóg prowadzi?

Tzaska *(z mocną gestykulacyą).*

Otoż widzisz, z lasu.
O zwierzynie na święta myślałem za wczasu:
Wyszedłem gdzie przed świtem—a prześliczny ranek.
Myślę sobie, ot widzisz, u waszych polanek
Jest niezłe tokowisko... Zaczajam się w budzie:

Przyleciał jeden cietrzew... palnę w łeb marudzie,
Zatrzepotał skrzydłami i padł gdzieś w chróśniaki.
Powiadam... otoż widzisz... biorę stempel, kłaki,
Czyszczę strzelbę, nabijam, tulę się w zacisze,
Czekam całą godzinę — i znów szelest słyszę.
Siadł cietrzew zakochany z postacią wychudłą,
Zmierzyłem się... palnąłem... otoż widzisz, pudło...
Zbladł cietrzew i poleciał het gdzieś pod Stawiszcze!
Zakląłem do stu czartów—i znów strzelbę czyszczę,
Nabijam... Znów cieciorka zaszumiała w głuszy...
Palę... krzyknęła: Jezus! i padła bez duszy.
Czekam daléj... snem trochę zdrzemało się oko...
Cietrzewi więcéj nie ma, a słońce wysoko...
Myślę sobie... ot widzisz... na dziś — doskonale!
Czach! wykrzesałem ognia i fajeczkę palę,
Nic nikomu nie mówiąc... Wtém... patrzę pod krzyże:
Sadzi szarak, mospanie, i uszami strzyże;
Zatrzymał się pod brzózką i wyprężył słuchy...
Ot widzisz... myślę sobie—fajkę do pazuchy,
Strzelbę na cel... pęc w piersi... zerwał się i zmyka!
Ja zrywam się... postrzegam, jest krew u kamyka,
Heżha za nim! on w pole—ja jak chart przez miedze;
Gdy go z oka utracę, to po tropie śledzę...
Krwi w tropie coraz więcéj—postrzeliłem znaczy.
On na górę, ja za nim... mój szarak w rozpaczy,
Chromiąc stoczył się na dół—i ja sadzę dołem;
Chciał jegomość w zarośla—ja drogę przeciąłem...
Ot widzisz... myśli sobie: Tu nie służy rada!
Siadł pokornie i łapki, jak do prośby, składa;
A ja, niedługo myśląc, kolbą w łeb i basta.
Padł szarak... a godzina pewnie jedenasta!
Głód ozwał się w żołądku—nie wytrzymam dłużéj—

Patrzę w koło... ot widzisz: u was dym się kurzy...
Myślę sobie: ot dobrze! teraz hulaj dusza!
Zajdę tedy odwiedzić pana Mateusza,
Stuknę kielich gorzały na dobry początek,
Da mi kawał wędzonki...

Mateusz.

Ależ dzisiaj piątek!

Trzaska.

A... piątek... otoż widzisz...

Mateusz.

Dam waszmości mleka.

Trzaska.

A że mi ztąd do domu wędrówka daleka,
I ciężkoby się nosić z zającem, z cietrzewiem,
To niech u was zostaną.

Mateusz.

Dalibógże nie wiem!
Waść, jak zwykle, nie zechcesz wziąć pieniędzy za to...

Trzaska.

Otoż widzisz, że zgadłeś—schowaj się z zapłatą.

Mateusz.

A brać darmo nie mogę... pan mi natrze uszu.

Trzaska.

Otoż widzisz, że bredzisz, panie Mateuszu!
U nas z panem Henrykiem od dawna na pieńku:
Ja mu dług mój sowity spłacam po maleńku...
Długoby o tém gadać—a tu głód dokucza.
Brrum!...

Mateusz.

Zaraz podam mleko i poszukam klucza,
To może się tam w szafie znajdzie i gorzała.
(Odchodzi).

Trzaska.

O! macie Szaciłówkę!... wiem, że doskonała!
Choć się u was zapasy nie trzymają doma:
Nasza szlachta—ot widzisz—na starkę łakoma,
A wy ludzie poczciwi i uprzejmi w chacie,
Co Bóg dał, przed drugimi pewno nie schowacie.
Taka wasza natura... ot widzisz—natura;
Kto do was zakołata, to zawsze coś wskóra:
Porada, dobre słówko, albo chleba kawał,
A niejeden i większéj pomocy doznawał.
Kto, naprzykład, Maciejom dał grosza na woły?
Pan Henryk...

Mateusz *(wchodząc ze śniadaniem i ustawiając je).*

A kto zboże zwiózł nam do stodoły?
Maciéj.

Trzaska.

A kto przykarmił Płodozmiana wioski?

Mateusz.

A kto nam żąć pomagał? czy nie lud sędziowski?

Trzaska.

Kto staremu Janowi dopomaga wszędzie?

Mateusz.

A kto nam pszczół dopatrzy, gdy Jana nie będzie?

Trzaska.

Otoż widzisz... odpowiedź, jak z rękawa, sypie.

A kto wspiera cichaczem wdowę po Filipie?
Mów szczerze... bez kręcielstwa.

Mateusz.

At, Bóg wie, co plecie!
Nie ma co takich rzeczy roztrąbiać po świecie.
W Piśmie Świętém kazano nieść pomoc dla braci,
Ten, co w skrytości widzi, w skrytości zapłaci;
Ot dajmy lepiéj pokój drażliwéj rozmowie...

(*Przepijając gorzałkę:*)

W ręce jegomościne!

Trzaska (*z ukłonem*).

Daj Boże na zdrowie!

(*Przyjmując nalany kielich:*)

Setne lata waszmości!

(*Pije*).

Ot widzisz, że tęga!
Aż orzeźwia żołądek, aż serca dosięga!
A to co? Otoż widzisz, rzodkiewka i masło...

(*Zajadając:*)

Lubię... lubię i chowam wdzięczność niewygasłą
Za gościnne przyjęcie—miła dla was praca...
Gdzież, panie Mateuszu, twój pan się obraca?

Mateusz (*zajadając*).

Zrana konno gdzieś czmychnął.

Trzaska.

To nie bez kozery.
Przysiągłbym—otoż widzisz—jak dwa a dwa cztery,
Że się po to sam jeden wymyka z ukradka,
Iż dobrego uczynku nie chciałby mieć świadka;
On się dobrych uczynków tak wstydzi, jak grzechu...

Mateusz.

Co tam... dobrych uczynków—prosto dla pośpiechu.
Bo to ważny i moment zyskany na czasie.

Trzaska.

A co jemu tak pilno?

Mateusz.

Podsędek źle ma się.
Pan Henryk po proboszcza ruszył do Źródliska.

Trzaska.

Otoż widzisz, że przyszła kréska na Matyska!
Źle ma się... a toż jeszcze na przeszłéj obławie,
Czy pamiętasz, jak stary dokazywał żwawie?
Staremu koncepciście język nie umilka:
Łgał za trzech, pił za sześciu i zastrzelił wilka!
Myślę sobie: ot widzisz—dziad stary a jary...

Mateusz.

Niezbadane Najwyższych wyroków zamiary.
Niedosyć, że do śmierci zwinął się w pośpiechu,
Lecz omal że nie umarł we śmiertelnym grzechu
I nie poszedł do piekła...

Trzaska.

A toż co nowego?

Mateusz.

Niech nas od zawziętości wszyscy święci strzegą!...
Miał młodego synowca—ot zwyczajnie zucha:
Młodzik pije, gra w karty, starego nie słucha,
Sprawiał sobie hulanki w gromadzie współbraci;
Zadłuży się po uszy, to stary zapłaci.
Tak było raz i drugi—o święty Ambroży!
Potém coraz to częściéj, co daléj, to gorzéj.

Podsędek się rozgniewał, a gdy opór spotka,
Powiedział: Wydziedziczę i przeklnę wyrodka!...
Tymczasem... Pan Bóg łaskaw, wola jego święta:
Młodzik począł statkować, już się opamięta,
W przeprosiny do stryja, buch do nóg i kwita!
Ale stryj rozdąsany przeklęctwem go wita,
Wypędza ze swych progów—i tak się rozdąsa,
Że gniew, co jednéj chwili namotał na wąsa,
Do śmierci w nim nie gasnął... A my tu sąsiedzi;
Czasem, widzisz, pan Henryk starego odwiedzi,
Ogra go w maryasika, zaprosi na wino,
Że stary tu znajdował przyjemność jedyną.
Tak się w nim rozmiłował, że teraz w chorobie
Chciał mu wszystko zapisać.

Trzaska.

Widzisz, myślę sobie!
A cóż na to pan Henryk?

Mateusz.

A święty Gerwazy!
Czyż można było przyjąć bez bozkiéj obrazy?
Nie przyjął...

Trzaska.

Co ja słyszę!

Mateusz.

Stary ani słucha!
Pan Henryk do proboszcza,—i tu sprawa krucha!
Proboszcz moralizował, bo głowa nielada;
Lecz jak wspomnieć synowca, dziad w gorączkę wpada.
O święty Mateuszu! aż przechodzą dreszcze!
Na ostatniéj spowiedzi przeklinał go jeszcze!
Pan Henryk był w kłopotach. Po chwili... po chwili...

Z proboszczem gniew podsędka jakoś złagodzili,
Synowiec się ukorzył—no! i dostał spadek;
A pan Henryk spokojny.

Trzaska.

To dziwny wypadek!
Mów, co chcesz, Mateuszu... a ja powiem śmiało:
Gdy stary dawał zapis, to brać należało.
Majątek rzecz niegłupia... ot widzisz, niegłupia.

Mateusz.

A przez niego najpewniéj piekła się dokupia.
Dobry on, kiedy pracą nabyty godziwą;
Lecz pan Henryk wie dobrze co prawo, co krzywo...
Lecz dotąd coś go nie ma...

Trzaska.

Otoż widzisz, nie ma!

Mateusz.

Zapóźniać się na obiad, to jego systema.
A to źle: bo nic nie jadł od samego ranka.
Ale za to go czeka dobra niespodzianka:
Twój zając, panie Trzaska, spada jakby z nieba, —
Tylko prędko z pieczystém zwinąć się potrzeba.
Poczekajcie tu nieco, bądźcie tak łaskawi.
Powiem staréj kucharce, niech się szybko sprawi.

(*Odchodzi*).

Trzaska (*do siebie*).

Majątek, to rzecz piękna! nie przyjąć majątku!
Że Mateusz żartuje, sądziłem z początku...
Nie przyjąć... krzywda ludzka... ot widzisz, sumienie!
Trzeba serca nielada... kłaniam uniżenie!...
A ja na jego miejscu? no! pomyśleć muszę!...
Ten człowiek ma doprawdy chrześciańską duszę,

Duszę wielką i piękną — widać to z daleka...
Jabym niebo przychylił do takiego człeka.
On wart mego zajęcia... i dobrze się stało,
Że ja mu niespodziankę uczyniłem małą;
Samemu lżéj na sercu... Za tak piękne czyny
Warto ci, panie Trzaska, stuknąć gorzaliny.

(*Wychyla kielich*).

Brr... aż chce się zaśpiewać, mimo własnéj wiedzy,
Piosenkę o zającu, co siedzi na miedzy...

(*Mruczy piosnkę*).

(*Wchodzi kilku wieśniaków, potém Mateusz wychodzi z chatki*).

Wieśniacy.

Niech będzie pochwalony!

Trzaska.

Na wieki, na wieki!

Mateusz.

Co chcecie, dobrzy ludzie?

Jeden z wieśniaków.

Ot, tam od pasieki,
Na waszmościów granicy nieskoszona łąka,
To czasem się bydełko i nasze zabłąka,
Może wam zrobić szkodę — to i grzech na duszy.
No! dzisiaj mamy piątek... słonko nieźle suszy...
Pańszczyzny dzisiaj nie ma... więc my rada w radę:
Wójt do karczmy na czarkę zaprosił gromadę,
A przy czarce już taka stanęła umowa,
By skosić waszą łąkę...

Mateusz.

Na to ani słowa.

Wieśniak.

Dziś zetniem—przy pogodzie jutro kopki staną.

Trzaska.

Ot widzisz, Mateuszu, to będzie i siano,
A ja przyślę do zwózki koniska i kary.

Mateusz.

Bóg wam zapłać za wasze dary i ofiary!...
Lecz pana nie masz w domu.

Wieśniak.

To i cóż, że nie ma?

Mateusz.

Za robotę zapłata — to jego systema,
Prawda ewangeliczna, a ja nie mam groszy.

Wieśniak *(drapiąc się w głowę)*.

Ejże szlachta wy, szlachta! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biednych nędzarzy;
Kiedy nie skrzywdzi czynem, to słowem znieważy.
Człowieka, co w siermiędze, żaden nie oceni:
Daj mu serce — on rękę zaraz do kieszeni,
Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki...
Ej, panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

Mateusz *(zakłopotany)*.

A święty Bonifacy! już Szymon i w złości!

Wieśniak.

A bo to ciężka krzywda, proszę Jegomości!
Już drugi raz, jak przyjdę i o co poproszę,
Waszmości za fatygę przyniosę trzy grosze.

Trzaska *(śmiejąc się)*.

Masz byka za indyka! otoż widzisz! brawo!

Wieśniak.

Bo kiedy wasz pan Henryk krzątał się tak żwawo
I wyleczył mi ojca...

D r u g i.

Kiedy w przeszłym roku
Karmił moją czeladkę zbożem swego toku...

T r z e c i.

Gdy cały rok na rybę pożyczał mi siatek...

I n n y.

Gdy mi garścią pieniądze dawał na podatek...

P i e r w s z y.

To każdy z naszéj włości przyjął wasze wsparcie,
I o żadnéj zapłacie nie mówił otwarcie;
Zakarbował na sercu, co spłacić nie może,
I westchnął w głębi duszy: Wynagrodź mu, Boże!...
A kiedy my w prostocie i biednéj chudobie
Przysłużyć się waszmościom uradzimy sobie,
To wy zaraz liczycie na grosze, na złote.

M a t e u s z.

No, dosyć tego... dosyć.

W i e ś n i a k.

Idźmy na robotę.

(*Odchodzą*).

MATEUSZ I TRZASKA.

T r z a s k a (*biorąc strzelbę*).

A ja pójdę się przespać, bo sen klei oczy.

(*Patrzy z za parkanu na drogę*).

Ot widzisz, Mateuszu, ktoś tu do was kroczy,
Jakiś pan... strój podróżny... ale gęsta mina.
Ot widzisz! ktoś znajomy! coś się przypomina!...
Dalipan to Płodozmian! czy go licho niesie!?
Ten samy, co wam przedał ot tę chatkę w lesie.

I którego włościanie odeszli w téj chwili.
Tego lisa, mospanie, zwietrzę o pół mili!
Bo dał się nam we znaki swoją pańską łaską...

(*Przedrzeźnia*):

„A duszeczko... a rybko... a kochany Trzasko!
„Wypuść mi na trzy lata włókę sianożęci...“
Ot widzisz, myślę sobie — choć to mimo chęci,
Jakoś zrobię dogodność dla tego paniska:
On tak się nizko kłania—tak grzecznie uściska...
Wypuściłem... ot widzisz... rok drugi i trzeci
Na moje sianożęci mucha nie zaleci,
Taki rygor, mospanie!... Myślę sobie: *bene!*
Ale w ośmset czterdziestym łąki poszły w cenę,
W czterdziestym pierwszym wyżéj, potém wyżéj [jeszcze,
W czterdziestym czwartym powódź—skrzywdziły mię [deszcze...
Myślę sobie... ot widzisz—w tak krytyczną porę
Od pana Płodozmiana sianożęć odbiorę.
Więc przychodzę do niego o zwrot łąki prosić.
Jak mi pocznie graniczne dokumenta znosić,
Stare, mospanie, mappy, stare inwentarze,
Że moja łąka leży w jego łąk obszarze,
Że on mi jeszcze pola na połowę przetnie,
Że już używalności zyskał kilkoletnie!...
Bez kontraktu... bez śladu... myślę sobie: bieda!
Ot widzisz, do własności powrócić mi nie da,
A jeszcze mi procesem zakłopota głowę...
Więc tak, krakowskim targiem, łąkę na połowę.
Myślę sobie: bierz licho! z napaści nie zginę;
Tylko ekscypowałem na łące zwierzynę,
A łąka już została przy panu sąsiedzie.

Szczęściem teraz pan Henryk, siadłszy na téj schedzie,
Powrócił moją własność...

(Znowu patrząc za parkan).

Czego on tu szuka?
Strzeżcie się, Mateuszu, bo to kręta sztuka!

CIŻ i PŁODOZMIAN.

Płodozmian *(wchodząc na dziedziniec, ogląda się w koło).*

Czy mnie oczy zawodzą?... Pięknieśmy zbłądzili:
Toż *Czartowa Pustynia* — z drogi więcéj mili.

(Patrzy na zegarek).

Godzina... w pół do pierwszéj — przeklęty przypadek!
A jaż chciałem marszałka prosić na obiadek;
Już do mojego gruntu zbliżali się goście...
Lecz paliki popsute, powóz pękł na moście.
Nim się wynajdzie ludzi, nim powóz przywleką,
To będzie pół do drugiéj — a dworek daleko,
A obiadek ostygnie — marszałek zły srodze —
Coś mój piękny projekcik na niedobréj drodze...
Tak — *Czartowa Pustynia...* moja chatka w lesie...
Aż słodziutko, gdy wspomnę o tym interesie:
Przedałem ją tak świetnie! w poczciwości ducha
Poeta sypnął groszem, niechże w rączki chucha!
To niewarto pięciuset — wziąłem dwa tysiące...
Patrzcie... patrzcie.., i rowy pokopał na łące,
I domeczek zbudował, i klombik przy sośnie,
I żytko na piaseczku bardzo pięknie rośnie...
Piękna gospodareczka!... czarodziejska scheda!
Trzeba będzie pogadać: może mi odprzeda.
Lecz śpieszmy, bo marszałek zły, że się marudzi.

(Podchodząc do Mateusza i Trzaski).

Kochany staruszeczku! — czy tu nie ma ludzi?

Mateusz.

Ludzi? Święty Gerwazy!

Sędzia.

Tak, ludzi, duszeczko.
Na mostku... na grobelce... tuż pod samą rzeczką
Załamał się mój powóz.

Mateusz (*przestraszony*).

A święty Antoni!
Zaraz.. zaraz... są ludzie! kosarze na błoni!
Huknę... i wnet się pańska wydźwignie kolaska.

(*Odchodzi*).

Sędzia (*spostrzegając Trzaskę*).

A duszeczko! a rybko!... a kochany Trzaska!
Jakże mi odmłodniałeś! twarz, jak kwiatek róży!
A zawsze ze strzelbeczką — polowańko służy!
Utyłeś, dzięki Bogu, i to ci do twarzy, —
Zawsze tęgi myśliwy — zajączki w lot plaży...
A pieski zawsze trzymasz?... i jak ci się wiodą?

Trzaska.

Ot widzisz pan, mam charta i wyżlicę młodą.

Sędzia.

To pięknie, to prześlicznie! a jakże ich zową?

Trzaska.

Charta nazwałem Doskocz, wyżlicę Ponową:
Oba wyborne psiska.

Sędzia.

To bardzo przyjemnie.
Doskocza i Ponowę pogłaskaj ode mnie,
I powiedz im...

Trzaska *(do siebie).*

Ot widzisz, dla psów ma ukłony!

Sędzia.

I powiedz im, że kiedyś przyjadę w te strony;
Toż to popolujemy po kniejkach, po błocie!

Mateusz *(wchodząc).*

Miałem tu z pańskiéj wioski ludzi na robocie;
Jakem tylko powiedział — a święty Antoni!
Jak się zerwą z przestrachu, jakby na sto koni,
Polecieli do mostku bez czapek i boso,
I pewnie pański powóz na rękach wyniosą.
Znam ten lud — u nich ręce do pracy olbrzymie...

Sędzia.

Dziękuję, staruszeczku! a jak ci na imię?

Mateusz.

Dzięki Bogu, Mateusz.

Sędzia.

A, to dzięki Bogu!
Co za szczęście, żem trafił do waszego progu!
Myślałem, że już w błotku zanocuję sobie.
A twój pan?

Mateusz.

Nie ma w domu.

Sędzia.

Słyszę, po chorobie?

Mateusz.

Miał nerwową gorączkę...

Sędzia.

Gorączka nerwowa!
Ale zdrów, dzięki Bogu? Niech go Bóg zachowa!
To wyborniutki człowiek, tylko smutny nieco.

T r z a s k a *(z przekąsem).*

A jaki dobry sąsiad — to szukaj ze świecą!
Człowieka nie pokrzywdzi, jeszcze zapomoże;
Nie tak, jak u nas dawniéj.

S ę d z i a.

A! to szczęść mu Boże!
A wyborny gospodarz, choć świeżutkiéj daty.
Widzę... musi tu zbierać grosiwko z intraty,
Dokupił, słyszę, schedkę, poosuszał łączki,
Krówki widziałem spore i tłuste, jak pączki,
W ogródku, są gruszeczki i gatunek rzadki.

(Do Mateusza:)

A ileż tam mniéj więcéj może mieć intratki?

M a t e u s z.

A święty Bonifacy! zkąd ja wiedzieć mogę?

S ę d z i a.

Jednak dałbym uwagę, jedniutką przestrogę:
On ma talent rolniczy, służy mu ochota,
Szkoda, że się tak marnie zagrzebał do błota.
Mam większy mająteczek—obszaru nie pomnę,
Przedałbym go z ochotą... waruneczki skromne:
Kilkanaście tysiączków—to niewielka bieda;
A Czartową Pustynię może mnie odprzeda...
Jak myślisz, Mateuszu?

T r z a s k a *(z przestrachem).*

Niech go Pan Bóg broni!

M a t e u s z.

Słychać turkot powozu i stąpanie koni.
To pewno pański pojazd...

Sędzia.

O, lecę już, lecę!
Czy tam nie szwankowały ubiorki kobiece?
Pozwolisz, Mateuszu! tu spoczniem po trosze.
(Wybiegając naprzeciw powozowi).
Marszałku dobrodzieju! tu zajechać proszę!

CIŻ, MARSZAŁEK i MARYA.

Marszałek.

Niech wam Bóg nie pamięta téj waszéj podróży!
A kołysze, a trzęsie, a budzi, a nuży,
A cały ranek chłodno, na popasie głodno,
A na nocleg czy znajdziesz oberżę wygodną?

Sędzia.

Mój marszałku!..

Marszałek.

Mój sędzio! póki do granicy,
Powiedziałbyś, że żyją jacyś ludzie dzicy:
Nie wyporządzić mostu!—fi! aż słuchać zgroza!
Trzeba powóz dobywać z pomocą powroza.
Na groblach koło skrzypi, zarzyna się, śliźnie,
Sądziłby cudzoziemiec, że jest w Tatarszczyźnie...
Toż przecię nasza Litwa niby Europa!

Trzaska *(z ukłonem).*

Ot widzisz, proszę pana—bo to ręce chłopa
Pan sędzia do pilniejszéj roboty obraca:
Naprawiać groble, mosty, nieintratna praca.
To most pana sędziego—na bagnistéj łące
Nieraz tam kark kręciłem, pędząjąc zające...
Koń leci... otoż widzisz—potknie się i pada,
A gdybym nie szanował pana i sąsiada,
(Kłania się sędziemu).

To mi tyle na grobli zemknęło zajęcy,
Że posłałbym dziedzica do kroć set tysięcy!
Ale jakoś mi Pan Bóg cierpliwość dodawa...
Ot widzisz, myślę sobie, to sąsiedzka sprawa.
(Kłania się znowu sędziemu).
Gdy nie skręciłem karku, jeszcze boża łaska...
Co insza pan Płodozmian, co insza pan Trzaska.

Marszałek.

Jak to, sędzio! ten mostek czyż na twojéj ziemi?

Sędzia.

Marszałku dobrodzieju! sprawami różnemi
Człek zawsze zatrudniony po uszy, po szyję,
Nie zajrzy do wioseczki—a tu mostek gnije,
A grobelka opada...

Marszałek.

No! mniejsza z tym mostem!
Lecz dziś nie Wielki Piątek, a ja jestem z postem.
Czy tu niemożna kupić, albo czego dostać?
Tego dworku, jak widzę, przyzwoita postać.
(Do Mateusza.)
Pan jesteś gospodarzem?

Mateusz.

A święty Wincenty!
Pan mój dzisiaj ważnemi sprawami zajęty;
Ja tylko jestem sługą.

Marszałek.

Sługą?

Mateusz.

To i owszem,
Bo pan Henryk napoił mię pojęciem zdrowszém:

Człowiek, nie w ciemię bity, z jego słów korzysta;
Wiem dobrze, że gość w domu, to zastępca Chrysta:
„*Si hospes, Christus venit*“—mówi ksiądz wikary.
Jest zając na pieczyste, do niego sos szary,
Do zająca sałata z octem i z oliwą.

Marszałek.

O! to, to, mój poczciwcze! tylko dawaj żywo!
Sałata... bardzo pięknie... ale przed sałatą..

Mateusz.

Nie mamy win zamorskich; lecz jest starka za to
Z osiemset dwunastego...

Marszałek.

Historyczna starka!
A czyjaż to, dla Boga, taka gospodarka?
Intrygujesz mię waszmość... twój pan jak się zowie?

Mateusz.

Pan Henryk.

Marszałek.

Co?

Sędzia.

Poeta!

Marszałek.

No! ani mi w głowie,
Żeby się zdały na co Apollina dzieci...
Zając—starka—mój sędzio! niech żyją poeci!
Takich ludzi poszukać choć z latarnią we dnie.
Poczciwy, dobry Henryk!

Sędzia (*do Maryi*).

Czego pani blednie?

Marya.

Tak... znużenie podróży...

Sędzia.

Znużenie podróży...
Niechaj się pani przejdzie, to na zdrowie służy.

(Podaje rękę).

Unużenie w podróży, to jak ciężka praca.

Mateusz (*patrząc za parkan*).

O święty Mateuszu! pan Henryk powraca!
Prędzéj stół nakrywajcie i potrawy znoście!..
Jakże będzie szczęśliwy, że ma w domu goście!

USTĘP CZWARTY.

(Wnętrze chatki — pokój stołowy).

MARSZAŁEK, PŁODOZMIAN, HENRYK, MARYA
i w progu MATEUSZ.

(Wstają od stołu).

Marszałek (*ściskając Henryka*).

Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza!
Bogdajby tak się wiodła cała podróż nasza!
Pyszny kwasek z zająca, z cietrzewia pieczyste,
Świadectwo gościnności dają uroczyste...

(Do służącego:)

I o tobie powziąłem wrażenie korzystne,
Kochany Mateuszu, niechże cię uścisnę!

Mateusz.

O święty Mateuszu! to już pańska łaska...

Marszałek.

Niech mi zawsze tak trafnie powóz się roztrzaska,
To nie powiem i słowa.

(*Ziewa*).

Sędzia (*ściskając Henryka*).

Tak, drogi sąsiedzie,
Uraczyłeś obiadkiem!

Marszałek.

Ale po obiedzie
Każe stary obyczaj przedrzemać się chwilę...
Czy zaśniesz, panie sędzio?

Sędzia.

Ja zasnąłbym mile,
Lecz nie mam chwilki czasu, bo coś mi się marzy,
Że kochany mój sąsiad nieźle gospodarzy.
Przystroił chatkę w lesie, jak wianuszek wonny,
Toć użątek w stodółce musi być niepłonny.
Widziałem na dziedzińcu jakiegoś wyrostka:
Gospodarska ciekawość — prosta ciekawostka —
Każę się oprowadzić po śpichrzach, stodole...

Henryk.

Ja sam panu sędziemu towarzyszyć wolę.

Sędzia.

A broń Boże! broń Boże! jesteśmy ciekawi,
Lecz tu kochany sąsiad niech gości zabawi;

(*Wskazuje Maryę*).

A ja wkrótce powrócę...

(*Do siebie*).

Bo to niezła scheda,
Trzeba wszystko obejrzeć—może mi odprzeda.

(*Odchodzi*).

Henryk (*do siebie, patrząc na Maryę*).

Boże, jaka zmieniona! nie musi być płocha...

Marya (*do siebie, patrząc na Henryka*).

Boże! jaki on blady!... on dotąd mię kocha...
Jabym chciała utrzymać odwagę kobiecą...

Marszałek.

No! pogawędźcie sobie, a ja chrapnę nieco.

(*Odchodzi do drugiéj izby*).

HENRYK, MARYA.

(*Długie milczenie*).

Marya (*przerywając je*).

Prześliczną mamy jesień.

Henryk.

Tak... jest trochę słońca:
Nad skonaniem przyrody lampa konająca
Dopala się powoli...

(*Znowu milczenie*).

Marya.

W téj leśnéj ustroni,
Kiedy wicher jesienny po szybach zadzwoni,
Kiedy liście opadną, gdy nastaną słoty,
Musi być bardzo tęskno...

Henryk.

Są chwile tęsknoty:
Myśl płynie w kraj daleki na jesiennym wietrze;
To nakreśli gmach szczęścia, to znowu go zetrze;
Leci czasem w gwar świata z pustelniczéj chaty

Na widnokrąg ludzkości piękny i bogaty,
Kędy postaci ludzkie promienią się, złocą...

Marya.

Szczęśliwy pan, gdy mniemasz, że jest wracać po co.
Świat taki monotonny!

Henryk.

Jest inszy świat ducha.
W tamtym jest rozmaitość, kto się pilnie wsłucha.
W taktach ludzkiego serca tak różne są tony,
Jak w muzyce, pod jeden akkord niespojonéj;
Lecz chwilkę się wsłuchawszy, odgadnąć nietrudno,
Że z tych niesfornych tonów Bóg składa pieśń cudną.

Marya.

Ale trudno dosłyszeć, jak ludziom gra—dusza;
Bo każdy bicie serca umyślnie—zagłusza,
Aby go nie słyszeli.

Henryk (*z westchnieniem*).

Jam z miasta tak dawno!
Zapomniałem, czy skrycie, czy serca drżą jawno;
Lecz tutaj... myślą głośno... marzą, jak na jawie...
Po prostu, a serdecznie...

Marya (*siląc się na ironię*).

Za to nieciekawie.
Piękna sielska prostota... ale nieco dzika...

Henryk.

Jest piękno i w dzikości, kto bacznie przenika.
Tu pod nieokrzesanym dębowym konarem,
Nieokrzesana ludzkość żyje ładem starym:
Modli się po kaplicach, albo u cmentarzy,
Lecz w jéj prostych pacierzach skra wiary się żarzy;

Śpiewa prostych piosenek chropowate słowa,
Ale w staréj piosence całą duszę chowa;
Praca czerni i marszczy ich czoła i ręce,
Ale w sercach hartuje uczucia dziecięce.
Tutaj nie zna przymusu ich mowa, ich oko:
Gdy śmieją się, to hucznie—płaczą, to szeroko;
A gdy podadzą rękę, to pewno już szczerze...

Marya (*z lekkim przekąsem*).

Pan dobrze lud poznałeś, a więc panu wierzę...
I musi pan nic a nic nie żałować świata,
Kiedy się z nowém życiem tak serdecznie brata.

(*Z ukrytym niepokojem targa wstążkę*).

Henryk.

Nie, pani!—tamto życie, jak wspomnienie w ciemnie—
Lecz piętno niezatarte wypaliło we mnie;
A jeżelim nie upadł pod cierpień nawałem,
To z tamtych tylko wspomnień potęgę czerpałem;
I dziś ztamtąd ją czerpię, gdy, marzeń pozbywszy,
Obrałem zawód życia czynniejszy i żywszy.
Budzę się z jedną myślą, a ta myśl zbawczyni
Błogosławi mą pracę, wytrwalszym mię czyni.
Ja, ofiara marzenia, wygnaniec niebieski,
Silnie jąłem się pracy, jak topielec deski;
Czynię tutaj ubóztwu, com uczynić w stanie,
Szczere bliźnich *Bóg zapłać*, to moje zadanie.
Tu mi jedni dziękują, drudzy o coś proszą,
I tak się próżnia życia wypełnia rozkoszą.
A gdy mi pot rzęsisty oblewa jagody,
Gdy sumienie powiada, żem dziś wart nagrody,
Jedyna się modlitwa z moich piersi ciśnie:
Boże! tamtéj przeszłości choć chwilkę niech przyśnię!

Marya.

Szczerze panu winszuję téj szlachetnéj zmiany.
Pan tu jesteś do koła chlubnie wspominany;
Tu mi mówił o panu strzelec siwobrody
I ludzie, co nasz powóz dobywali z wody,
I stary pański sługa—każdy swoje prawi,
A każdy po swojemu pana błogosławi.
Zwiedziłam pański dworek przed niedawną chwilą:
Budynki tak się wdzięczą, kwiatki tak się milą!
Byłam nawet w pszczelniku, chodziłam przy strudze..
Piękneż to takie życie w pracy i zasłudze!
Tak zapełniać swe chwile—to życiem się zowie!
Ale z pracą ostrożnie! bo wycieńcza zdrowie;
Pan jesteś nieco blady, jakby po chorobie...

Henryk (*zmieszany*).

Lekkiego bolu głowy doświadczam w téj dobie;
Nic... to przejdzie.

(*Zmieniając rozmowę:*)

A pani na długo kraj rzuca?

Marya.

Och! ja nie wiem... chcę jechać... bo tu bolą płuca,
Duszne u nas powietrze... a ludzie... ohydni!...
Może pod jasném niebem w oczach się rozwidni,
Może w górach szwajcarskich w naturę uwierzę,
Może w świątyni Piotra pomodlę się szczerze.
Tu modlić się nie mogę, chociaż dusza chora!
O cóż prosić w tém życiu, bez jutra, bez wczora?...
Może, stojąc na Etny ognistym wulkanie,
Serce silniéj uderzy—albo bić przestanie!...
Ja nie wiem,—czuję tylko, że w sercu i w głowie
Taka okropna próżnia... tak straszne pustkowie!...

Tak mi wszyscy niemili, tak nic nie poruszy...
O panie! ty znasz życie, znasz tajniki duszy,
Sam uczułeś w swém sercu, co jest cierpień ostrze;
Dobry panie Henryku! poradź mi, jak siostrze?

Henryk.

Ja tylko boleć mogę... ale cóż poradzę?
Gdyby mi dał Przedwieczny nad losami władzę,
Skazałbym się na męki w piekielnéj otchłani,
Bylebym zdołał nieco ulżyć cierpień pani.
Lecz, słaby i zbolały, cóż poradzić mogę?
Wskazać własną, krzyżową, doświadczoną drogę,
Wskazać czynu i pracy mozolne koleje:
Te może zdolne wskrzesić duch, co kamienieje!
Jedź, pani, gdzie na wioskę—wszakże wioski macie,—
Bądź aniołem pociechy w wyrobniczéj chacie,
Schorzałemu kalece gotuj plastr na rany,
Nagim dzieciom wioskowym sama szyj sukmany,
Naucz pisma pacholę, co ginie w ciemnocie,
Młode dziewczę utwierdzaj twym przykładem w cnocie,
Gwarz ze starym oraczem, śpiewaj pieśń ze żnieją,
Śmiéj się, kiedy chychocą, zapłacz, gdy łzy leją;
I pracy, i zasługi znajdziesz tam bez liku,
To może ulży sercu...

Marya (*ze łzami*).

Henryku! Henryku!
Już przeczuwam to szczęście, widzę je, znachodzę;
Lecz któż mi poda ramię, by utwierdzić w drodze!?
Ty mi sam pokaż życie czynem i ofiarą.
Wiesz co, luby! odnówmy naszą chatkę starą,
Nasze stare marzenia!—Bóg wie, co się stanie?
Czy mi uda się zmówić pacierz w Watykanie?

Czy pokocham naturę z genewskich wybrzeży?
Czy na kraterach Etny serce mi uderzy?
A tutaj... pod drewnianym krzyżykiem u drogi,
Przypomnę stary pacierz, poznam lud ubogi,
Jego serce cieplejsze od wulkanów Etny,
A z okien twojéj chatki taki widok świetny
Nauczy, jak się Litwę i naturę kocha...

(*Klęka*).

Przebaczenia, Henryku! ja byłam tak płocha!
Jam niewarta twéj chatki!

Henryk (*podnosząc ją z zapałem*).

Maryo! taka chwila
Całą boleść łagodzi, mój żal obezsila.
Podaj mi rękę! chodźmy przez ciernie i kwiaty.
Błogosławiona chatka!...

Marya (*podając mu rękę*).

O jakżem szczęśliwa!

Mateusz (*wchodząc przerażony*).

O święty Mateuszu! ot i recydywa!

CIŻ, MATEUSZ i MARSZAŁEK (*wchodzi, ziewając*).

Marszałek (*do Mateusza*).

A cóż, dobry staruszku, czy powóz podali?

Marya.

Powóz? Kochany ojcze! nie jedźmy już daléj!
Po co nam za granicę? i koszt i fatyga!
Czyż się w kraju prawego szczęścia nie dościga,
Wśród życia obowiązków, ofiary i pracy,
Gdzie tylu jest cierpiących, gdzie bliźni, rodacy,

Gdzie mię czekają serca i ducha rozkosze?...
Nie jedźmy, drogi ojcze, nie jedźmy ztąd, proszę!

Marszałek.

Co to za dziwny wyskok rozmarzonéj głowy!
Jechać, to wracać z drogi prawie od połowy,
Brak wygód po gospodach, niepokój morderczy...
Już mi ta wasza podróż kością w gardle sterczy!
Nie dojadaj w południe, nie dosypiaj z rana,
Wywracaj się na mostach pana Płodozmiana...
A teraz co? nie jechać? nazad się posuniem?

(Do Mateusza):

Proszę mi podać lulkę i kapciuch z tytuniem...
Cierpliwości nie staje!...

Marya.

Nie gniewaj się, ojcze!
Już na zawsze minęły nudoty zabójcze,
Co mię pędziły z domu; jam odżyć gotowa,
Ja ci będę wesoła, ja ci będę zdrowa,
Ja ci będę szczęśliwa... będę tak szczęśliwa!
Nie jedźmy!

Marszałek *(zdumiony).*

Cóż to znaczy?

Mateusz *(półgłosem, podając mu fajkę).*

A cóż? recydywa!

Marszałek *(domyślnie).*

Aha! już jestem w domu... jestem w leśnéj chacie.
Myśleliście, że nie wiem, iż wy się kochacie?
Oho! ho! ja wiem wszystko... wiedziałem już wprzódy.
Ależ potém... wasz rozdział... choroby i nudy!...
Sądziłem, żeś przestała kochać go na zawsze.

Marya.

On dziś mię wskrzesił słowem, wskazał cele prawsze,
Wskazał czyny, jak wielkie życia ideały,
Rozbudził piękne żądze, co w mém sercu spały.
Mnie — abym je spełniła, potrzebna opieka;
Prosiłam go o ramię — i on mi przyrzeka
Prowadzić drogą życia przez kwiaty i ciernie...
Dochował mi swych uczuć szlachetnie i wiernie,
Przebaczył moją płochość, moją winę zmazał,
I na nowo, i wiecznie pokochać się kazał...
Mój ojcze, pobłogosław!

Marszałek *(do Henryka).*

Cóż pan na te dziwy?

Henryk *(składając ręce do prośby).*

Panie! chcę uszczęśliwić i sam być szczęśliwy.
Tém śmieléj błagam zgody dla przyszłości naszéj,
Że znam zapał téj duszy: mierność jéj nie straszy;
Ona chętnie zamieszka w téj leśnéj pustyni,
A miłość mię na trudy silniejszym uczyni!
Przysięgam...

Marszałek.

Nie przysięgaj; wierzę waści, wierzę...
Widzę, żeś tu pracował gorliwie i szczerze;
Pięknie, że tu cię wszyscy wspominają radzi;
Syn mego przyjaciela... dobrze się prowadzi...
Dałeś nam smaczny obiad — no! kocham cię za to!
Majątek! a toż, słyszę, masz ciotkę bogatą;
Umrze kiedyś... to grosza wygrzebiesz z zapiecka...
Zresztą... ja dobry ojciec--ja chcę szczęścia dziecka
Gdyście się pokochali, zwyczajnie jak młodzi,
Staraj się o jéj szczęście, Bóg ci wynagrodzi...

No! ja was błogosławię rodzicielską władzą!
Warto zapić tę sprawę—niech kielich podadzą!
(*Ściska Maryę i Henryka*).

CIŻ i PŁODOZMIAN.

Płodozmian (*który słyszał ostatnie słowa, cofa się przerażony*).
Marszałku dobrodzieju! poczekajcie trocha!
Niech marszałek dobrodziéj, kiedy Boga kocha,
Słóweczko... interesik...
(*Do siebie*):
O biada mi, biada!
Otoż przepyszna gratka sama z rąk wypada!
(*Głośno*):
Marszałku! na sekrecik! coś powiem, coś powiem!
(*Porywa marszałka pod rękę i odprowadzając na stronę szepce:*)
On pana oczarował tém leśném pustkowiem.
Któż to widział — tak nagle, a tak obcesowie!

Marszałek.

Od tego Maryi życie, od tego jéj zdrowie,
Od tego i mój spokój, i wszystko zależy...

Sędzia (*niecierpliwie*).

A czyż nie ma już inszéj na świecie młodzieży?

Marszałek.

Czy masz co przeciw niemu?

Sędzia.

Nie, nic, ale proszę...

Marszałek.

Chłopiec prawy...

Sędzia.

To mniejsza...

Marszałek.

I będzie miał grosze.
Marya dała mu serce...

Sędzia.

To niechaj odbierze...
Zresztą... panie marszałku! rozmówmy się szczerze.

(*Klęka*).

Ja kocham ją nad życie — aż serce się trzęsie,
Jakby mówiło do mnie: ożeń się! ożeń się!...
O posażku nie mówię: ja serca chcę więcéj...
Wezmę tylko połowę: trzykroć sto tysięcy...
Choćby trzykroć, cóż robić?.. resztę gdzie chcesz
[podziéj...
Tylko nazwij mię synem, marszałek dobrodziéj!
Ja panu marszałkowi... ja panu... Bóg świadek,
Wydam przepyszny obiad... przepyszny obiadek!
Sto obiadków od razu... dam zajączka, wina!...

Marszałek (*z głośnym śmiechem*).

Zwaryował nasz sędzisko! coś bredzić poczyna!
Żenić się w twoim wieku! z tak młodą osobą!

Sędzia (*zawsze klęcząc*).

Marszałku dobrodzieju! mam metrykę z sobą!

(*Szuka po kieszeniach*).

Zapomniałem w kantorku... nie więcéj... nie więcéj...
Trzydziesty pierwszy roczek i kilka miesięcy...
Ojcze!...

M a r s z a ł e k (*podnosząc go*).

Powstań już, sędzio! bo śmieją się dzieci!
Zkąd ta miłość przypadła do serca waszeci?
Daj pokój! w naszym wieku! my ludzie nieświeży,
Nie przeszkadzajmy szczęściu niewinnéj młodzieży...
Nie mogę... dałem słowo... to rzecz uroczysta...
No! wypijemy wina i zagramy w wista!

Grudzień 1855. Borejkowszczyzna.

HRABIA NA WĄTORACH.

KROTOCHWILA WIERSZEM Z XVI WIEKU.

„Comes de Wątory
„Jeden kmieć a trzy dwory.“
Rysiński. *Proverb. Cent. VI.*

OSOBY:

WĄTORSKI, hrabia na Wątorach.
HANNA, jego córka.
STANISŁAW PACHOŁOWIECKI, młody rycerz nizkiego rodu.
BALTAZAR, dworzanin Wątorskiego.
NEFTAL, lichwiarz.

Rzecz w wieku XVI, w starym zamku Wątorach.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Izba uboga obwieszona staremi portretami, w głębi herb srebrny. Przy skromnym stoliku hrabia WĄTORSKI, *ubrany w powszedni kubrak, pisze, odczytuje co napisał i mówi sam do siebie:*

Skreśliłem nasze herby, dawnych dóbr ogromy
I nasze skojarzenia z najpierwszemi domy;
Przedmiot zaprawdę piękny, materya bogata.
Teraz piszmy o cnotach nieboszczyka brata.

(Zamyśla się).

O cnotach!... jego cnoty... on miał swoje cnoty;
Lecz to ciche, domowe, zbyt skromne z istoty,
Rozwodzić się niemożna, bo śmiechy nie miną...
Na przykład: lubił wino... ale dobre wino...
A że na drogie wina niezawsze stawało,
Raczył się cienkiém piwem i prostą gorzałą.
Ale taką moc duszy czyż ocenią prości
W człowieku wysokiego domu i zacności?
Powtóre: ród swój kochał i szanował święcie,
O zacności swych przodków czyste miał pojęcie:
Wiedział, zkąd Wątorowie swój proceder wiodą,
Że jeden był hetmanem, drugi wojewodą,
Że czteréj kasztelani, dwaj byli biskupi,
Wiedział kim jest—i w motłoch nie mieszał się głupi...
Kiedyśmy podupadli, gdy dobra książęce
Koleją nędznych czasów przeszły w obce ręce,
Czyż miał służyć krajowi? gdzie??... w królewskim dworze?
Lub w chorągwi ussarskiéj—porucznikiem może—
Kędy stanowią komput plebejusze sami
I gdzie jego przodkowie byli hetmanami?...
O, nie! hrabia Wątorski, *comes de Wątory*,
Nie zdołał się poniżyć jeszcze do téj pory,
I na przyszłość poniżyć nie będzie nas łatwo..

(Staje przed portretem. W ciągu następnego monologu wchodzi Baltazar w szarej lisowéj kurtce i w rycerskim hełmie, a niepostrzeżony staje na stronie).

Bo wy, przodkowie nasi! czuwacie nad dziatwą.
Hetmanie! tyś zastępy Bolesławów wodził;
Kasztelanie! tyś przecię z Tęczyńskiéj się rodził;
Wojewodo! ty byłeś poufnym Jagiełły!
Czyżby wasze zaszczyty na zawsze zginęły,

A my, waszego szczepu szacowne gałązki,
Poszli na służebnictwo lub w nierówne związki?
O nie! ja będę wierny mych przodków gromadzie!
Śmierć brata nowe na mnie obowiązki kładzie.
O! ja z chlubą przyjmuję ten ciężar zaszczytny:
Podtrzymać na mych barkach nasz dom starożytny,—
(Udaje, jakby co dźwigał).
I herb sławny na świecie, co go nic nie plami,
I ten zamek, kwitnący...
(Postrzega Baltazara i cofa się).

SCENA DRUGA.

WĄTORSKI I BALTAZAR.

Baltazar.

Mchem i pokrzywami.
Przedawszy go na cegłę, choć dziś cegły tanie,
Może z dziesięć talarów dałby kupiec za nie.
Niechby te brzydkie gruzy oczyścili Żydzi,
Bo już tutaj i puszczyk zamieszkać się wstydzi.

Wątorski *(ze zgrozą).*

Przedać zamek Wątory!... gdzie dziady... pradziady!...
Tylko takie plebejusz może dawać rady!
Toż najdroższa spuścizna po umarłym bracie!...
Jam dzisiaj głową rodu!

Baltazar.

A czapki nie macie
Do nakrycia téj głowy. Z wyprzedaży cegły
Toćby się zapłaciło jakiś dług zaległy,
Odnowiło opończę, z któréj barwa znika.
Zresztą... potrzeba odbyć pogrzeb nieboszczyka,
A tutaj nie ma grosza.

Wątorski (*groźnie*).

Co??

Baltazar.

Pieniędzy niéma.

Wątorski.

Zuchwalcze! po to stoisz przed memi oczyma,
Abyś mi się urągał!

Baltazar (*pokornie*).

Broń mię Jezu Chryste!

Wątorski.

Wyprzedawać Wątory, to gniazdo ojczyste,
Gdzie tyle starych orłów wylęgło się, wzrosło!...

Baltazar.

Ależ okna pobite!

Wątorski.

Czyż moje rzemiosło
Naprawiać stare szyby?...

Baltazar.

Lecz ściana się wali,

Wątorski.

Z pod tych ścian może nieraz wrogowie zuchwali
Pierzchli, gdy ich odparli ot ci dzielni wodze!

Baltazar.

A dzisiaj tu puszczyki stoją na załodze,
A trzyma w oblężeniu od przeszłéj niedzieli
Sroższy od nieprzyjaciół zastęp wierzycieli.

Wątorski.

Rozkaż im niech się cofną, bo przywołam straże
I z groźnych bastyonów ognia dawać każę!

Baltazar.

A! jest stara armatka, chociaż dla popłochu
Możnaby z niéj wystrzelić—ale nie ma prochu;
A straże... dwóch pachołków,—wszakże pan pamięta,
Pojechali do lasu po drzewo na święta.

Wątorski *(patrząc na strój Baltazara).*

Co to jest, Baltazarze? niechaj mi kto powie:
Kurta lisia na grzbiecie, a kirys na głowie,
Jakby głowa olbrzyma na ramionach karła!

Baltazar.

Nic, miłościwy panie! czapka mi się zdarła:
Znalazłem hełm żelazny, zardzewiały srodze,
Włożyłem go na głowę i tak sobie chodzę;
To mocniejsze od sukna, i płowieć nie zacznie,
I ochroni od zimna.

Wątorski.

Ależ to dziwacznie,
Mieszać ubiór cywilny z rycerską ozdobą!...
Słuchaj! chcę uroczyście rozmówić się z tobą.

(Siada).

Gdy brat mój wiekopomny już spoczywa w grobie,
Piastuję zaszczyt domu w méj jednéj osobie;
A ten, który się hrabią na Wątorach zowie,
Niegorszy niż Ostrogscy lub Radziwiłłowie.
Koło nich świetny orszak zawsze się kojarzy:
Mają marszałków dworu, mają sekretarzy,
Dowódców chorągiewnych, łowczych i dworzany;
A chocia los uboższy w podziale nam dany,
Czuję, co jestem winien mych przodków zacności,
Nie dam się poniewierać, jak plebeje prości.
Chcę mieć dwór — a że nie mam utrzymać go za co,
Ty, wierny Baltazarze, za pomierną płacą,

Wszystkie dworskie urzędy, jak rozkażę tobie,
Będziesz pełnił kolejno przy mojéj osobie.
Ucałuj moją rękę.

(Wyciąga rękę, którą Baltazar całuje).

Otoż do wyboru,
Jesteś giermek, koniuszy i marszałek dworu,
Tyś piwniczy, choć zwykle przestaję na wodzie,
Tyś dowódca sił zbrojnych w moich przodków grodzie.

Baltazar.

A gdzież te zbrojne siły?

Wątorski.

Nie masz... mniejsza o to!

Baltazar.

Ależ nie mamy koni, pan chodzisz piechotą,
Jakże będę koniuszym?

Wątorski.

Nie frasuj się srodze:
Będziesz pilnował kija, z którym zwykle chodzę.
Lecz proszę mieć w pamięci, bo to rzecz nielada,
Że do każdéj posługi inszy strój wypada:
Kiedy zawołam giermka lub dowódcy straży,
Przywdziewaj hełm i pancerz—ten strój ci do twarzy.
Gdy krzyknę: *Héj, pachołcy!* albo: *Jest tam który?*
To zjawisz się przede mną w téj kurtce z lisiury.
Jeśli zaś w takich słowach dam rozkazy moje:
Pana marszałka dworu prosić na pokoje!
Przywdziejesz nowy żupan z futrem popieliczém
I staniesz z ukłonami przed mojém obliczem.
Gdy wołam piwniczego, miéj kluczów pęk mnogi,
A gdy będziesz koniuszym, przypinaj ostrogi.

Baltązar.

Czyż, miłościwy panie, na każdym urzędzie
Płaca moja podwajać, potrajać się będzie?

Wątorski.

Potém o tém pomówim; jeśli będzie za co,
Wątorscy hojną dłonią za zasługi płacą.
Pomnij być wiernym stróżem dostojnego progu.
Odejdź...

(*Baltazar odchodzi*).

No! urządziłem mój dwór, dzięki Bogu.
Zajmijmy się pogrzebem nieboszczyka brata.
Jednak nieco utrudza to życie magnata...

(*Klaska w ręce*).

Prosić rządcy dóbr moich!

Baltazar (*za sceną*).

Czy to mnie pan woła?

Wątorski (*z gniewem*).

Kara boża! ucz, gadaj—daremna mozoła!
Och! plebeje, plebeje! o głowo ty, głowo!
Mówiłem ci przed chwilą... powtarzam na nowo:
Idź, zawołaj sam siebie, włóż strój, jak do gości,
I przychodź, jako rządca moich posiadłości.

Baltazar (*za sceną*).

Panie rządco! pan hrabia wzywa na pokoje;
A proszę się ustroić.

(*Innym głosem*).

Jakże się ustroję,
Gdy mój kubrak świąteczny, choć lichy, dziurawy,
Musiałem jeszcze latem oddać do zastawy?
Pilno mi było grosza...

Wątorski.

To skaranie boże!

Baltazar (*wychylając głowę*).

Słyszałeś pan, że rządca stawić się nie może;
Tymczasem, jak pachołek, zwiastuję wam goście:
Jakiś rycerz przyjechał.

Wątorski.

Uprzejmie go proście.
Każdy gość, co zawitał w te odwieczne ściany,
Na zamku moich przodków mile był widziany.
Słuchaj, mości marszałku! przynieś miód i wino!
Choćby ci przyszło stągiew wypróżnić jedyną,
Dla gościa, co jest w domu, wszystko, co jest w duszy...
Taki zwyczaj mych przodków...
Héj, panie koniuszy!
Widzę tam dwa rumaki—wziąć do stajni obu,
Ostatnią miarkę owsa wysypać do żłobu. —
Hola! giermek! pójść gościa wprowadzić w te progi.

Baltazar (*biegając niespokojnie po komnacie*).

Moja szuba! mój pancerz!... gdzie moje ostrogi?
Gdzie moja biedna głowa?... sam już nie wiem całkiem,
Czy jestem Baltazarem, giermkiem, czy marszałkiem?
Ot znalazłem ostrogę... jest hełm... ot i futro!...

(*Ubiera się w szubę, hełm i ostrogi i wylatuje z komnaty*).

Wątorski.

Gość... rycerz... niechaj u nas zabawi przez jutro,
Bo jutro pogrzeb brata; na smutnym obrzędzie
Niech uczci dom Wątorów, niechaj świadkiem będzie.
Prosić go!... nie!... czekajcie!... Héj, marszałku dworu!

(*Baltazar wraca się*).

To nie jest dom szpitalny lub mury klasztoru,

Ale zamek Wątory... Ów rycerz z podróży,
Nim panu tego zamku swe służby wynurzy,
Może zechce się przebrać, albo spocząć nieco.
Dać mu pokój gościnny—niech ogień nanieca;
Wszak podobno jest komin w izdebce na dole.
Czy on ma swoich ludzi?

Baltazar.

Jest przy nim pacholę.

Wątorski.

Dobrze... toć mu usłuży... znać gościowi dacie,
Że czekam za godzinę na górnéj komnacie.

SCENA TRZECIA.

WĄTORSKI, HANNA.

Hanna (*wbiegając prędko*).

Ojcze! nieco kłopotów Niebo nam ulżyło:
Przyjechał Stach z wyprawy...

Wątorski.

To mi wielce miło.
Ale nim go powitam, muszę najprzód szczerze
Dzisiejsze moje myśli otworzyć w téj mierze.
Słuchaj!

(*Siada z powagą*).

Rzecz ci wiadoma, że sam Stwórca świata
Podzielił świat na kmiecia, szlachcica, magnata.
A pomiędzy magnaty rozliczne są stopnie:
Jeden łaską królewską swego szczebla dopnie,
Drugi zasługą wojny lub bogatém wianem
Wychodzi z prostéj szlachty, a staje się panem.

To jeszcze rzecz niewielka, bo tą samą drogą
Zostać i proste kmiecie szlachcicami mogą.
A jużci... dla bogactwa i tamtych świat ceni...
Ale są jeszcze inni, wyżéj urodzeni,
Wyżéj... i jeszcze wyżéj... słowem tak wysoko,
Że ich początków ludzkie nie dośledzi oko,
Nad których rodosłowem chociaż dniem i nocą
Heraldycy mozolnie swoje czoła pocą,
A jednak ich nie mogli zgłębić do téj pory...
Na przykład: Wątorowie — *Comites Wątory...*
Chcesz poznać ich odwieczność, czytaj foliały,
Co mi się dziś po bracie spuścizną dostały,
Spisane jego ręką do ksiąg starych szczętów,
Oparte na powadze starych dokumentów...
Patrz na ten herb, ze srebra czystego wykuty:
Na nim lwy, słońca, gwiazdy, orły i koguty,
Na głównéj tarczy beczka, a nad nią dwa klucze.
Słuchaj, ja cię znaczenia tych herbów nauczę.

Hanna.

Lecz ojcze, Stach przyjechał...

Wątorski.

Nie myśl tam o Stachu!
Córka hrabiów Wątorskich w swoich przodków gmachu
Ważniejszemi rzeczami niech zaprząta głowę,
Aby zdołała poznać swe dzieje rodowe.

(*Wskazując tarczę*).

Patrzaj na ten herb srebrny: oto beczka wina,
Nad nią na krzyż dwa klucze, berło je przecina;
Tym herbem, jak uczony Anzelmus dowodzi,
Pieczętował się Noe jeszcze w swojéj łodzi.

Jafet, średni syn jego—patrz na lewą stronę—
Już nad beczką miał w herbie hrabiowską koronę;
A u beczki, rzeźbiarza ręką pracowitą,
Czy uważasz? Wątory wyraźnie wyryto:
Więc i ślepy odgadnie, że od tamtéj pory
Już się pisał Wątorski—*Comes de Wątory.*
Na inny czas odkładam ciąg wywodzić prosty
Od Jafeta do Pawła rzymskiego starosty,
Który był prapradziadem mego prapradziada,
A po którym ów tytuł prosto na mnie spada...
Dość powiedzieć, żem krewny z najpierwszemi władce,
Z Romulusem po ojcu, z Cyrusem po matce.
Tutaj znajdziesz ich herby—na dziś o tém dosyć.
Pocznijmy ród Wątorów do Polski przenosić:
Jeden z Wątorskich, Sławosz, rodził się z królewny,
Przydał do herbu ćwieczek, bo był Lecha krewny;
Drugi, jak świadczy powieść mgłą wieków pokryta,
Ten sam zamek Wątory wziął od Ziemowita,
Położył fundamenta rodowéj kolebki,
Pieczętował się beczką — a w niéj cztery klepki.
Odtąd na nas godności płynęły, jak z wodą:
Wątorski był hetmanem, drugi wojewodą,
Trzeci, najpierwsze krzesło zajmując w senacie,
Z Władysławem Jagiełłą był za panie bracie;
Był hetman, co zastępy Bolesławów wodził,
A miecznik, moja pani, z Tęczyńskiéj się rodził;
Kilku było biskupów, czterech kasztelanów...

Hanna.

Lecz, ojcze, mamy gościa...

Wątorski.

Dobrze się zastanów,
A sama łacno uznasz...

Hanna.

Ależ tam gość czeka!...

Wątorski.

Właśnie do tego punktu przyszedłszy z daleka,
Pomówimy otwarcie:
Świat zmienia się skoro,
I najpierwsze rodziny upadek swój biorą;
Jeden dom musi ginąć, drugi łaski chwyta,
Jak naprzykład w tych czasach Zamojszczyk Jelita,
Który został za jeduém faworów ujęciem
Hetmanem, i kanclerzem, i królewskim zięciem;
Wtenczas gdy ja, potomek tak świetnego przodka,
Miałem ubogi dworek i jednego kmiotka.
Mój brat, a twój stryj, Hanno, po którym dziś płaczem,
Także musiał przestawać na chlebie żebraczym;
Przedane były włości i ziemne obszary,
Ale posiadał dworek i ten zamek stary,
Kolebkę swego rodu. Ja, młodszy syn domu,
Nie taję się, żem bratu zazdrościł kryjomu,
Iż on mieszka na zamku, ja w drewnianéj budzie.
Wiedziałem, ktośmy tacy, że nie prości ludzie,
Że się żaden Wątorski służbami nie zmazał;
Lecz téj szacownéj księgi brat mi nie pokazał:
Więc niejasne pojęcie mając o swym rodzie,
Marzyłem, jak plebejusz na skromnéj zagrodzie.
I przyznam się, że wielce byłem ucieszony,
Gdy Stach Pachołowiecki zawitał w te strony,
Syty wojennéj chwały, i młody, i hoży;
Rad byłem, kiedym widział, że starania łoży,
By pozyskać twą rękę. Ja marzyłem skromnie,
Kiedy zamek Wątory nie należał do mnie:

Bo choć miła dla serca dostojność rodzima,
Brat ma syna—myślałem—ten syn ją podtrzyma.
Lecz dzisiaj... dzisiaj, Hanno, insza nasza sfera:
Umarł syn mego brata, dzisiaj brat umiera,
A ja na czele rodu; — póki jeszcze tlejem,
Nie dam ci się niesławnie połączyć z plebejem.
Patrz: zamek naszych przodków w gruzy rozsypany:
Ty musisz świetnym związkiem podeprzeć te ściany.
Nie dla ciebie na męża skromnéj szlachty dziecię:
Są Górkowie, Tęczyńscy, Zborowscy na świecie;
Niejeden lew sarmacki, jak pokorne jagnię,
Z świetnym domem Wątorów złączyć się zapragnie;
A że się już na tobie nasze gniazdo kończy,
Niechaj z naszém nazwiskiem swe nazwisko złączy.
Zabłyśnie stara świetność na wątorskim dworze,
A wtedy...

SCENA CZWARTA.

CIŻ i BALTAZAR.

Baltazar (*wchodząc*).

Gość was pyta: czy się widzieć może?

Wątorski.

Prosić go.

Baltazar.

Pleban przysłał dzwonnika od siebie,
Pomówić z Waszą Cześcią o przyszłym pogrzebie,
I rachunek wydatków... a rachunek suty...

Wątorski.

Mój Boże! a ja jestem z szeląga wyzuty!
Chciałem pogrzeb uświetnić, sprosić wielu gości...
Co tu począć?...

(*Chodzi niespokojny po scenie*).

Zastawię moje posiadłości,
Powinni dać pieniądze... to środek jedyny...

Baltazar.

Jeden kmieć, dwa folwarczki i zamku ruiny
To całe wasze hrabstwo—długów co niemiara,
Lichwiarze na to wszystko nie dadzą talara.
(*Kłania się*).
Niech to będzie, co powiem, bez pańskiéj obrazy...

Wątorski.

Dać cyrograf na summę większą o dwa razy,
Zapewnić wielką lichwę...

Baltazar.

Nie dadzą i kwita!
Wprawdzie tutaj z pieniędzmi jest Izraelita,
Ale jego warunki ciężkie, niespodziane.

Wątorski.

Na wszystkie się podpiszę, na wszystkie przystanę!
Byle hrabia Wątorski, mój brat pierworodny,
Był pogrzebion z przepychem, którego jest godny;
Byleby jego trumnę suto ozdobiono
Szkarłatnym aksamitem z hrabiowską koroną,
Byleby czarne kiry obito w kościele,
Byleby świec jarzących było bardzo wiele;
Byleby kaznodzieja, z karty, co mu skréślę,
Starożytność Wątorskich wypowiedział ściśle;
Byleby...

Baltazar.

Ale trudno.

Wątorski.

Cóż?

Baltazar.

Nadzieja krucha!
O żadnym cyrografie lichwiarz ani słucha,
Chce po prostu służalec szkaradnéj mamony....

Wątorski.

Cóż? zakupić w pół darmo przyszłoroczne plony?
Mniejsza o to... pomyślę, że mię okradł złodziéj.
Już się zgadzam na wszystko.

Baltazar.

Nie... pan się nie zgodzi.

Wątorski.

Czegoż chce??

Baltazar.

Nie śmiem mówić...

Wątorski.

No! powiadaj śmiało!

Baltazar.

Chce po prostu wziąć w zastaw... ot tę tarczę białą.

(Wskazuje tarczę herbową).

Mówi, że to ze srebra... sto talarów warta...
Zabytek lepszych czasów...

Wątorski *(z gniewem).*

A idźże do czarta!
Mości marszałku dworu! żart trochę za gruby!

Baltazar *(nieśmiało).*

On mówi, że to czyni... że w tém ma rachuby...
Że, pan, ceniąc ów klejnot, prędzéj go wykupi...

Wątorski *(z gniewem chodząc po scenie).*

Powiedz mu: że on głupi!... i sam jesteś głupi!
Ja... herby moich przodków... o hańba! ohyda!

Miałbym na jedną chwilę zastawić u Żyda?!
Stemmata Romulusa... Jafeta... Tankreda...
Choć za tysiąc talarów?!

Baltazar.

Nie, on tyle nie da:
Widział u nieboszczyka, co warta ta sztuka,
A jego, panie hrabio, już nikt nie oszuka.
Powiada, że téj tarczy każdą część pamięta,
Że ten kogut na hełmie... to blacha wydęta;
Powiada, że nieboszczyk, potrzebując grosza,
Srebrnego na żelazny zamienił kokosza;
Powiada...

Wątorski *(po namyśle).*

Dosyć tego! Bóg wie o czém gwarzym.
Pójdę sam się rozmówić z niegodnym lichwiarzem,
Może zdołam wyjednać warunki łaskawsze...

(Do Hanny z cicha):

Ty, Hanno, przyjmiesz gościa, lecz zimniéj niż [zawsze;
Sama go nie ośmielaj i ja nie ośmielę:
Hrabianka na Wątorach dziś wyższe ma cele.
Wkrótce po twoją rękę — ot może jak z chmury —
Przyjedzie Wiśniowiecki lub Zborowski który...
Panie marszałku dworu! proś gościa do sali.
Héj, służba! Baltazarze, niechby wina dali.
Ja tu zaraz powrócę...

(Do Hanny):

Jeśli on nieznacznie
O dawniejszych uczuciach pomrukiwać zacznie,
Niech go spotka wzrok chłodny i taki ponury,

Aby już więcéj nie śmiał powracać w te mury.
Tak chcą twoi przodkowie.

(Odchodzi z Baltazarem).

SCENA PIĄTA.

Hanna *(sama, rzuca się na krzesło z boleścią).*

Nie sposób!.., nie sposób!...

(Po chwili):

Czekać tu na przybycie znakomitych osób?
Na co mi znakomitość?... co to wszystko znaczy?
Dla czego się dziś ojciec z przodków tak junaczy?
Co znaczy herb ze srebra i ciąg rodu długi,
W obec młodego czynu i świeżéj zasługi?
Jak równać pleśń do kwiatu?... O Boże mój, Boże!
Ja kocham Stanisława — on wiedzieć to może;
Bo kiedy ztąd odjeżdżał na pole swéj chwały,
Musiał dostrzedz, żem blada, że mi ręce drżały;
Bo głosem takim ufnym, rzewnym mimo chęci:
„Hanno—mówił—zechciejcie chować mię w pamięci.
„Tam w boju tyle śmierci czyha na rycerze,
„Niechaj wasza modlitwa mojéj głowy strzeże!...“
Łzy mi w oczach stanęły, jam rzekła Stachowi:
„Dobrze, modlić będę się... wracajcie nam zdrowi!...“
Modliłam się codziennie, serdecznie a skrycie,
I może mu na wojnie wymodliłam życie...
A dzisiaj, gdy powraca, gdym w sercu tak rada,
Czyż modłów, czyż radości zaprzeć się wypada?...
Mamże się saméj siebie okazać niegodną?
Kłamać własnemu sercu i przyjąć go chłodno?...

Dobrze! jeśli chce ojciec, jeśli chcą przodkowie,
Usta skłamią nieczułość... lecz wzrok—prawdę powie...

SCENA SZÓSTA.

HANNA, STANISŁAW *(w rycerskim stroju).*

Stanisław.

Witajcie, krasna Hanno! czołem wasze progi!

Hanna *(podając mu rękę, ze źle ukrytą obojętnością).*

Panie Pachołowiecki! witajcie nam z drogi!...
Jakże się powodziło?

Stanisław.

Dobrze, jak widzicie:
Bóg wśród tysiącznych śmierci ocalił mi życie.
Czułem waszéj modlitwy skuteczne wołanie,
I wam, Hanno, przychodzę podziękować za nie!
A jakże wasze zdrowie?... Tak jesteś wzruszoną!...

Hanna.

Płakałam... stryj mi umarł...

Stanisław.

A dziś pogrzeb pono.
Wierzcie mi, biorę udział w każdéj waszéj szkodzie,
A każda wasza boleść żywo serce bodzie.

Hanna.

Dziękuję wam za udział i zupełnie wierzę.

Stanisław.

A wasz ojciec?

Hanna.

Pogrzebem tak zajęty szczerze,
Tyle różnych kłopotów w kościele, we dworze,
Że ledwie za godzinę powitać was może...

(*Milczenie*).

Stanisław.

Jak to, Hanno? słyszałem tu w poblizkiéj chacie,
Że wasz dworek nad rzeką na zawsze rzucacie?
W tak cudném położeniu, przy błoni, na górze,
Kędy lipy w ogrodzie rozrosły się duże,
Gdzie na chłodnawym wietrze, nad rzeczną odnogą,
Błąkać się tak wesoło, oddychać tak błogo!
Czyż tamtego zacisza było wam niedosyć,
Że w te ciasne zwaliska chcecie się przenosić?
Tu wszystko wieje grobem, stęchlizną i pleśnią,
Jakieś więzienne myśli do głowy się cieśnią,
Tu wolnego oddechu dla piersi nie złowię...

Hanna.

Ten zamek spadł po stryju—tu nasi przodkowie
Mieszkali w dawne czasy. Murom, co dziś kwitną,
Mój ojciec chce przywrócić świetność starożytną...
Taka jest wola ojca...

(*Milczenie*).

Stanisław (*do siebie*).

Boże! co za zmiany!
Gdzie ten wyraz radości na twarzy rozlany,
Którym bywało wita, gdy ku niéj przychodzę?..

Hanna (*do siebie*).

Och! jak ten ciężki przymus dolega mi srodze!
Lecz taka wola ojca...

(*Po pauzie, głośno:*)

Od tak dawnéj chwili,
Gdzieżeście przebywali? i coście czynili?
Nie było o was słychać.

Stanisław.

Bo niegłośne sprawy.
Mielecki, wielki hetman, był na mnie łaskawy;
Przy nim z orężem w ręku, z przyłbicą na czole,
Uganiałem Tatary, co łupią Podole.
Jakież to piękne życie!.. lecieć w bój otwarty,
Bezpieczen... bo modłami życzliwemi wsparty!
Pod wodzem doświadczonym, w ustawicznym trudzie,
Piersią zasłaniać wioski, gdzie bezbronni ludzie,
W pięknych jarach i stepach uwijać się żywo,
Puścić konia, jak wicher, za hordą błędliwą,
Wpaść na cały ich tabór, odebrać zdobycze,
I z jeńców rozwiązywać więzy niewolnicze!
Iluż błogosławieństwy nagradza się praca,
Gdy się matce stroskanéj jéj dziecię powraca!
Gdy starzec, co w niewoli miał już umrzeć pono,
Wyzwolony powita swą wioskę rodzoną,
A z płaczem przywoławszy swe wnuki i dzieci,
Za swojego wybawcę modlić się poleci,
I na chleb swój zaprosi!.. Jakże miło potém
Spocząć na twardém siodle, pod prostym namiotem!
Jakie sny pełne nieba, bez skazy, bez plamy,
Tylko rzewne tęsknotą... po tém, co kochamy!..

Hanna *(do siebie z rozrzewnieniem).*

Dawni ludzie musieli żyć taką zasługą:
Cóż za dziw, że ich wnuki chlubią się tak długo
Swém pięknem pochodzeniem?... Lecz chluba daleka
Być prawnukiem z prawnuków wielkiego człowieka,

A piękniejszą i świętszą ten musi mieć postać,
Kto, nie licząc swych przodków, sam wielkim mógł zo-
[stać.

Stanisław.

Potém hetman Mielecki jechał na Wołoszę,
Więc i ja się do niego pod chorągiew proszę;
I tam walcząc z Bohdanem na Iwona imię,
Ważneśmy otrzymali zwycięztwo w Chocimie.
Obok Ciołka, Herburta, Czuryły, Temruka,
Poznałem, co jest bojów regularnych sztuka.
Bóg dozwolił prowadzić mój zawód dostojnie,
Wzbogacił doświadczeniem i łupem na wojnie.
Zyskawszy nieco sławy, wróciliśmy zdrowi
Oddawać nowe służby Polsce i królowi.
Wielkie dla nich me serce obowiązki chowa:
Bo mię sam Zygmunt August i sama królowa,
Kiedy jeszcze zaledwie dzieckiem być przestaję,
Posłali dla nauki w zagraniczne kraje.
Tamem się pilno uczył rzeczy tu nieznanéj:
Poznać budowę fortec, rysować ich plany,
Poznać sztukę mierniczą, jak się plany biorą,
I pisać różném pismem kunsztownie a skoro.
Wdzięczność za tyle nauk mając przed oczyma,
Choć Zygmunta Augusta na świecie już niéma,
Nie czułem się spokojny, aż mój dług wypłacę,
Dworowi królewskiemu poświęcając pracę.
Król Stefan był przychylny i przyjąć mię każe
Między Jego Królewskiéj Mości sekretarze,
Gdzie przy boku kanclerza, na dostojnym dworze,
Pożyteczną zasługą odznaczę się może...

Hanna *(na stronie)*.

Zawsze praca... zasługa... wciąż o jedném marzy...
O! jakże młodzieńcowi taka myśl do twarzy!—

A jednak, on w tych myślach za nadto ugrzęzły,
Zerwał inne ze światem łączące go węzły:
Na świetnym dworze króla, sławny i bogaty,
Może już nie pamięta, co kochał przed laty.

(Głośno):

A jakże tam w Krakowie wasz czas przepędzacie?

Stanisław.

Przy pracy, lub na służbie w królewskiéj komnacie...
A kiedy się unużę pracą nieustanną,
Idę za miasto dumać... dumać o was, Hanno!
A wy? czy choć niekiedy o mnie przypomnicie?

Hanna.

O panie Stanisławie! u nas insze życie:
Tu nie ma świetnych zabaw, jak u dworu bywa,
Tutaj trąba bojowa dumań nie przerywa,
Wiejska cisza, modlitwa i piękna przyroda
Żadnéj do roztargnienia zręczności nie poda;
Kółko jednych przedmiotów ciągle nas oplata,
Jednemi wspomnieniami żyjem długie lata,
A kiedy smutno sercu i łza w oczach stoi,
To wspomnienie przychodzi i smutek ukoi.
Miło nam noc bezsenną przemarzyć w ukryciu,
I długo śnić na jawie o dawniejszém życiu...

Stanisław.

Hanno! wy moje szczęście spełniacie w téj dobie...
Jednaka nas tęsknota ciągnęła ku sobie:
Kiedy byliśmy całym rozdzieleni krajem,
Myśli nasze ku sobie zbiegały się wzajem...
Więc Hanno!.. jeśli wola, gdy serce bez zmiany,
Odnówmy naszych wspomnień ciąg niezapomniany!

(*Z zapałem biorąc jéj rękę*):

Dajcie mi waszą rękę, i dzisiaj, w téj chwili,
Zamieńmy w rzeczywistość to, cośmy marzyli!..

Hanna (*cofając się*).

Stanisławie... ja nie wiem... na zawsze jam wasza;
Ale dziś... dać wam rękę... ojciec mię przestrasza...
Nie mogę... przyjaźniejszéj poczekajmy pory...
Bo ojciec...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i WĄTORSKI.

Wątorski (*wpadając nagle, dumnie*).

Jest Wątorski, *comes de Wątory!*
Pra-pra-pra-wnuk hrabiego Jafeta jedyny,
Pan zamku swoich przodków i głowa rodziny!
Choć jeden tylko zamek, mniéj liczne mam wioski,
Równy mi Wiśniowiecki, Tęczyński, Zborowski,
A możem wyższy od nich, miłościwy bracie!..
A wy kto, co po rękę méj córki sięgacie?

(*Z przyciskiem*):

Szlachcic Pachołowiecki... to coś, jak pacholę...
Herb Równia... wielkie święto!... już żadnego wolę!
Równia... królewski pisarz!.. rycerz z pod Chocima!..
Umie rysować zamki, ale sam ich nie ma!..
Nie dla was połowica w naszém gnieździe starém:
Moja córka być musi tych murów filarem!

Stanisław (*kładąc rękę na główni pałasza*).

Panie! tyle obelgi... takie urąganie,
Tylko od ojca Hanny przenieść jestem w stanie.

Nie bluźnię twoich przodków przedwiecznéj rodzinie,
Bo ich krew droga dla mnie w sercu Hanny płynie;
Ale wara przymawiać, że mój herb za świeży:
Osobistéj zasłudze także coś należy!
Jeśli wam herb mój skromny nazbyt w oczy kole,
Dziś dosłużyć się nowych wyborne mam pole:
Oto Stefan Batory dziś wojnę ogłasza,
Ze mną Bóg, moja miłość i ostrze pałasza!
Nieprędko, nieinaczéj powrócę w tę stronę,
Jak wioząc nowe herby, krwią własną zbroczone.
A kiedy przyjdę do was w bohaterskiéj sławie,
Moją Równię na równi z twym rodem postawię.
Zawstydzisz się przymawiać w obec całéj ziemi,
Żem zdobył moją świetność piersiami własnemi.
Wtedy będę już godzien wejść w waszą rodzinę...
Hanno! pomódl się za mnie, gdy na wojnie zginę!...

SCENA ÓSMA.

CIŻ, prócz STANISŁAWA.

Wątorski.

Patrz, jaki hardy szlachcic!... przestraszył mię nieco...
A jak twarz jego pała! a jak oczy świecą!
Szkoda, że nie potomek wysokiego domu...
(*Do Hanny*):
Lecz nie dam twojéj ręki nikomu... nikomu,
Kto świetnych antenatów nie otrzymał w darze,
Kto przynajmniéj trzech herbów w tarczy nie okaże!
Wola moja niezłomna—tu płacz nic nie nada...
Lecz już dzwonią na pogrzeb—pośpieszyć wypada.

Ubierz się w czarne krepy i osłony białe,
Przybierz postać wyniosłą, wejrzenie wspaniałe,
A nigdy nie zapomnieć proszę od téj pory,
Żeś potomek Wątorskich, hrabiów *de Wątory*.

(*Hanna odchodzi*).

SCENA DZIEWIĄTA.

Wątorski (*załamując ręce w rozpaczy*).

Lecz mój herb... herb mój srebrny, odwieczny, bogaty,
Na którym wyrażono wszystkie antenaty,
Którym byli tak chlubni praojcowie starzy, —
Musi iść na zastawę, do brudnych lichwiarzy!
Sto talarów... dał przecię... o! łzami je broczę!
Trzydzieści trzy procenta... termin za półrocze...
A broń Boże urodzaj zawiedzie mię zdradnie,
Świetny klejnot domowy w zastawie przepadnie...
Szczęście, kogo Wątorskim urodziły nieba!
Lecz dźwigać takie imię—silnych bark potrzeba...
Hola! służba! pachołcy!

SCENA DZIESIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

Baltazar.

Staję, jak pacholę.

Wątorski.

Zdejmij ten herb i zanieś do komnat na dole;
Powiedz rządcy dóbr moich...

Baltazar (*na stronie*).

To znaczy sam sobie.

Wątorski.

Że z lichwiarzem interes osobiście zrobię.
Niech przyniosą rachunek, i pieniądze w worze,
I gotowy cyrograf—ja pieczęć przyłożę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

BALTAZAR, WĄTORSKI (*w ruinach zamkowych z rydlami w prostéj odzieży kopią ziemię; Wątorski przy pałaszu*).

Baltazar.

No, miłościwy hrabio! mamy już południe,
Czas odpocząć po pracy, kopaliśmy cudnie;
A wasza miłość rydlem tak wybornie włada,
Jakby nigdy hetmanem nie miał pra-pra-dziada.

(*Zdejmuje kapelusz, stawia rydel i siada na zwalisku muru*).

Wątorski (*także kładąc rydel*).

Wstyd mi, wstyd mi, zaprawdę, tak pracować w pocie;
Lecz ludzie z mego hrabstwa w polu na robocie,
A ten ogród zarastał chwastem do téj pory...

(*Z bolesnym śmiechem*):

Ha! cóż począć? Wątorski, *comes de Wątory*,
Gdy mu całkiem na środkach utrzymania zbywa,
Musi sam własnoręcznie uprawiać warzywa!

(*Siada na drugiém zwalisku*).

Baltazarze! ty jeden wiesz na całym dworze,
Że *incognito* czasem me ręce przyłożę
Do rydla lub siekiery — to przykład jedyny,
Domowa tajemnica Wątorskich rodziny:
Umiéj ją poszanować! Nietylko ktoś inny,
Lecz cienie moich przodków znać jéj niepowinny!...
Wątorski kopie rydlem!... od takiéj zakały
Romula i Cyrusa kościby zadrżały;
A biskupi, hetmani i wojewodowie
Mogliby ze swych trumien złorzeczyć méj głowie!...
Lecz cóż począć?... Posiadam jeden ziemi szmatek,
Jeden kmieć a trzy dwory! chleba niedostatek...
Choć z rodu miałbym prawo dygnitarzem zostać,
Muszę dźwigać ubóztwo, nikczemną mieć postać;
Bo ludzie świeżéj daty, co dziś krajem władną,
O hrabi na Wątorach zapomnieli snadno...
Czekając dla tych murów szczęśliwéj jutrzenki,
Muszę dzisiaj, rad nierad, rydel brać do ręki.

Baltazar (*z rezygnacyą*).

Gdy służą jeszcze siły, jedzmy chleb w mozole.
Czy wierzysz Wasza Miłość? ja to lepiéj wolę,
Niźli biegać na służbie w ustawnéj pogoni,
Być marszałkiem bez dworu, koniuszym bez koni,
Piwniczym bez piwnicy, że aż boli dusza —
Wolę poczciwy rydel!

Wątorski (*patrząc na stronę*).

Jak znać plebejusza!
A jednakże, jeżeli oko mnie nie myli,
Naczelnikiem sił zbrojnych musisz być w téj chwili.

Jakiś powóz na drodze wymija rozdroże...
Czy też pojedzie daléj? czy do nas być może?...
Przywdziéj zbroję i ruszaj na zamkową wieżę:
Niech twój sygnał na trąbie za wczasu ostrzeże,
Jeśliby do Wątorów zakierował drogą;
W tym stroju, z rydlem w ręku, przydybać mię mogą,
To byłby cios śmiertelny!

Baltazar.

Daremna mozoła!
Droga chwastem zarosła do naszego sioła:
Nikt pewno nie przyjedzie przeszkodzić nam w pracy.

Wątorski.

Teraz, widzisz, z wyprawy wracają wojacy,
Mogą do nas zawitać; nicbym się nie dziwił,
Gdyby który Zborowski, lub książę Radziwiłł
Przyjechał do Wątorów prosić ręki Hanny...

Baltazar (*do siebie*).

Znów mu głowę przewrócił ten szał nieustanny!
Dziewczyna, nim się pańskich doczeka zalotów,
On ją do dnia sądnego doma więzić gotów;
A szkoda! wielce szkoda!

Wątorski.

No, ruszaj na wieżę!
Pomnij uderzyć w trąbę...

Baltazar.

Pewno nie uderzę:
Bo choć codzień wychodzę i ślepię oczyma,
A żadnego książęcia jak niéma, tak niéma!

Wątorski (*niecierpliwie*).

Będę czekał lat dziesięć, choćby lat dwadzieście,
Doczekam się książęcia... doczekam się wreszcie!
A waść dowódca straży, to czuwaj nad strażą,
Nie wdawaj się w rozprawy i czyń, co-ć rozkażą!
(*Baltazar ruszając ramionami odchodzi*).

SCENA DRUGA.

Wątorski (*sam*).

Ja sam poczynam wątpić -- lękam się zawodu...
Lecz wydać za plebeja córkę mego rodu
Niepodobna... Przodkowie... zmarszczą się ich twarze,
Kiedy z niepewnym herbem moją krew skojarzę...
Nie śpieszmy -- poczekajmy dostojniejszych osób:
Orlicy trzeba orła, inaczéj nie sposób!...
Na skrzydłach tego orła — po trosze, po trosze
Wznosi się dom Wątorów... i ja sam się wznoszę.
Wsparty wziętością zięcia, dwa starostwa biorę,
(Dziś intratne starostwo dla mnie w samą porę,
Bo na gwałt trzeba grosza...). Gdy rosnę w honorze,
Kasztelaństwo krakowskie zawakować może;
Staram się... otrzymuję... zasiadam w senacie,
I oto w dostojności nowéj mię poznacie...
Będę się podpisywał ogromnemi głoski:
Wątorski de Wątory, Kasztelan Krakowski,
To pięknie brzęczy w ucho!... W téj fortunnéj zmianie
Hetman wielki koronny umrze niespodzianie,
Ja zostaję hetmanem — i jakimże jeszcze!...
A wtedy obok przodków mój portret umieszczę:

W jednéj ręce buława, co oznacza władzę,
Drugą za pas się trzymam, albo wąsy gładzę...
(Bierze rydel zamiast buławy i układa się w pozę).
A czoło wypogodzę... nie... nachmurzę woléj;
Będę miał strusie pióro u czapki sobolej,
Karmazynową delię, żupan złotolity,
A nad głową napiszą wszystkie me zaszczyty
I wymalują herby z całym rodowodem:
Korona z dwoma berły, a beczka pod spodem...
Tak będę wisiał w sali... w moich przodków sali...
(Słychać trąbę).
A to co?... dają sygnał?... goście przyjechali?
Książęta!... niezawodnie!... doczekałem wreszcie...
Héj służba! na spotkanie co prędzéj wybieżcie!
Mój ubiór!... ale żupan świąteczny podarty...
Nie włożę... siądę tutaj, na murze oparty,
Przeproszę moich gości za lekkie ubranie,
Niby mię tu w ogrodzie zeszli niespodzianie.
(Siada majestatycznie na zwalisku).

SCENA TRZECIA.

WĄTORSKI, BALTAZAR (*wpada przestraszony*).

Wątorski.

Marszałku! kogoż z gości zwiastujesz mi wasze?

Baltazar.

Och! panie! złe nowiny... może go przestraszę...
Przybył gość niespodziany... i tu prosto zmierza...
Ten... ten... ale...

W ą t o r s k i.

Któż przecię?

B a l t a z a r.

Lichwiarz z Sandomierza.
Dał na zastaw pieniądze z terminem we żniwa...

W ą t o r s k i.

No, pamiętam... pamiętam...

B a l t a z a r.

Dziś termin upływa.

W ą t o r s k i.

Liczyłem na urodzaj, ten zawiódł mię zdradnie...
Nie oddam, bo nie mogę...

B a l t a z a r.

Toć zastaw przepadnie.

W ą t o r s k i.

Tarcza z herbem mych przodków ma zostać przy [Żydzie!
To za ciężka zniewaga!...

B a l t a z a r.

Otoż on sam idzie!

(Wątorski siada majestatycznie na gruzach, jak przed chwilą).

SCENA CZWARTA.

CIŻ i NEFTAL.

N e f t a l *(wchodząc z lekkim ukłonem bez zdjęcia czapki).*
No? a co z nami będzie?

W ą t o r s k i *(z powagą).*

Sprawa swoją drogą;
Ale pomnij, gdzie jesteś i mówisz do kogo!
Mogłeś czapki uchylić.

N e f t a l *(z uśmiechem).*

Aj! wielcy panowie!
Jestem w domu dłużnika i z dłużnikiem mówię:
Czy jeszcze za mój pieniądz mam kłaniać się może?
Tu czapka nie zawadzi — bo wietrzno na dworze.

(Poprawia czapkę).

W ą t o r s k i.

Przyszedł, by mi ubliżać — na cześć nie pamięta!

(Do Baltazara):

Niech z przed mego oblicza usuną natręta!
Nie chcę go więcéj widzieć!

N e f t a l.

Tylko zapłać wasze!
Ja się strachów nie lękam, groźby nie przestraszę.
Mam cyrograf waszmości i termin wypłaty.
Od czegoż woźny, pozew i sądowe kraty?...
No! czego tu się gniewać? wszak takie umowy.

(Patrząc na Wątorskiego, który ima się główni pałasza):

Zresztą, jeśli potrzeba — zdejmę czapkę z głowy.
Czy waszmość dasz pieniądze?

W ą t o r s k i.

Miéj trochę pokory:
Jestem hrabia Wątorski — *comes de Wątory!*
Nie nazywam się waszmość, lecz trochę inaczéj!

N e f t a l.

Czy waszmość, czy jegomość—wszystko jedno znaczy.
U mnie tylko wielmożni panowie bogaci,
A ten pan miłościwy, kto swe długi płaci.
Czy gotowe pieniądze?

W ą t o r s k i.

Mój mości Neftali,
Patrz na wieże tych murów!

N e f t a l *(patrzy na wieżę).*

To cóż będzie daléj?
Cegła stara, pobita, mało z niéj intraty.

W ą t o r s k i.

Lecz tu bohaterowie mieszkali przed laty!

N e f t a l.

Musi być bardzo dawno.

W ą t o r s k i *(dumnie).*

Lat pięćset, to mało?!

N e f t a l.

A gdzież tych bohaterów bogactwo zostało?

W ą t o r s k i.

Zostało w księdze dziejów, których czas nie spożył,
I na tarczy herbowéj, com w twe ręce złożył;
Na portretach, co jeszcze pleśni nie uległy,
I na cegłach tych murów!

N e f t a l *(patrząc ciekawie).*

Wszak to proste cegły,
Stare, pobite, kruche, nic niewarte sądzę.
Ja cegłą nie handluję — daj mi pan pieniądze;

A przez grzeczność... zobaczym... niech i pan co
Mogę nastręczyć kupca na te rumowiska. [zyska,—

Wątorski.

Jakto! mniemasz, że ciężką obarczon biedotą,
Mury moich naddziadów mam przedać na złoto?
Nie! jeszcze mię tak ciężka nie przytłacza bieda;
Obejdę się bez złota.

Neftal.

Tu złota nikt nie da.
Możnaby gruz na cegłę wyprzedać ryczałtem;
Nie chcesz pan... mniejsza o to... nie odbieram gwałtem;
Lecz co będzie z mym długiem? Czekam do téj pory.

Wątorski.

Święty jest dług, oparty na zamku Wątory...
Ale słuchaj, Neftali! liczyłem na żniwa,
Lecz zima była ciężka... wiosna nieszczęśliwa...
Latem wypadły grady — miéj proszę na względzie.
Ja dziś nie mam pieniędzy.

Neftal.

A cóż z tego będzie?

Wątorski.

Musisz trochę poczekać.

Neftal.

Na co tu czekanie?
Mam zastaw, pańskie herby, i mam kupca na nie.
Będzie strata—cóż robić? liche nasze zyski!
Każę herby przetopić na srebrne półmiski.
A kiedy wielka strata, nie dopuszczaj Boże!

(Wpada w gniew).

To ja na pański zamek trzy pozwy położę!
Będę się procesował, pozna pan dobrodziéj!
Co ten herb? Srebro liche! waga nie dochodzi!
A na wierzchu kogutek, i to z blachy jeszcze!
O! ja tego kogutka na karczmie umieszczę,
I pod znakiem koguta zrobię szynk na wino,
Aby wszyscy widzieli rzetelność waściną!...

(Uspakaja się nieco).

Zresztą, panie Wątorski... jeślibyście chcieli,
Dam waści trzy dni czasu — termin do niedzieli;
Lecz w niedzielę, broń Boże, pieniędzy nie będzie,
Areszt na te zwaliska kładę na urzędzie;
Srebrny herb dam przetopić, bo na to mam władzę,
A kogutka na dachu karczemnym posadzę...
A teraz życzę dobrém pocieszać się zdrowiem!

(Kłania się).

Waszmość wiesz, żem ja słowny — dotrzymam, co
Do niedzieli! [powiem.

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

Wątorski *(załamując ręce).*

Szatanie!

Baltazar.

Héj, panie Neftali!

N e f t a l *(wychylając twarz z za muru).*

Do niedzieli poczekam... lecz nie mogę daléj;
Potém herby przetopię...

(Znika).

B a l t a z a r.

Czekaj! jedno słowo!

N e f t a l *(ukazując twarz znowu).*

A koguta umieszczę na wiechę szynkową!

(Znika).

B a l t a z a r.

Poczekaj! pogadajmy! czy się waść ośmieli!

N e f t a l *(jeszcze raz wygląda z za muru).*

A zamek zatraduję; termin do niedzieli.

(Znika).

W ą t o r s k i *(z boleścią).*

Więc w rękach u lichwiarza, pod młotem złotnika,
Ta najświętsza pamiątka mego domu znika!
Kruszą się, łamią, topią, jakby cyna podła,
Romulów i Cyrusów przedwiekowe godła!
I stanie się za chwilę jedną kruszcu bryłą
Cały ślad moich przodków, jakby ich nie było!...
Przyjdą płatni mularze, z sądową pomocą,
I młotem te odwieczne wieżyce zgruchocą;
A świetny dom Wątorskich, dom moich pradziadów,
Zniknie z oblicza ziemi, bez szczątków, bez śladów;
I uschną wiekuiste rodowe wawrzyny...
I to za moich czasów!... i to z mojéj winy!...

(Z rozpaczą).

Ja miałem pielęgnować, i ja sam to niszczę!...
O nie! pierwéj krew moja obleje to zgliszcze—

A kronika zapisze w potomność odległą:
Padł ostatni Wątorski pod ostatnią cegłą
Zamku swoich naddziadów... Tak! jeden krok śmiały!
Choć raz trzeba być mężnym — nie przeżyć zakały!
(*Dobywa pałasza*).

Baltazar (*rzuca się ku niemu*).

Panie! to być nie może!... wszak jest Bóg na niebie!
Zapłacim... zapracujem o wodzie i chlebie...
Ja wymodlę, wyproszę... w odzieży żebraczéj,
A umrzeć nie dopuszczę—mnie zabijcie raczéj!...
Rzućcie pałasz... to zbrodnia! to piekieł pokusa!...
(*Wyrywa mu pałasz i ogląda*).
Szczęście, że zardzewiały od czasów Cyrusa!
Lecz zawsze niebezpieczny... za to Pan Bóg skarze!
(*Odrzuca pałasz na stronę*).

Wątorski.

Przeżyć własną ohydę... nie, mój Baltazarze!
Na mnie patrzą przodkowie, patrzą dziejów karty—
Czyż mam być z posiadłości i ze czci odarty?...
Słyszysz, jak jęczą duchy z pod grobowych pleśni?
Patrz, jako, mnie wskazując, chychocą współcześni!
Wątorski celem śmiechu! sromota! sromota!...
Daj pałasz, Baltazarze! szaleństwo mną miota!...

Baltazar (*do siebie*).

To mi ważny argument: trucizna w chorobie!
Szalonemu miecz w ręce! prawda, że to zrobię!

Wątorski.

Za sto nędznych talarów — o, jak to okropnie!
Mój zamek się rozwali, tarcza herbu stopnie,
A kogut, jedno z godeł zyskanych od Lecha,
Ma służyć pośmiewiskiem, jak zwyczajna wiecha...

Po nad dachem gospody!... o moi przodkowie!
Znam od dawna lichwiarza: on spełni! co powie...
I przeżyć tyle hańby!

(*Załamuje ręce i bezsilny usiada na gruzie*).

Baltazar (*klęka przed nim*).

Ku takiéj ohydzie
Przysięgam, że nie przyjdzie!...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ I HANNA.

Hanna.

O! pewno nie przyjdzie!
Ojcze, byleś nie cierpiał... miłosierdzie boże!
A ja ci zapracuję...

Baltazar.

I ja coś dołożę.

Hanna.

Wszak ja mam sznurek pereł z czasów lepszéj doli...

Baltazar.

Wszak przy nowéj opończy mam kołnierz soboli.

Hanna.

Mam pierścień z dyamentem, wszak to każdy kupi;
Lichwiarz weźmie w pieniądzach...

Baltazar.

A jakiż ja głupi!
Wszak mam dziesięć talarów, to dla mnie za dużo;
Chowałem je na pogrzeb, niech dziś panu służą...

Hanna.

Wszak jeszcze mi się został klejnot nad klejnoty,
Z błogosławieństwem matki pieniądz szczerozłoty;
Miał służyć mi do ślubu — dziś stosowniéj zda się...

Baltazar.

Ja łańcuszek ze srebra mam przy kordelasie
I klamrę przy żupanie — chętnie to poświęcę...

Hanna.

Wszak mamy zdrowe ręce.

Baltazar.

Tak jest, zdrowe ręce:
Dorwę się do siekiery, do rydla, do młota...

Hanna.

Choć niepopłatna z igłą niewieścia robota,
Pracując w dzień i w nocy, poszczęści się może,
I ja, ojcze, choć małą kwotę ci przysporzę.
Potrzeba tylko zechcieć, aby się udało.

Wątorski.

Szlachetne wasze serca, ale sił za mało!
Czy myślisz, słabe dziewczę, czy ty myślisz, starcze,
Że wydrę wam ostatki i pracą obarczę?
Na mnie leży ten ciężar: kto jest rodu głową,
Sam powinien obronić świątynię rodową,
Kiedy jéj nieprzyjaciel orężem zagraża,
Albo czyhają szpony chciwego lichwiarza;
A jeśli nie obronił — to niechaj nie plami,
Niechaj umie przynajmniéj lęgnąć pod gruzami!...

Baltazar (*do siebie*).

I płacz, i śmiech! te gruzy dały się we znaki!
Zaprawdę, lepszéj sprawy godzien zapał taki!
Rzadko widzieć go można w tak pięknym zachwycie.
Aby go uratować, ja oddałbym życie;
Lecz biedny, cóż poradzę?

Wątorski *(z boleścią).*

Głupota! głupota!
Ta pycha rodowita, co nam serca miota!
Umiemy się przechwalać naszemi pradziady,
A gdy bronić ich trzeba, to nie damy rady...
Bo pytam: jak rodzinnych zaszczytów dochowa
Rozleniwiała ręka, niedołężna głowa?
Któryż najlichszy ptaszek nie umie przez pracę
Naprawić swego gniazdka, gdy burza skołace?
Jestże najlichszy kmiotek z najlichszego sioła,
Co strzechy swego ojca podtrzymać nie zdoła?...
A syn wielkiego rodu, krajowe bożyszcze,
Umie tylko boleśnie poglądać na zgliszcze,
I byle jaki piorun, byle chmurka błaha,
Do swéj niedołężności przyznać się nie waha...
Po co było mi czekać na losy łaskawsze?
Dla czego zasług przodków nie odświeżać zawsze?...
Patrzcie! jak się orężem, i piórem, i głową
Wznosi pozioma szlachta na świetność dziejową!
Kiedy mnie ani oręż, ani praca czoła
Kilku nikczemnych groszy pozyskać nie zdoła!
Bo w mych leniwych piersiach rozmiękniał hart ducha,
Głowa odwykła myśleć, a pióro nie słucha.
Mnie od pieluch wmawiali, żem dostojne dziecię,
Że bez pracy, bez nauk, znajdę cześć na świecie...
Dzisiaj, gdym niedołężny, gdy mię hańba czeka...
Przeklęctwo, kto magnata odróżnił od człeka!...

Hanna.

Uspokój się, mój ojcze!...

Baltazar.

Uspokój się, panie!

Hanna.

Porzućmy to zamczysko — to brzydkie wygnanie;
Wrócim w nasz skromny dworek, jakże będziem radzi!

Wątorski.

A tarcza herbów naszych młotem się zagładzi!
Ja tego nie przeżyję, bo to nazbyt podle...

Baltazar.

Pójdę błagać lichwiarza — wystraszę, wymodlę;
On herbów nie popsuje, da nam nieco zwłoki.

Hanna.

A tymczasem dojrzeją i dalsze widoki.

Baltazar.

Rzucimy się do pracy.

Hanna.

Spieniężym ostatki...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I STANISŁAW PACHOŁOWIECKI.

Stanisław.

Starego przyjaciela przyjmiecież do składki?

Hanna.

Stachu! ty nam przybywasz!...

Wątorski (*do siebie, z boleścią*).

Właśnie! — sama pora!
Widzieć upokorzenie hrabiego Wątora!...
Lecz przyjmijmy uprzejmie, jak obyczaj każe.

(*Do Baltazara*):

Hej! rumaki do żłobu, mości Baltazarze!

(*Baltazar odchodzi*).

SCENA ÓSMA.

CIŻ prócz BALTAZARA.

Wątorski (*do Stanisława*).

Witajcie nam, rycerzu! wracacie z wyprawy;
Cóż? jak nasze rycerstwo?

Stanisław.

Zawsze pełne sławy.

Wątorski.

A król? a wielki kanclerz?

Stanisław.

Już w stołecznêm mieście.
A wy, hrabio? a Hanna? czy zdrowi jesteście?

Wątorski.

Zdrowiśmy z całym domem i z rodziną moją,
(*Z ironicznym uśmiechem*).
Ot, jak te baszty zamku, co pięćset lat stoją.
Dotąd mamy się dobrze, ale trudna rada:
Piorun uderza w basztę i zamek upada,
A cóż dopiero człowiek?...
(*Zamyślony usiada znowu na gruzie*).

Stanisław (*do Hanny półgłosem*).

Ja wszystko słyszałem.
Boleść waszego ojca dzielę sercem całém,
Chciałbym zawsze dopomódz, a teraz témbardziéj.

Hanna.

Znacie mojego ojca... on pomocą wzgardzi...
On dumny... ani zechce w najsmutniejszéj porze
Zaciągać obowiązków, co spłacić nie może.

Stanisław.

Och! byle zechciał—spłaci, a spłaci sowicie,

Skarbem nad wszystkie skarby, droższym mi nad życie...
Ta ręka... czyż się jeszcze spodziewać wypada?...

Hanna.

Rycerzu! jam z was rada, jam serdecznie rada!
W téj głowie i w tém sercu—powiadam ci śmiało—
Ani jednéj ubocznéj myśli nie powstało;
Ale ubłagać ojca gdy nadziei niéma,
Do czegoż to prowadzi i gdzie się zatrzyma?...
Nie! uzbrojmy się w męztwo—ja ofiarę zrobię:
Postaram się nie myśleć, zapomnieć o tobie,
Cierpieć będę w skrytości, aż śmierć dni me przetnie;
Ty, daléj swoją drogą postępując świetnie,
Zapomnisz biednéj Hanny, któréj Niebo dało
Herbów jasnych za wiele, a doli za mało!...

Stanisław.

Czyż ta herbowa pycha i na ciebie wpływa?
O Hanno! Hanno moja!

Hanna (*z uśmiechem*).

O ja nieszczęśliwa!
Duch pychy rodowitéj i we mnie coś zmienia:
Bo znając myśli ojca i jego marzenia,
Gdym błagała nad nami zlitowania w Niebie,
Czy wiesz?—żem się modliła—o herby dla ciebie?

Stanisław.

I niepłonna modlitwa...

Wątorski (*ocykając się z zamyślenia*).

Znów herby na scenie?
Kto tu mówi o herbach?... proszę uniżenie!
Panie Pachołowiecki! wy jeszcze nie wiecie,
Że herbów mego rodu już niema na świecie:

Zabrał je z mego domu lichwiarz ryżo-brody
I haniebnie umieścił za godło gospody!...

Stanisław.

Panie! twemu rodowi już wiem, co zagraża...
Pozwól—ja ten łup święty wyrwę od lichwiarza.
Jam dziś bogaty z łaski króla jegomości,
On pasował rycerzem, on mi nadał włości.
Przysługa—jeśli wolno oddać waszej strzesie—
Wcale mię nie zuboży... a szczęście przyniesie.

Wątorski *(z radością).*

Wy? herb mój? co ja słyszę! w głowie mi się kręci...
Macie dosyć możności? macie dosyć chęci?
Wy mi obiecujecie, jako rycerz prawy,
Tarczę pradziadów moich wybawić z niesławy?
Tak... to wielka usługa! dziękuję młodzieńcze!...

(Zamyśla się).

Ale czémże wypłacę? czém ci się odwdzięczę?
Wątorscy żadnych przysług darmo brać nie mogą...

(Dumnie):

A swojém poniżeniem—to płacić za drogo...
Bo w płonném zamniemaniu, wy—szlacheckie dziecię...
Może nazbyt wysokiéj nagrody zechcecie,
A czyniąc dla nas łaskę, zapomnieć gotowi,
Żeśmy równi Tęczyńskim, lub Radziwiłłowi...
Przysługa swoją drogą, a krew swoją drogą:
Wątorscy z herbem *Równia* łączyć się nie mogą.
Szacuję cię, młodzieńcze! lecz tego za mało.
Dałeś twoim nadziejom przestrzeń wybujałą:
Córka moja, do któréj podnosiłeś oczy,
Nowym kiedyś promieniem dom przodków otoczy...
Wierz mi, niech każdy żyje we własnym zakresie.
Kto z nami chce się równać, niech się do nas wzniesie.

Stanisław.

Jakże się wznieść aż do was? jak te przebyć tamy?

Wątorski.

Drogą zasług posiadać, co my posiadamy,
Mieć przodków piękny poczet, świetną herbu postać,
Albo, co lepsza jeszcze, protoplastą zostać.
Bom przed chwilą inaczéj, dziś wierzę inaczéj:
Że ród świetny bez zasług jeszcze mało znaczy,
Najświetniejsze rodziny gdy karleją w tłumie;
Kto posiada zaszczyty, niech bronić ich umie.
Bo czy posiada zamki, czy wiejskie zacisze...

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i BALTAZAR.

Baltazar (*podając list*).

Oto list od kanclerza.

Wątorski.

Do mnie kanclerz pisze?
Kanclerz wie, że ja żyję? zkądże wie... w téj chwili?

(*Patrzy na kopertę*).

„*Hrabiemu na Wątorach*"—oko mię nie myli...
Głośny jest dom Wątorskich; ale zkądże przecię
Kanclerzby się dowiedział, że żyję na świecie?

(*Łamie pieczęć z pośpiechem i czyta*):

„Mnie wielce miłościwy i Panie i Bracie...

(*Do obecnych*):

On mię bratem nazywa... czy to uważacie?...
Obaczymy, co daléj... niesłychane dziwy!

(*Czyta*):

„Poleca Król Jegomość, Pan nasz miłościwy,

„Upraszać was o rękę jego zacnéj córy...“

(Z radością do Hanny):

A to co?... Ja mówiłem, że Tęczyński który,
Albo jaki Zborowski, Wiśniowiecki może,
Dostojnie postawiony na królewskim dworze,
Ktoś sławny z paranteli, wysoki w urzędzie,
O rękę twoją, Hanno, dopraszać się będzie!

(Czyta daléj):

„Zacnéj córy... dla wielce dzielnego młodziana,
„Którego dziś zasługa w całym kraju znana.
„Stanisław z Pachołowiec...“

(Wykrzykuje i przeciera oczy).

Czy mi się nie marzy?...

(Czyta daléj):

„Pa... cho...ło... wiecki, rotmistrz walecznych hussarzy,
„Którego szczyci łaska królewska i nasza,
„O rękę Waszéj córki pokornie uprasza.
„Król Jegomość, co dobrze jego męztwo baczył,
„Co dlań nowe zaszczyty herbowne przeznaczył,
„Do Waszéj Uprzejmości dziś wstawia się za nim,
„I solennie uręcza obecném pisaniem,
„Że jeśli te na względzie mieć będziecie słowa,
„W łasce swojéj królewskiéj wdzięcznie Was za-
[chowa.“

(Żywo do Stanisława):

Więc to wy? więc to o was? więc to przez was, panie,
Kanclerza i hetmana dostałem pisanie?
Więc król wie, żem pra-pra-wnuk mego pra-pra-
I przez swego kanclerza łaski zapowiada? [dziada,
O rękę mojéj córki doprasza się wreszcie,
I to dla was, rycerzu? a któż wy jesteście?

Stanisław.

Szlachcic Pachołowiecki, dobrze wam znajomy,
Niespokrewnion zaiste z najpierwszemi domy,
Nie szły na mnie zaszczyty spadkowe i cudze,
Czém jestem, to winienem pracy i zasłudze:
Trochę krwi, trochę potu — to moje zaszczyty!

Wątorski.

Ależ łaski królewskiéj znak niepospolity!
Nadał ci nowe herby — to nie rzecz znikoma...
Czy wolno je zobaczyć?

Stanisław (*dobywając pergamin*).

Oto jest dyploma.

Wątorski (*rozwijając go*).

Piękny herb!.. patrzcie tylko... na tarczy trzy włócznie..
To ci z własnego herbu dał kanclerz widocznie...
Orzeł... w hełmie dwie baszty... suty ogon pawi...
Dwie chorągwie... cóż na nich? jesteśmy ciekawi...
Co widzę!... wilcze zęby—herb królewskiéj mości...
O! takiego nabytku każdy pozazdrości!
Kto w ten sposób odświeżać herbu nie zaniecha,
Wart być wnukiem Jafeta, a pokrewnym Lecha...
Wszakże o takich rzeczach kronika napisze...
Któż się za wami wstawiał?

Stanisław.

Dobrzy towarzysze.

Wątorski.

Kiedy? gdzie? jak to było?

Stanisław.

W oblężeniu Pskowa,
Z mężnym nieprzyjacielem szła walka trzydniowa;

Jam wymierzył plan twierdzy i pochyłość ziemi,
A kiedy przyszło walczyć, biłem się z drugiemi.
Kiedy mury obronne szturmowano szczerze,
Z Wybranowskim i Sernym, najpierwsi harcerze,
Skoczyliśmy na mury; bój kipiał zajadły,
Z obu stron kupy rannych i zabitych padły,
Ja zostałem nietknięty... nade mną wysoko
Czuwało oko boże i królewskie oko.
Pochwalił moje męztwo, przypomniał mię sobie,
I przydał nowy klejnot ku mojéj ozdobie.
A kiedy mi oddawał piękne dyplomata,
Wielki kanclerz koronny ściskał mię, jak brąta...
Rzewno mi się zrobiło...

Hanna (*z rozczuleniem*).

Bo chwil takich mało.
Wam obu w tym uścisku pięknie być musiało...
Nie wątpiłam, że Niebo moje modły ziści...

Wątorski.

Lecz pewnie towarzysze pękali z zawiści,
I nie wszystkich twarz była, jak twoja, wesoła?

Baltazar (*z ukłonem*).

Przepraszam, że się wtrącę: nie zgadliście zgoła.
Byłem w wojsku za młodu, znam duch towarzyski;
Tam szczęśliwych spotkają braterskie uściski,
Rzewne powinszowania — potém kielich w ręce!

Stanisław.

Tak... nie znają zawiści szlachetni młodzieńce:
Bo tam, gdzie droga zasług dla wszystkich odkryta,
Nikt w kącie zapomniany zawiścią nie zgrzyta.
Więc towarzysze moi, chrobrzy a wspaniali,

Rzewniejszą od kanclerza pamiątkę mi dali:
To pismo o ich sercach świadczy jak najwierniéj.

Wątorski (*czyta*).

„My dowódcy piechotni, jezdni i pancerni,
„Jednogłośnemi słowy to świadectwo piszem
„Za naszym ukochanym, wiernym towarzyszem.
„Rycerz Pachołowiecki przez całą wyprawę
„Okazał serce mężne, a postępki prawe:
„Wśród bitew, swemu zdrowiu nie folgując zgoła,
„Ochoczo dawał życie, gdzie powinność woła;
„Pierwszy stawał na murach, pierwszy nabił działo,
„Wszędy okazał duszę wierną i wspaniałą.
„A przeto my, rycerstwo, jego zasług pewni,
„Rotmistrze, namiestnicy, wodze chorągiewni,
„Wielce miłego brata, podczas wojny saméj,
„Łaskom Jego Królewskiéj Mości polecamy.
„Jakeśmy w jedno koło zebrani gromadnie,
„Każdy się podpisuje i swą pieczęć kładnie.
„Dan w obozie...“

Hanna.

Poczciwi! szlachetni koledzy!...

Baltazar.

Lecz komu takie pismo wydano bez wiedzy,
Musiał się ciągle sprawiać chlubnie, jak tu pisze;
Bo najlepsi sędziowie — właśni towarzysze.

Wątorski (*uroczyście*).

Kto herb mojego rodu wykupić jest w stanie,
Za kim się wstawia do mnie kanclerskie pisanie,
Kto podniósł własną świetność tak pięknemi czyny,
Ten godzien zostać członkiem Wątorskich rodziny.

Jeżeli się kochacie, Hanno! Stanisławie!
Niech was Bóg błogosławi! i ja błogosławię!

(Łączy ręce Stanisława i Hanny).
(Po chwili):

Cieszy mię wasza radość — i dobrze mi wróży,
Że kto służył królowi, i nam się zasłuży.
Nielekka tu, młodzieńcze, oczekuje praca..
Musisz dźwigać ten zamek, co się w gruz obraca,
Odbudować wieżyce, przyjąć liczne straże,
Jak dostojność dwóch rodów znakomitych każe;
A herby, połączone i twoje, i nasze,
Każesz wyryć nad bramą na śpiżowéj blasze...

Stanisław.

Dla jéj szczęścia, przed żadną nie cofnę się pracą;
Spełnię wszystko, co każesz...

Hanna.

A na cóż to? na co?
Żyć będziem w cichym dworku, szczęśliwi a zdrowi.

Wątorski.

Zapominasz, coś winna twojemu rodowi.

(Do Stanisława):

Pamiętaj, wchodząc w nasze rodzinne ogniwa,
Że na tobie spojrzenie mych przodków spoczywa;
Że ku tobie się marszczy, albo się uśmiecha,
Oblicze Romulusa, Cyrusa i Lecha,
I że każde spojrzenie mojego naddziada
Nowe na twoje barki powinności wkłada.
Masz na to dosyć siły? czy masz dosyć chęci?...

(Do Baltazara, patrząc niecierpliwie na Hannę i Stanisława):

Oni nie uważają! tak sobą zajęci!
Jego bardziéj raduje uśmiech na jéj twarzy

Niż to, że się z rodziną Wątorskich kojarzy!...
No! idźmy na pokoje, bo chłodnieć zaczyna...
Mości marszałku dworu! każesz przynieść wina;
A jeśli mur wytrzyma, osłabiony z laty,
Postaraj się na wiwat dać ognia z armaty.

(*Odchodzi z Hanną i Stanisławem*).

SCENA DZIESIĄTA.

Baltazar (*sam*).

Wspomnienie obok czynu... starzec obok młodzi...
Jeszcze pycha rodowa po głowie mu chodzi,
Jeszcze mu w głowie zamki, herby i filary;
A o tém nie pamięta zagorzalec stary,
Że się zamek obali, że się herb połamie,
Jeśli ich nie podeprze nowych zasług ramię...
Co do mnie — gdyby dano do wyboru postać —
Chciałbym Pachołowieckim, nie Wątorskim zostać.

15 stycznia 1856. Borejkowszczyzna.

FRANCISZEK Z ASSISU.

KANTATA.

INTRODUKCYA.

Nr. 1.

Chór.

Aniołów i ludzi
I ptasząt śpiewanie
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszechświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawiśnie,
I w górę poleci,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nócie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna Królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków,
Dał świętą potrzebę śpiewania;
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.

Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hozanna Królowi, hozanna!

Nr. 2.

Recitativo.

Niegdyś we Włoszech był piękny młodzieniec,
Zwany Franciszkiem, z Bernardonów rodu.
Podwójny pieśni i muzyki wieniec
Skroń jego chwałą opasał za młodu.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętnym taktem jego pulsa biły;
Lecz Niebu więcéj poświęcił kochania,
Z całego serca, ze wszystkiéj swéj siły.
Jak pierwszych wieków pustelnik sędziwy,
Pracą, modlitwą i postem się krzepi;
Lubił pustynię i natury dziwy,
Tam mu się modlić bywało najlepiéj.
Tam, gdy go ogień rozpromienia boży,
Ukląkłszy w cieniu gałęzistym drzewa,
Tak się zaduma, że piosnkę ułoży,
I pocznie śpiewać, nie wiedząc, że śpiewa.
Nieraz gdy gorzał w téj świętéj zabawie,
W duszy nadziemska zjawiała się siła,
A przed oczyma miewał sny na jawie,
Kraina cudów przed nim się odkryła.

Jednego razu, w noc ciemną majową,
Na rozmyślaniach klęczał wedle drzewa;
Wtém na gałązce, po nad samą głową,
Słowik czarodziéj piosenkę zaśpiewa.
Taka go rwała do śpiewu ochota,
Że tworzył cuda gardziołkiem śpiewaczém:
Tryska trelami, pieści się, szczebiota,
I jakby rzewnym rozlega się płaczem.
Franciszek słuchał — i łzy lejąc z powiek,
Głośno zawołał: „O Boże mój, Boże!
„Ja, krwią najświętszą odkupiony człowiek,
„Czemuż tak cudnych hymnów Ci nie złożę?
„Bracie słowiku, nie uciekaj z drzewa!
„Serce mi rwie się do pieśni ptaszęcéj;
„Śpiewać będziemy: kto kogo prześpiewa,
„Ten swego Stwórcę miłuje goręcéj!“
I tak wydali walkę w cześć Jehowy:
Święty wyznawca i śpiewak gajowy.

Nr. 3.

Słowik.

Nie wam, nie wam,
Dolecieć tam,
Gdzie nasza pieśń dostrzeli:
Nad piętra chmur,
Gdzie pieją chór
Ptaszkowie i anieli!

Franciszek.

On sam nauczył pieśni
I ptaszka, i cheruba!
Nie wam, śpiewacy leśni,
Nie wam, niebiescy, chluba!

Panu samemu cześć,
Panu samemu sława!
On pieśniom daje treść,
On dźwiękiem je napawa!

Słowik.

Znam pieśń człowieczą, znam:
To twardych słów igraszka!
Ludzie, nie wam, nie wam
Pieśnią prześcignąć ptaszka!

Franciszek.

Bracie, śpiewaku drzew!
Człek się nie upokorzy:
Silniejszy jego śpiew
Nótą miłości bożéj!

Słowik.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!
On Pana ogląda w widniejszym zakresie,
On cuda natury ogląda z wysoka,
Modlitwę na skrzydłach do niebios doniesie,
Bez egoizmu plam,
A wyśpiewaną prościéj!...
Ludzie, nie wam, nie wam
Prześcignąć nas w miłości!

Franciszek.

Bracie, śpiewaku kniej!
By godnie kochać Pana,
Wy macie środków mniéj,
Bo ptaszkom łza nie dana!
My czujem tylko sami
Urok miłości bożéj:

Gdy człowiek, zlany łzami,
W ziemskim się prochu korzy,
Myślą przebiega góry,
Nurtuje otchłań wody,
Przebija czarne chmury,
Leci na księżyc młody,
Do gwiazd, do mlecznych dróg,
I widzi ze wszech stron,
Że wszędzie Bóg!
Że wszędzie On!
On w chwale majestatu
Założył wszędzie tron;
W słońcach i pyłkach kwiatu,
Wszędzie On!
Zawsze On!

A chcecie ujrzeć Mocarza,
Co słowem światy utwarza?
Patrzcie na téj góry szczyty!
Stroma, straszna ze wszech stron!
Tam człowiek na krzyż przybity:
To On!

Z pod cierniowéj korony krew z czoła mu tryska;
Ciżba widzi w nim lichy cel urągowiska.
Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;
A z rozdartéj swéj piersi zdroje krwi wylewa,
Zdroje łaski dla ludzi — i w skonania chwili
Modli się za oprawców, co go umęczyli!
Kiedy patrzą nań ciekawi,
Gdy się znęca zgraja sług,
Okiem światu błogosławi:
To On... to Bóg!

To miłość boża, to Duch wcielony!...
O gdzież te słowa? o gdzież te tony?
Gdzie jest piosenka, co w rym posplata
Tę wielką miłość Boga do świata?...
Kocham Cię, Boże, całą istotą!
Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
Tysiące hymnów szumi w méj głowie;
Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowię!
Najwyższa pieśnia, gdy w proch się korzę,
Jęcząc ze łzami: „Kocham Cię, Boże!“

Nr. 4.

Recitativo.

Ukląkł Franciszek w niebieskim zachwycie,
Oczy wytężył ku niebios oddali.
Zda się, że z piersi uleciało życie;
Ono się tylko w głębi serca pali.
Twarz mu się mieni gorącem, to zimnem,
Snadź kipi w myślach to radość, to trwoga,
Pierś uroczystym kołysze się hymnem,
Którego żaden nie słyszy prócz Boga.
A słowik, siedząc na gałęzi drzewa,
Wysiłek człeka uważa z oddali,
Jedną piosenkę szczebiotliwie śpiewa,
Jedną modlitwą Pana Boga chwali.

Słowik.

Ja znam, ja znam
Moich piosenek skalę:
Nie nam, nie nam
Śpiewać o bożéj chwale!

Czuł ziemski pył,
Że mu na ziemi ciasno:
W górę się wzbił,
Upadł pod pieśnią własną.
Ptaszkowie my
Mędrsi od ziemskich dzieci!
Jak dusza śni,
Tak się piosenka kleci.
Bez żadnych zmian
Ciągniemy hymn zaczęty:
Tyś Bóg, Tyś Pan,
Ty święty, święty, święty!

Recitativo.

I na promieniach porannego słońca
Płyną słowika czarodziejskie tony.
Cała natura powtarza bez końca:
„O święty, święty! o nieogarniony!“
I cichy wietrzyk, i jeziora fala,
I stare dęby, i chmurki w lazurze,
Stworzenie chórem Jehowę wychwala,
Słowik réj wiedzie w przyrodzenia chórze.
Wtém z po za gaju, z nad wodnéj wilgoci,
Echem przepływa pieśń ziemskiego świata.
Z blizkiego zamku, gdzie się wieża złoci,
Odgłos piosenek biesiadnych dolata.
Zbliża się, zbliża—to z hucznéj biesiady
Wraca rycerstwo i orężem dzwoni;
Za nimi śpieszą minstrelów gromady
Z piosenką w ustach, z harfami we dłoni.
Z wesołym śmiechem postępuje rzesza,
Słychać jéj łoskot od wąwozów góry;

Echo jéj pieśni swawolnie się miesza
Z uroczystemi hymnami natury.

Nr. 5.

PIEŚŃ.

Jeden z rycerzy.

Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!
Gdy walczy w turnieju, gdy goni na ostrze,
Gdy piersi uzbroi, gdy ciosy wymierza,
Gdy sztandar swéj ziemi nad wojskiem rozpostrze,
A wrogów toporem nasiekłszy do syta,
Do zamku swych przodków zajeżdża gromadą;
Tam każdy rycerza wesoło powita,
Dziewica uśmiechem, trubadur balladą,
I rusza do kniei polować na zwierza!
Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!

Chór.

Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!

Jeden z rycerzy.

Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!
Niedźwiedzia lub dzika gdy wbije na ostrze,
I z łowów na powrot gdy w trąbkę uderza,
Gdy sztandar gościnny nad zamkiem rozpostrze;
A potém z drużyną, przy pełnym puharze,
Bratersko ucztuje dni całe,
Przywoła minstrelów, opiewać im każe
Kochanie, zwycięztwo i chwałę,
I nowe wyprawy na wrogów zamierza!
Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!

Chór.

Héj! nie masz na świecie, jak życie rycerza!

Jeden z minstrelów.

Héj! nie masz na świecie nad życie minstrela!
On śpiewa na dworach mocarzy,
On sercom zbolałym radości udziela,
On mężnych do boju rozżarzy.
Powiernik miłości i bicia serc świadom,
Sercami, jak zechce, tak włada;
Gdzie przybył — sąsiedzi donoszą sąsiadom,
I zaraz zakipi biesiada:
Bo przybył z pieśniami posłannik wesela!
Héj! nie masz na świecie nad życie minstrela!

Chór rycerzy.

Niech żyje pogromca i wrogów, i zwierza!

Chór minstrelów.

Niech żyje z pieśniami posłannik wesela!

Rycerze.

Héj! nie masz na świecie nad życie rycerza!

Minstrele.

Héj! nie masz nad życie minstrela!

Nr. 6.

Recitativo.

Z brzękiem zbroicy, tętnieniem podkowy,
Z chórami pieśni, wedle uczty prawa,
Przeciągał orszak biesiady światowéj,
Kędy Franciszek Bogiem się napawa.

Ocknął się, głośną obudzony wrzawą,
Uchylił głowę i uważnie słucha.
Takty piosenki bijące tak żwawo,
Nie były obce dla młodego ucha.
Cenił rycerzy, jak wszyscy współcześni,
Jako obrońców kraju i kościoła;
Kochał minstrelów, bo znając cel pieśni,
Wiedział, co nóta smutna i wesoła.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętnym taktem jego piersi biły.
Bóg, co kraj ducha przed piewcą odsłania,
Rymotwórczemi obdarzył go siły.
Poczuł natchnienie ku świeckiéj piosence,
Opiewać boje, łowy i puhary,
I mimowoli zadrżały mu ręce,
Jakby szukając dźwięcznych strun cytary.
Ale cytary pod ręką nie było,
Zatęsknion po niéj, jak po cacku dziecię;
A tu natchnienie z nieprzepartą siłą
Wiodło myśl jego po tym pięknym świecie,
W krainę bojów, zwycięztwa, kochania,
Gdzie leży niwa dla pieśni bogata...
Dawno Franciszek sam sobie zabrania
Tych marnych uczuć znikomego świata;
A jednak serce rwało się ku ziemi,
Chciał swoje ziemskie wypowiedzieć żale:
Wybrał najświętszą pomiędzy ziemskiemi,
Pieśń o swym kraju i o jego chwale.
Więc chociaż z sobą nie miał swéj cytary,
Głos wydać z piersi odważył się śmieléj.
Dobrawszy słowa do muzycznéj miary,
Taką pieśń posłał za echem minstreli:

Nr. 7.

PIEŚŃ FRANCISZKA.

Nie ma na świecie, nie ma,
Jak ta ziemia bogata!
Między morzami trzema
Króluje berłem świata.
Nie masz bogatszéj strony,
Jako kraj mój rodzony.

Świat zdumiewa mocarka,
Wszystko zbiega się do niéj.
Rzym, Neapol, gród Marka,
To trzy kwiaty jéj skroni.
Nie masz sławniejszéj strony,
Jako kraj mój rodzony!

Tu, choć ziemia bez pracy,
Urodzajna i święta;
Tu najlepsi śpiewacy,
Najpiękniejsze dziewczęta.
Nie masz weselszéj strony,
Jako kraj mój rodzony!

Łaski świeże a świeże
Płyną na nią jak rosa:
Tu najprawsi rycerze,
Tu najczystsze niebiosa.
Nie masz szczęśliwszéj strony,
Jako kraj mój rodzony!

O! jak chlubnie, jak miło
Wyznać przed światem bożym,

Że się tutaj zrodziło,
Że tu głowę położym!
Bo nie masz milszéj strony
Jako kraj mój rodzony!

Nr. 8.

Recitativo.

Kiedy tak mówił, uderzył blask słońca,
Jęknął dzwon ranny w poblizkim kościele,
Poważne echo o pagórki trąca,
Nad dolinami jako mgła się ściele.
Umilkło ptactwo, ścichnął wiatr w dąbrowie,
Ogarnął echo dzwon rozkołysany,
Jęcząc i mrucząc w uroczystém słowie:
„Módlcie się Panu nad pany!“
Ten jęk Franciszka duszę opamięta;
On przetarł oczy, badając, czy nie śni:
„Witaj mi, dzwonów harmonio święta,
„Co od światowéj odrywasz mię pieśni!
„Piękny jest wprawdzie mój kraj rodowity,
„Nie dziw, że z piersi piosenkę wymami;
„Ale piękniejsze są niebios błękity,
„Świętsza ojczyzna po nad błękitami.
„Tam, tam daleko — tam dla pieśni droga!
„Leć, duszo moja, do Boga, do Boga!“

Nr. 9.

MODLITWA FRANCISZKA.

Panie, Panie, Boże mój!
Przebaczenie święte daj,
Żem na ziemski nócił strój,
Żem za nadto kochał kraj!

Żem na chwałę lubych stron
Śmiał oderwać pieśni ton!

Źródłem pieśni Tyś jest sam,
Tobie służy hymnów treść;
Jam się ważył, choć to znam,
W inną stronę myśli wznieść!
Oto błaga ziemski syn
Przebaczenia swoich win!

Przebaczenie, Boże, daj
Za myśl ziemską w serca dnie,
Że gdy wspomnę ojców kraj,
Coś do pieśni duszę rwie!
A gdym Boga pieśnią czcił,
To zabrakło marnych sił!

Ziemska pieśni! dość już, dość
Być narzędziem ziemskich chwał!
Tybyś mogła w serce wrość,—
Bóg nie na to serce dał!
Och! już nigdy w cieniu drzew
Mnie nie skusi ziemski śpiew!

Nr. 10.

Recitativo.

Bóg przyjął świętą ofiarę człowieka,
Ofiarę barda, co swe struny zrywa.
I oto słychać z wysoka, z daleka,
Muzyka jakaś dźwięczna, pieszczotliwa
Płynie z błękitu nad góry, nad gaje,
Drga w rdzeni drzewa, po gałązkach lata,—

Głos się dla ucha znajomym być zdaje,
Przecięż to dźwięki nie ziemskiego świata:
Są tu i hymny, i ptasząt piosenka,
A wszystko zlane w tak cudnym doborze,
Że się, słuchając, mimowolnie klęka
I ucha od niéj oderwać nie może.
Och! lecz nie każde śmiertelnika ucho
Godne usłyszeć te święte rozgwary!
Trzeba być godnym miłością i skruchą,
Unieść się duchem przez potęgę wiary.
Bliżéj... wyraźniéj... nad gęstwiną drzewa
Tryskają tony dźwięczne i bogate:
To chór aniołów nad Franciszkiem śpiewa,
By ziemskiéj pieśni nagrodzić mu stratę.

Nr. 11.

Chór aniołów.

Wesel się, synu człowieczy!
Pan kontent z ofiary twojéj:
W zamianę znikomych rzeczy,
Muzyką niebios cię poi.
Ona twe serce rozżarzy,
Od ziemskiéj pieśni uleczy!
W chórze niebieskich pieśniarzy
Wesel się, synu człowieczy!

Chór słowików.

Ej, drobniż my ptaszkowie,
  Pieśnią wzruszamy las!
Modlimy się Jehowie,
  Jako nauczył nas!
Ej, weźcie nas, anieli,

Weźcie w niebieski chór!
Niech wasza pieśń wystrzeli
Aż pod obłoki chmur,
I tam, i tam,
U niebios bram,
Odbije wtór!

Franciszek.

W obec ptaszka i anioła,
Pieśń człowiecza taka błaha!
Wtenczas tylko wzrosnąć zdoła,
Kiedy zaprzeć się nie waha,
Kiedy ziemskie minie cele,
Gdy miłością bożą płonie,
Gdy się śpiewak krzyżem ściele,
Gdy wyciąga w niebo dłonie!
Ja mizerny w méj pokorze,
Jednym hymnem wciąż zadzwonię:
Chwała Tobie, wielki Boże!
Chwała Tobie na Syonie!

Nr. 12.

Chór ogólny.

Aniołów, i ludzi,
I ptasząt śpiewanie,
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszechświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawiśnie,
I w górę poleci,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.

Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nócie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna Królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków
Dał świętą potrzebę śpiewania.
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hozanna Królowi, hozanna!

1857. Wilno.

KASPER KARLIŃSKI.

DRAMAT HISTORYCZNY

W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

KASPER KARLIŃSKI, dowódca zamku.
DOROTA, jego żona.
ZYGMUNT, ich syn.
PIENIĄŻEK, namiestnik Karlińskiego w Olsztynie.
LICHTENSTERN, dowódca niemieckich wojsk Maksymiliana.
STANISŁAW ZE ŻMIGRODU STADNICKI, starosta zygwalski.
ADAM CZACHOROWSKI, namiestnik Stadnickiego.
ZBOROWSKI } Stronnicy Maksymiliana.
GÓRKA }
BIENIASZ, giermek Karlińskiego.
Marta.
SZLACHTA, stronnicy Maksymiliana.
Dwaj Chorążowie w zamku olsztyńskim.
Dwaj Puszkarze tamże.

Rzecz dzieje się w roku 1587, w pierwszym akcie w wiejskim dworze Karlińskich, w drugim w obozie Maksymiliana pod Olsztynem, w trzecim w murach Olsztyna.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

(*Rzecz dzieje się w wiejskim dworze Karlińskich. — Wieczór. — Izba ubrana w rynsztunek rycerski. — Pani Karlińska kończy czytanie Żywotów Świętych. — Zygmunt, wsparty na stole, jéj słucha. — Opodal Marta z robotą*).

Karlińska (*czyta*).

„Czwarty i piąty syn poszedł na męki;
„Szóstemu matka szeptała te słowa:
„—Synu, patrz w niebo, patrz na świt jutrzenki,—
„Wszystko to stworzył z nicości Jehowa.
„On cię umocni, — nie lękaj się kata,
„Przyjmij, jak bracia, śmierć z wesołą twarzą!
„Pójdziesz po mękach do lepszego świata,
„Kędy praw Pańskich łamać ci nie każą. —
„Syn jéj wysłuchał i do zbirów rzecze:
„— Mnie Antyocha nie złamie obawa;
„Wiedźcie mię raczéj pod topór i miecze,
„Niżbym miał złamać Mojżeszowe prawa.“

(*Przestaje czytać*).

Zygmunt.

Lubię, gdy matka Pismo Święte czyta,
Lub męczenników za wiarę żywoty,
Gdzie święty człowiek o nic się nie pyta,
Oddając życie dla Boga i cnoty.
Jego na przykład na tortury wleką,
Szarpią mu ciało, pochwyciwszy w kleszcze;
Lecz on, Chrystusa widząc niedaleko,
W pośród męczarni uśmiecha się jeszcze.

Gdy tego słucham, coś na sercu miléj!
Ot, myślę sobie — czy uwierzysz, mamo?
Dziś gdyby ludzi za prawdę męczyli,
Jabym się zgodził umęczyć tak samo!

Karlińska.

Każdy powinien ofiarować życie,
Gdy Bóg na niego krzyż męczeństwa zsyła.

Zygmunt.

Gdyby mnie, matko, wlekli na zabicie,
Tybyś zapewne pobłogosławiła.

Karlińska.

Zkąd ci to przyszło?... och! ja nie wiem sama!
Lecz dzisiaj jestem spokojna w tym względzie:
Pan Bóg ofiarą krwawą Abrahama
Słabéj niewiasty doświadczać nie będzie.
Rycerskich matek wiekuista chwała
Dobrze mi znana z powieści i z dziejów;
Ale, Zygmuncie, jabym nie umiała
Być matką Grakchów, albo Machabejów.
Biedna pierś moja z boleściby pękła
Pod doświadczenia okrutnego próbą...
Jednéj ofiary, cobym się nie zlękła:
Opłakać ciebie — i umierać z tobą.

Zygmunt.

Ty płaczesz, matko!... nie lękaj się zgoła:
Dziś męczenników nie mamy na świecie.
A gdy mię Pan Bóg na wojnę powoła,
To przy mym boku będzie szabla przecię.
A raz poszedłszy pod zaciąg orężny,
Z życiem czy śmiercią—to nic się nie traci.
Zostanę mężnym, jak mój ojciec mężny,

Albo polegnę, jak siedmiu mych braci.
Patrz, jak to będzie!
(Zdejmuje ze ściany hełm i pałasz ojcowski).
Kiedy ja podrosnę,
A ojciec siwy, zgarbiony i stary, —
Przyjdzie wiadomość, jak zwykle na wiosnę,
Że naszły Polskę Turki lub Tatary.
Wtedy ja sobie ot tę czapkę włożę,
(Wkłada hełm).
Ze strusią kitą, z blaszaną przyłbicą,
Przywdzieję pancerz—czyż w takim ubiorze
Twoje się, matko, oczy nie zachwycą?
Przyjdę do ciebie, przeżegnasz mi czoło,
Dasz mi święcony obrazek na blasze;
Przyjdę do ojca, a ojciec wesoło
Ot tę mi szablę do boku przypasze.
(Przypasuje szablę).
Zbrojny rodziców modłą i opieką,
Wsiądę na konia, co Bieniasz poda,
I w bój polecę daleko, daleko!
Krew płynąć będzie, jak w rzeczułce woda!
Machnę szablicą — spada łeb tatarski;
Krzyknę—a Turczyn wnet ucieknie z bojów;
A hetman powie: Dziarskiś, chłopcze, dziarski!
Krew nieodrodna Karlińskich Ostojów!
Patrz, jaka postać dzielna i junacka!
Brzęk, brzęk szablicą! ja poglądam dumnie...
Tymczasem Tatar podjeżdża z nienacka
I w samo serce łuk naciąga ku mnie.
Strzała stęknęła — leci ku mnie, leci,
Przeszywa pancerz, i piersi, i serce;
Ja się posłaniam raz, drugi i trzeci,
(Kładzie się na krześle).

Padam — i życie skończyłem w żołnierce.
A dusza moja, gdzie śpieszniéj niż ptaszę!
Leci do nieba, do nóg Jezusowi!
I tam się modli o zwycięztwo nasze,
A Jezus naszą wygraną stanowi...
Ty, matko, płaczesz—czyż cię serce boli?
Czyż ci niemiło, żem umarł tak pięknie?

(*Podbiega ku niéj i bierze za rękę*).

Przebacz mi, matko, ten wyskok swawoli!

Karlińska.

Przestań, Zygmuncie, bo mi serce pęknie!

Marta.

Niedobre dziecię! Bóg gniewa się w niebie,
Jeśli kto matkę aż do łez rozżali.
Rzuć te zabawki, jeszcze nie dla ciebie
Ten twardy szyszak i ten miecz ze stali.

(*Odpina mu pałasz i zrzuca hełm*).

Idź, zmów pacierze! przeproś Pana Boga,
Żeś dzisiaj matkę niewinnie zasmucił;
Zmów drugi pacierz, by minęła trwoga,
By ojciec z wojny szczęśliwie powrócił.
Może, gdy pięknie pomodlisz się o to,
Zdołasz uprosić zlitowanie boże.

Zygmunt.

Dobra noc, matko!

Karlińska (*całując go*).

Dobra noc, pieszczoto!

Marta.

Ja zaraz przyjdę, do snu cię ułożę.

(*Zygmunt zawstydzony odchodzi*).

SCENA DRUGA.

KARLIŃSKA, MARTA.

Karlińska.

Co to jest, Marto, że zawsze w nim świeci
Jakieś przeczucie krwawe i grobowe?

Marta.

Nic, dobra pani: nasze polskie dzieci
Zawsze podobnie rozmarzają głowę.
Patrzy na oręż, wciąż o wojnach słucha,
Hasa na koniu przez pola i jary,
Czytaniem kronik rozegrzewa ducha,
Z Żywotów Świętych uczy się ofiary.
Nic to nie szkodzi, niech przywyka wcześnie;
A czy on Niemiec, by się bawił w lalki?

Karlińska.

Zawsze mi straszno, zawsze mi boleśnie,
Gdy on wyprawia po komnacie walki.
W jego zabawkach — uważałaś, Marto —
Zawsze na końcu dostrzegam śmierć ciemną...
Och! gdyby jeszcze jego mi wydarto!
Boże mój, Boże! zlituj się nade mną!
Wszak teraz wojna — to niepróżna trwoga,
Obszerne pole dla niedobrych ludzi.
Ja mam w rycerstwie śmiertelnego wroga, —
Bóg wie, do czego zemsta go pobudzi!

Marta.

Ty, pani, wroga miałabyś na ziemi!
Anioł dobroci!... nie wierzę ni trocha.

Karlińska.

Nie wszystkie wrogi wrogami naszemi,
Czasem wróg sroższy—ten, który nas kocha!
Wiesz o szalonéj Stadnickich rodzinie,
Która po kraju najbezkarniéj broi.
Jeden, Stanisław, co najgłośniéj słynie,
Przed laty ręki dopraszał się mojéj.
Jam pogardziła—brakło na odwadze
Z dzikim szaleńcem stanąć na kobiercu;
Anim sądziła, że tyle sprowadzę
Klęski na siebie i na drogich sercu.
Kochałam, Marto, dzielnego młodziana,
Co się przed żadną potęgą nie cofa;
Ale Stadnickich zemsta spodziewana
Dosięgła celu—zabili Krzysztofa.
Dom mego ojca, kędy się broniono,
Poszedł w perzynę; jam ledwie uciekła.
Chciałam pod grubą klasztorną zasłoną
Skryć się od oczu posłanników piekła;
Lecz gdzie są mury, gdzie warowne kraty,
Coby przed możnym słabych osłoniły?
Tam prześladowca silny i bogaty
Znalazł nieszczęsną—groził swemi siły.
Nie chciałam przeto narażać na strzały
Dziewic Chrystusa, żyjących spokojnie.
Kasper Karliński, rycerz osiwiały,
Co pięciu synów utracił na wojnie,
Przyszedł do fórty i rzekł ze szczerotą:
—„Dajcie mi rękę, uspokójcie trwogę.
„Wiem, co ci grozi; lecz, krasna Doroto,
„Ja od Stadnickich obronić was mogę.
„Mam własne ramię, dwóch synów rycerzy,

„Mam miłość szlachty, opiekę na tronie,—
„I biada temu, który się zamierzy
„Na bezpieczeństwo głowy, któréj bronię.
„Straciłem żonę—wy bądźcie mi żoną;
„Mówcie, Doroto: zgoda, czy nie zgoda?"
Ścisnęłam rękę od szabli zmarszczoną;
Błysła mu ogniem szlachetna jagoda...

Marta.

Patrzę, jak w obraz naszego paniska,
Gdy mu rumieńcem skraśnieją jagody.
Na taki zapał, co mu z oczu błyska,
Nie każdy rycerz zdobędzie się młody.

Karlińska.

Nie pamiętając na włos jego siwy,
Dałam się chętnie zaprzęgnąć do jarzem...
Byłam szczęśliwa, i on był szczęśliwy,
Gdyśmy przysięgli wiarę przed ołtarzem.
Mego spokoju odtąd nic nie wzruszy;
Kocham go, Marto, a on mię osłania.
Cnota, zasługa i szlachetność duszy
Więcéj niż młodość budzi przywiązania!
Gdy codzień widzę jego piękną duszę,
Gdy codzień słyszę jego piękne czyny,
Jak nie mam kochać, kiedy czcić go muszę?
On mój na ziemi obrońca jedyny.
A to pieszczone bohaterskie dziecię,
Które Bóg przysłał na pociechę naszą,
Kocham nad wszystko, nad wszystko na świecie...
Tylko mię jakieś sny bolesne straszą.
Te jego ciągłe przeczucia męczeństwa,
Jego zabawki, co ciągle śmierć wróżą...

Och! wiele, wiele potrzeba mi mężtwa!
Boże, daj siłę, bo cierpieć mam dużo!

SCENA TRZECIA.

TEŻ i ZYGMUNT (*wpada z listem w ręku*).

Zygmunt.

Listy od ojca! nasz Bieniasz stary
Przybył z Olsztyna...

Karlińska.

O! dzięki ci, Boże!

(*Łamie pieczątkę i czyta*):

„Miła Doroto! nastał czas ofiary...“

Zygmunt.

Bieniasz pyta, czy widzieć się może?

Karlińska.

Proś, niech tu wejdzie.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i BIENIASZ (*w zbroi, hełmie i burce*).

Karlińska.

A jakże się macie?

Bieniasz (*z ukłonem*).

Notandum tedy, jakoś Pan Bóg chowa,
A resztę w pańskich liściech wyczytacie.
Pani czy zdrowa? i Marta czy zdrowa?
Panicz, jak ptaszek, trzpiota się i wierci,—

(*Wita się ze wszystkimi*).

Notandum tedy, że swawolnik wielki.
A my zaledwie umknęliśmy śmierci,
Dzięki opiece Boga Rodzicielki!
Sejm elekcyjny wielce był gorący:
Ci chcieli Szweda, a ci Austryaka;
Notandum tedy, chcący, czy niechcący,
Tłókła się w szable partya wszelaka.
Zamojski, hetman i kanclerz korony,
Składał swe wota na szwedzkiego pana;
Zborowscy zasię i szlachta z ich strony
Trzymali sprawę Maksymiliana.
Więc ku zgadnieniu nietrudna przyczyna:
Snuł się tłum szlachty po Warszawie całéj,
Miody i piwa, i węgierskie wina,
Notandum tedy, srodze podrożały!

Karlińska.

Czytajmy listy.

(Czyta):

„Nastał czas ofiary...
„Już Zygmuntowi korona oddana,
„Ale Zborowskich przeciwne zamiary
„Chcą mieć na tronie Maksymiliana.
„Długoby przyszło opowiadać pono
„Te zobopólne waśni i swawole.
„Szopę wyborczą po nocy spalono,
„A krwią spłynęło elekcyjne pole.
„Pomimo Niemców fakcyi zdradzieckiéj,
„Gdy prymas królem Zygmunta ogłasza,
„Biskup kijowski, Jakób Woroniecki,
„Okrzyknął Niemca. A choć szlachta nasza
„I kraj miłuje, i prawa stanowi,

„I swoich swobód nie opuszcza marnie,
„Chcąc się zasłużyć Zborowskich domowi,
„Pod sztandar Niemca ochoczo się garnie.
„Mamy dwóch królów — na czém to się skończy?...
„Niechaj kto zechce przekonania zmienia,
„Kasper Karliński nigdy się nie złączy
„Ze stroną Niemców na przekór sumienia.
„Pomimo całéj Zborowskich czeredy,
„Zygmunt mym królem... wybrałem... przysiągłem.
„Będę go bronił."

Bieniasz.

Więc *notandum tedy*,
Że przyjdzie truchleć w niepokoju ciągłym.
Gdzie pan, tam sługa — już obyczaj taki,
Choć żaden za to i grosza mi nie da,
Czy to napadną niemieckie żołdaki,
Czy przyjdzie nędzę ucierpieć od Szweda.
Uciecze mądry, nadstawi się głupi:
A czy wygrana nasza, czy nie nasza,
Cała się mocarstw polityka skupi
Na starym, biednym karku Bieniasza.
Notandum jednak, choć nałożyć głową,
Karlińskich domu nigdy nie opuszczę.

Karlińska *(czyta).*

„Zborowscy szlachtę pod swój sztandar zową,
„Zbierają k'sobie niepoczciwą tłuszczę;
„Ale pod wodzą Zamojskiego Jana,
„Chorągwie wiernych krajowi Polaków
„Idą naprzeciw wojsk Maksymiliana,
„Który chce szturmem uderzyć na Kraków.
„Więc wszystkich fortec na granicznéj stronie

„Pod wodzą starców pilnuje kwiat młodzi:
„Murów Olsztyna ja od Niemców bronię,
„Mężny Hołubek w Rabsztynie dowodzi.
„A chociaż Niemcy nacierają biegle,
„Obronim twierdze za pomocą bożą,
„Dopóki cegła zostanie na cegle,
„Dopóki trupów na trupach nie złożą.“

Bieniasz (*do siebie*).

Ja chciałbym wrócić na wioskową ciszę;
Lecz, jak uważam, żadnéj rady niéma.
Notandum tedy, kiedy pan tak pisze,
To pewnie słowa swojego dotrzyma.

Karlińska (*czyta*).

„Jeden niepokój, co mém sercem miota,
„Jedna mię dręczy troska pokryjoma:
„Czy moja dobra i krasna Dorota,
„Czy moje dziecię bezpieczne jest doma?
„Bracia Stadniccy z Zygmuntem trzymają
„I szlachtę dla nas gromadzą na Rusi;
„Tylko Stanisław z zaprzedaną zgrają
„Gdzieś w waszych stronach obracać się musi.
„Jam tutaj sprawą ojczystą zajęty,
„Nie mogę ruszyć ku domowéj stronie;
„Lecz moje syny, Marcin i Walenty,
„Wkrótce pośpieszą ku waszéj obronie.
„Dziś Bieniasza do was posyłamy:
„Niech lud wioskowy zgromadzi we dworze,
„Rozda mu strzelby, pozamyka bramy,
„Okopie rowy...“

SCENA PIĄTA.

CIŻ I STADNICKI (*który stał we drzwiach przez chwilę i słuchał*).

Stadnicki.

Za późno już może!
Dwór otoczony, a wioska w pożarze.

(*Do Bieniasza*):

Nie trudź się starcze, ktoś za ciebie czyni.
W Karlińskich dworze tu my gospodarze.

(*Do Karlińskiéj*):

Jak się miewacie, miła gospodyni?

Karlińska.

To on! o Boże!

Bieniasz (*dobywając oręża*).

Ja ciosu nie chybię!
Czy chcesz mieć czoło na dwoje rozdarte?
Wynoś się zaraz!

Stadnicki (*wytrącając mu oręż*).

Precz mi, stary grzybie!
Hola, pachołcy! weźcie go pod wartę!

(*Wchodzą zbrojni ludzie i uprowadzają Bieniasza*).

Karlińska (*przerażona*).

On przyszedł tutaj... ze złemi zamiary!
Ratunku! ludzie!... mój mężu! mój mężu!

Stadnicki (*z szyderstwem*).

Ucisz się pani! daleko twój stary!
W zbyt zardzewiałym ufałaś orężu.
Wzgardziłaś sercem — teraz twój kochanek
Z pogardą patrzy na twoje męczarnie.
Stadnicki szatan, nie cichy baranek,
Jego niemożna znieważać bezkarnie.

Tyś w moich rękach — Olsztyn za górami,
Do męża twoja nie doleci skarga.
Kochanko moja! my jesteśmy sami,
Przemoc twe śluby z Karlińskim potarga!

Marta (*padając na kolana*).

Panie! zlituj się!

Stadnicki.

Milcz, stworzenie głupie!
A uznaj we mnie zwycięzcę i władcę.

Zygmunt (*z mieczem ojcowskim podbiegając ku niemu*).

Widzisz ten oręż? chyba po mym trupie
Zdołasz ku mojéj przybliżyć się matce!

Stadnicki (*porywając go za ręce*).

A tuś mi zuchu, nie wiedziałem zgoła,
Że waszmość żyjesz na tym pięknym świecie.
Pani Doroto, powiłaś anioła;
Stary Karliński snadź kocha to dziecię.
Takiego starca pod życia ostatki
Kupido jeszcze rozpłomieniać może!
Bardzo podobny do ojca, do matki;
Wielce winszuję!

Karlińska.

Puszczaj go, potworze!

Stadnicki (*stawia Zygmunta na ziemi i silnie trzyma go za ramiona*).

Pani Doroto! czy on kocha syna?

Karlińska.

Wydrze za niego twoje nędzne życie!

Stadnicki (*chłodno*).

Dobrze! niech odda fortecę Olsztyna,
Wtedy pieszczotkę waszą zobaczycie.

Teraz małego uprowadzam zucha:
Zakład miłości ma być zakład wojny.
Jeśli Karliński mych słów nie usłucha,
Wtenczas, chłopaku, możesz być spokojny.
Twą piękną główkę tą samą szablicą
I własną ręką rozpłatam na dwoje.
Hola, pachołcy!

(*Wchodzi kilku zbrojnych ludzi*).

Niechaj go pochwycą,
Niechaj na siodło przywiążą go moje,
I w téjże chwili niech dziesięć hussarzy
Pędem piorunu pod Olsztyn dopada,
Zdać go do ścisłéj Czachrowskiego straży
I zapowiedzieć, że to ptak nielada.

(*Pisze kartkę i oddaje żołnierzowi*).

Zygmunt.

Puść, bo ta szabla głowę ci rozwali!

Marta (*klękając*).

Panie, miéj litość!

Karlińska.

On litość mieć może!

(*Patrząc na syna*):

Na co mu ręce tak mocno związali?
To takie słabe i wątłe niebożę!
Zamrze wam w drodze!... Tygrysie! tyranie!
Krwi tobie trzeba?... wysączę ją rada!
Pij!... żłopaj!... ciesz się!...

(*Klęka*).

Ulituj się, panie!
Przebacz, co matka bezprzytomna gada!
Oddaj mi syna!... Już jego powlekli!...

Zygmunt *(szamocąc się z żołnierstwem):*

Ja was zabiję! puśćcie mię do matki!

Karlińska.

Czekajcie chwilę!... o siepacze wściekli!...
Ja wydobędę sił moich ostatki!
Śpieszycie konno!... ja pieszo polecę,
Ja was dopędzę, — pozwólcie mi gonić!

(Żołnierze wyprowadzają Zygmunta).

Idź, drogi synu! idź w bożéj opiece!
Ja krew przeleję, ja łzy będę ronić, —
Trafię do króla... dla mnie wszystko jedno,
Czy Maksymilian, czy Zygmunt się zowie...
A król nad matką zlituje się biedną,
Was na tortury osądzi, panowie!
Poczekaj, synu! pokrzep się nadzieją!
Ja w ślad za tobą polecę, jak strzała!...
Ratujcie, ludzie!... nogi mi się chwieją...
Synu mój, synu!...

(Upada zemdlona).

Stadnicki.

Wszak ona zemdlała.
Wpiłem w jéj serce pazury tygrysie.
Ratunku! wody, pachołcy przynoście!...
Panie Karliński! ani waści śni się,
Jacy w twym domu gospodarzą goście.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

(*Namiot żołnierski, w środku długi stół, przy nim kilku szlachty przy puharach, jeden szlachcic przy świetle czyta list. — Milczenie*).

Pierwszy Szlachcic (*do tego, który czyta*).

Co słychać w Litwie? Co słychać w Koronie?
Wy macie listy, to wy wszystko wiecie.
Prędkoż Szwedzika osadzą na tronie,
Maksymiliana wymiotłszy, jak śmiecie?

(*Śmieje się*).

Szlachcic (*kładąc list*).

To list po prostu od żony i dzieci.
Niech sobie w Polsce kto chce berłem włada,
Czy Maksymilian, czy to Zygmunt Trzeci, —
U mnie zarazą obora wypada.
Rzucajcie sobie rodzicielskie wioski,
Wola każdemu z miłościwych braci;
A mnie Zamojski, ani pan Zborowski
Za moje straty grosza nie zapłaci.
Wracam do domu!

Drugi Szlachcic.

Ho! ho! jaki szparki!
Szkoda, że za to więzienie i kula!

Trzeci Szlachcic.

Jemu tak pilno do swéj gospodarki,
Gdy do stolicy wprowadzamy króla.

Pierwszy Szlachcic.

Jakiego króla?

Trzeci Szlachcic.

Wszak byłeś na sejmie,
Na którym obran Maksymilian Pierwszy?

Pierwszy Szlachcic.

Kłaniam się waściom, kłaniam się uprzejmie!
Ja od was wszystkich będę trochę szczerszy.

(Staje wsparty oburącz na szabli).

Czy wam, panowie, doprawdy się zdawa,
Żeście obrali Maksymiliana?
Czy wedle ustaw powszechnego prawa
Stanowi naród garstka zbuntowana?

(Szlachta się oburza).

Nie kręćcie wąsów, a powiedzcie szczerze:
Mybyśmy wszyscy stali przy Zygmuncie,
Lecz jeden jurgielt od Stadnickich bierze,
A drugi mieszka na Zborowskich gruncie;
Tego Czarnkowski przynęcił nadzieją,
Temu kniaź Pruński przyrzekł swą pokrewną.
Myślimy, bracia, o wszystkiém koleją,
Ale o Niemcu, że najmniéj, to pewno!
I nikt zaiste nie wierzy w swéj duszy,
By się utrzymał nasz elekt na tronie.

Drugi Szlachcic.

Co waść rozprawiasz? ściany mają uszy!

Trzeci.

Ja ci rozumu do głowy nagonię!
Co to? ja matacz! lub jaki przechera!

Pierwszy.

Kręcisz się waszmość, kędy wiatr powieje.

T r z e c i (*dobywając pałasza*).

Co! bij się ze mną, jeśli prawda szczera.

P i e r w s z y (*także dobywając pałasza, do obecnych*).

Bądźcie świadkami, mości dobrodzieje!

(*Krzyżują pałasze*).

(*Jeden ze szlachty raniony w rękę*).

C z w a r t y (*wpadając pomiędzy nich*).

Zgoda, panowie! czyście zapomnieli,
Że tu żyjemy pod niemieckiém prawem?
Że kto w obozie rąbać się ośmieli,
Zwierzchność nań patrzy okiem niełaskawém?
Oto przychodzi pan Adam Czachrowski,
Nasz wódz, gdy nie ma pana Stadnickiego...

T r z e c i.

Poeta jakiś!... niech obcina zgłoski.

C z w a r t y.

Obetnie uszy i tobie, kolego!
Z nim nie żartować...

SCENA DRUGA.

CIŻ I CZACHROWSKI (*z siwą brodą i długiemi włosami*).

C z a c h r o w s k i (*groźnie*).

Do pochew oręże!
Waszmościom w głowie bitwy i kielichy,
Gdy ja się w myślach gubię i mitrężę,
Jakby ten zamek opanować lichy.
Mury niekrzepkie, nieliczna załoga,
Czas, by się w nasze władanie dostała...
Ale przez skały niedostępna droga

I u dowódcy serce, gdyby skała.
Pisałem z groźbą, on nie dba o życie...
Posłałem mówić o jakim okupie:
—„Nie dam — rzekł — zamku, chyba położycie
„Cegłę na cegle, a trupa na trupie!“
On z armat ciągle naszych ludzi traci,
Gdy nasze działa sięgnąć tam nie mogą;
Lecz wezmę zamek!... A krew moich braci,
Kasprze Karliński, przypłacisz mi drogo!
A tu czas nagli... a wojna niezmierna...
Dziesięć lat nie stać, jak pod jaką Troją!
Nie wziąwszy fortec, wojska Lichtensterna
W głębinę kraju zapuścić się boją.
Ja dałem panu Stadnickiemu słowo
We trzy dni zburzyć, albo wziąć te mury...
Szturmem pójdziemy.

Jeden ze Szlachty.

Iść na śmierć gotową,
Gdy, jak w cel, palą armatami z góry?!
To rozkaż waszmość, niechaj Niemcy idą.

Czachrowski.

Właśnie trafiłeś — żarłoki i tchórze!
Nam trzeba działać, lub odejść z ohydą...
Służę waszmościom!...

Jeden ze Szlachty.

Ale ja nie służę!
Prowadź nas waszmość gdzieś na równe pole:
Przy brzęku trąby, przy naszym sztandarze,
Z bardyszem w ręku, z szyszakiem na czole,
Zobaczysz waszmość, co szlachta dokaże.
Lecz tu... gdzie murów nie dostać pałaszem,

Gdzie po namiotach zgnuśnieliśmy prawie...
Panie rotmistrzu! z przeproszeniem waszém,
Ja łba na pewny pocisk nie nadstawię.

Drugi.

Łeb nam potrzebny nie na jedną chwilę.

Trzeci.

I mój łeb także ja coś sobie ważę.

Czwarty.

I ja z namiotu głowy nie wychylę.
(*Słychać trąbkę*).

Czachrowski.

Hańba wam! hańba! sarmaccy hussarze!
Ojcowie wasi na oślep walczyli,
Jak o tém dziejów zapisała karta...

Jeden ze Szlachty.

To może było w przyjaźniejszéj chwili?

Drugi (*z cicha z przekąsem*).

Lub może sprawa była więcéj warta.

Żołnierz (*wchodzi*).

Listy od wodza i jakieś pacholę,
Pojmane jeńcem, czeka tam na dworze.

Czachrowski.

Zkąd jemu przyszło brać dzieci w niewolę?

Szlachta (*otaczając Czachrowskiego*).

Z tego pisania dowiemy się może.

Czachrowski (*czyta*).

„Mnie wielce miły Mospanie Czachrowski!
„Uprzejmie Waszmość pozdrawiam z podróży.
„Plondrując naszych nieprzyjaciół wioski,

„Złapałem ptaszka, co-ć dobrze usłuży.
„Dawny rachunek miałem z tą rodziną,
„Dziś dobry połów usłużył méj dłoni;
„Jest to zuch mały, z bohaterską miną,
„Syn Karlińskiego, co Olsztyna broni.
„Napisz do starca, niech pomyśleć raczy,
„By jutro zamek był w dzierżeniu naszém;
„Bo swego synka więcéj nie zobaczy, —
„Ja sam mu głowę rozpłatam pałaszem..,
„To moja wola — to stanowcze słowo,
„Które niech Waszmość Karlińskiemu poda.
„Jestem z attencyą zawżdy jednakową,
„Sługa Waszmościn, Stadnicki z Żmigroda.“

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI I ŻOŁNIERZE.

(*Wnoszą śpiącego Zygmunta*).

Żołnierz.

W drodze na zimnie usnęło niebożę.

Czachrowski.

Nie budzić dziecka, nie stąpać tak z góry,
Wojłok i siano podesłać na łoże,
Odjąć mu z lekka krępujące szuury!
Niech trochę spocznie...

(*Do Szlachty*):

A który tam z waści
Chciałby pojechać do zamku Olsztyna?
Jużci Karliński nie zdziała napaści,
Gdy mu przywieziesz wiadomość od syna.

Jeden ze Szlachty.

Piękna wiadomość! ja takiego posła
Kazałbym zrąbać, lub przybić do pala.

Drugi.

Panie Marcinie! tyś żołdak z rzemiosła,
Nie wiesz, że prawo tego nie pozwala...
Prawo narodów — przeczytaj, sąsiedzie.

Pierwszy ze Szlachty.

Nie czas do książki, kiedy stryczkiem grożą.

Czachrowski.

Mości panowie! kto do zamku jedzie?

Jeden z grona.

Ja moje losy zdam na wolę bożą...
Jadę, rotmistrzu!

Czachrowski.

Papieru i pióra!
Napiszę listy... tu idzie o życie.

Jeden ze Szlachty.

Ciekawy jestem, co nasz poseł wskóra?

Czachrowski.

Papieru! pióra! czy waszmość słyszycie?

Szlachta (*zakłopotana*).

Papieru! pióra! niełatwa zagadka
Znaleźć te rzeczy między hussarzami.

(*Patrzą na siebie*).

Jeden ze Szlachty (*oddzierając kawał listu, który czytał*).

Mam tutaj papier, udzielę wam szmatka.

Drugi (*odrywając orle pióro od hussarskich skrzydeł swojéj zbroi*).

Mam tutaj pióro... zaostrzcie je sami.

(*Czachrowski z pośpiechem temperuje pióro*).

Zygmunt (*przez sen*).

Nie płaczcie, matko! nie płacz i ty, Marto...
Ja będę w niebie — ja będę zbawiony...
Czyż męczennikiem być za to nie warto?
Czyż zazdrościcie palmy i korony?

Czachrowski (*skończywszy temperować pióro*).

Dajcie inkaustu!

Szlachta (*znowu zafrasowana*).

O to trudniéj pono...
My czarnéj cieczy nie nosim w podróży.

Czachrowski.

Wszystko mi jedno: czarno, czy czerwono.

Jeden ze Szlachty (*ten, który był raniony*).

Ja mam krew moją, niech waszmości służy.

(*Podaje mu rękę z poważnym ukłonem*).

Czachrowski.

Lubię cię! znaczno, żeś rycerskie dziecko,
Co do niczego swojéj krwi nie przeczy...
Dziękuję waści.

(*Macza we krwi pióro i pisze*).

Głos z tłumu.

Ale krwią szlachecką
Tylko szlachetne trzeba pisać rzeczy!

(*Czachrowski pisze*).

Jeden ze Szlachty (*patrząc na śpiącego Zygmunta*).

A szkoda dziecka!... jego los na szali.

Drugi (*także patrząc na Zygmunta*).

Karliński twardy!

Trzeci (*ze współczuciem*).

O! zmiękczcie go, Nieba!

Zygmunt (*przez sen*).

Krwią odpowiemy, gdy krwią zapytali!
Matko! krwi własnéj zaprzeć się potrzeba.

Czachrowski (*szukając w tornistrze*).

Mam tu i pieczęć, mam i kawał wosku.
(*Pieczętuje list*).
(*Do Szlachcica, który ma iść z poselstwem:*)
No! ruszaj waszmość, nie zwlekając chwili;
Jeśli Karliński czuje po ojcowsku,
Do mojéj rady pewnie się przychyli.
Niech się na łaskę zwycięzcy poddadzą,
I on, i szlachta, i wszyscy żołdacy;
Dziś jeszcze zamek niech trzyma pod władzą,
A jutro klucze złoży mi na tacy!
Waszmość obejrzysz prochownie, zbrojownie,
I weźmiesz wszystko pod pieczęcie nasze.

Szlachcic.

A gdyby miano postąpić gwałtownie
I mnie posłańca chwycić na pałasze?...

Czachrowski.

Śmieszne pytanie! — to umrzesz, kolego,
A my za głowę pomścimy się waści.
Lecz znam ja serce Kaspra Karlińskiego:
On nie popełni bezecnéj napaści...
To człek rycerski — sami zobaczycie...
Nie bój się waszmość, tam nie czeka zdrada.
Zresztą przypomnij, że za twoje życie
Syn jego własny życiem odpowiada.
Idź, jak powinien poseł uroczysty,
Wracaj z responsem pomyślnie a rychło.
(*Szlachcic odchodzi*).

Jeden ze Szlachty.

A gdyby jednak, mimo wasze listy,
Jutro strzelanie z armat nie ucichło?
Co waszmość poczniesz z tém nieszczęsném dzieckiem?
Toż syn szlachecki, bezbronny i młody.
Czyż ma polegnąć pod ciosem zbójeckim,
Pod ciosem naszym?...

Drugi.

Czy to my Herody?

Czachrowski.

At! pleciesz waszmość! i któż tego nie wie,
Że krew niewinna o pomszczenie woła?
Mało co pisze pan Stadnicki w gniewie!
Ale się zbrodni dopuścić nie zdoła.
A zresztą pytam: czyż Karliński może
Pogardzić naszém przełożeniem szczerém?
Wydać krew własną na śmiertelne noże...
Trzeba być zwierzem...

Szlachcic (*z tłumu*).

Albo bohaterem.

Zygmunt (*przeciera oczy z grymasem zaspanego dziecka*).

Gdzie to ja jestem? gdzie matka? gdzie Marta?
Czy ojciec wrócił? gdzie nasza czeladka?
Dla czego na mnie sukienka podarta?
Jeszcze doprawdy zagniewa się matka!
Matko! w śnie moim, gdybyś ty widziała,
Jakie mi Jezus darował ubranie!
Sukienka śnieżna i przepaska biała,
Gdzie niegdzie złota i purpury tkanie...
Och! gdyby zasnąć i przyśnić ją jeszcze!
Włożę ją, włożę... och! tak, nieinaczéj!...

Szlachcic *(do drugiego)*.

Wiesz, panie bracie? Mnie przechodzą dreszcze.

Drugi.

Zwyczajnie dziecko, coś przez sen majaczy.

Zygmunt *(przychodząc do siebie)*.

Czy to nasz dworzec? gdzie moja komnatka?
Ach! przypominam o téj strasznéj chwili...
Już mię na zawsze pożegnała matka;
Zbójca mię zabrał... i na koń wsadzili —
Związali ręce — puścili się kłusem...
Jam długo krzyczał — usnąłem nareszcie,
I byłem w niebie, gadałem z Jezusem,
Dał mi sukienkę.

(Do Czachrowskiego):

A wy kto jesteście?
Czy słudzy tego strasznego rycerza,
Co na nasz dworek wpadł wczora, jak zbójca?
Macie mię zabić?

Czachrowski.

Tyś zakład przymierza,
Chcemy mieć zgodę z wojskiem twego ojca.

Zygmunt.

Chcecie z nim zgody?

Czachrowski.

O! my niedalecy!

Zygmunt.

A o cóż kłótnia? niech winny przeprasza...

Czachrowski.

Twój ojciec nie chce oddać nam fortecy.

Zygmunt.

Bo ta forteca zapewne nie wasza.
O, ja znam ojca! — daremne gadanie —

On cudzéj rzeczy nigdy nie przywłaszczy!
Ale co swoje, to obronić w stanie,
Nawet wilkowi odebrałby z paszczy!
On wielki rycerz, wy tego nie wiecie,
Odbył sto bitew w chwale i odwadze.
Łatwo wam w nocy uprowadzać dziecię,
Ale się z ojcem porywać nie radzę.
A starsi bracia!... Ho, także są zuchy!
Nie zaczepiajcie Ostojów z Karlina!

Szlachcic *(do drugiego)*.

To dziecię pełne najlepszéj otuchy.

Drugi.

Jak on mojego chłopca przypomina!

Trzeci.

W oczach odwaga, a zuchwałość w mowie...
To polskie dziecko, jak mi Pan Bóg miły!

(Słychać trąby).

Czachrowski.

Grają pobudkę! słyszycie, panowie!
Snadź pierwsze kury już się obudziły.
Wszyscy do swoich chorągwi niech śpieszą,
Ranną modlitwę niech wojsko odśpiewa.
Nabijać działa! a chorągiew pieszą
Od wschodniéj strony ukryć między drzewa.
Ruszajcie waszmość — ja tu się pomodlę,
Odśpiewam hymny za koronną dolę.

Jeden ze Szlachty.

Jednak, rotmistrzu, zbyt byłoby podle,
Abyśmy mieli zabić to pacholę.

(Szlachta się rozchodzi — tylko zostaje kilku ze służby obozowéj).

(Muzyka poczyna przegrywkę).

SCENA CZWARTA.

CZACHROWSKI — *obok* ZYGMUNT—*w głębi namiotu kilku żołdaków.* —(*Wszyscy zdejmują hełmy*).

Czachrowski (*śpiewa*).
(*Wolne recitativo*).

Najwyższy Panie,
Mocny Hetmanie,
Dobądź oręża swego!
Pomóż wygranéj,
Ulecz nam rany,
W sławie imienia Twego!

Chór.

W sławie imienia Twego!

Czachrowski.

Ani gromada,
Ni ludzka rada,
Wygrywa plac w potrzebie;
Szabla tępieje,
Serce truchleje,
Gdy, Boże, nie masz Ciebie.

Chór.

Gdy, Boże, nie masz Ciebie.

(*Słychać zewsząd trąby wojenne*).

Jeden ze straży (*wchodzi*).

Jakaś niewiasta chce tutaj przebojem
Porwać to dziecko.

Czachrowski.

A mniejsza mi o to;
Niechaj się stawi przed obliczem mojém!

Głos Marty (*za sceną*).

Gdzie ty, Zygmuncie? ty moja pieszczoto!

SCENA PIĄTA.

Marta (*wpada w potarganym ubiorze i rzuca się na szyję Zygmunta*).

Zygmuncie!

Zygmunt.

Marto!

Marta.

Znalazłam cię przecię!

Żołnierz (*do Marty*).

Zbliż się do wodza...

Marta.

Precz mi, dzika hydro!

(*Do Zygmunta*):

O mój ty skarbie! o moje ty dziecię!
Mogą mię zabić, lecz ciebie nie wydrą!

Czachrowski.

Kto waszmość jesteś?

Marta.

Wszak jam to niebożę
Piersią karmiła, na rękach dźwigała...

Czachrowski.

Nic mu tu złego trafić się nie może,
Dziecina będzie wesoła i cała:
Wnet go do ojca odeślemy zdrowo,
Jeśli, jak sądzę, fortecę nam wyda.

Zygmunt.

A gdzie jest matka?

Marta.

Bóg czuwał nad głową,
Gdy miała spotkać sromotna ohyda.
Zaledwie wrogi ciebie pochwycili,
Wojsko ojcowskie przybiegło w drużynie,

Wzięto twą matkę, i pewno w téj chwili
Już jest bezpieczna przy ojcu w Olsztynie...
Stadnicki umknął — z nim jego hussarze.
Chciano mnie zabrać k'zamkowéj załodze,
Lecz ja pobiegłam, gdzie mi serce każe,
Odszukać ciebie... och! przecię znachodzę!

(Ściska Zygmunta).
(Słychać znowu trąbę).

Czachrowski *(do wchodzącego żołnierza ze straży).*

Czego tam trąbią?

Żołnierz.

Bo Pan Bóg dał gości:
Przybywa sukkurs tysięcy ze cztery,
Wojsko Królewskiéj Austryackiéj Mości
I wszyscy wodze od główné kwatery.

SCENA SZÓSTA.

LICHTENSTERN, ZBOROWSKI, GÓRKA i KILKU WODZÓW.

(Szlachta kłania się Zborowskiemu i Górce).

Lichtenstern.

Czy to wasz Olsztyn? To i czasu szkoda!
Zburzyć mi zaraz gniazdo rozbójnicze!
Kto tutaj wodzem?

Czachrowski.

Stadnicki z Żmigroda,
A ja w chorągwi jego namiestniczę:
Adam Czachrowski...

Lichtenstern.

Słyszałem o waści —
Dla czego zamku nie wziąłeś przemocą?

Czachrowski.

Bo trudno znaleźć miejsce do napaści,
Skały wysokie—a tam z armat grzmocą.

Lichtenstern.

Podwoić siły!

Czachrowski.

Straciłem ich dużo,
Ale mi żadne nie wiodły się plany;
Stracili serce ci, co ze mną służą,
Szlachta iść nie chce...

Lichtenstern.

To szlachtę w kajdany!

Zborowski.

Niech na to Wasza Ekscellencya zważa,
Że prawo nasze więzić nas zabrania.

Górka.

A taka mowa to szlachtę obraża,
Gdy nam w jéj sercach trzeba przywiązania.

Lichtenstern.

Radźcież, co począć?

(*Panowie polscy otaczają Lichtensterna, toczy się cicha narada.—Czachrowski przechodzi na przód sceny*).

(*Wchodzi szlachcic, który był posłany do Olsztyna*).

Czachrowski.

Z czém powracasz wasze?
Z różdżką oliwy, czy z kością niezgody?

Szlachcic.

Stary Karliński groźb się nie przestrasza,
W swoim zapale trwa jeszcze, jak młody.

—„Zamku nie wydam! —rzekł do mnie z zapałem—
„A z synem czyńcie, jako wam się zdawa...
„Pierwéj niż ojcem Polakiem zostałem—
„Starsze ojczyzny niż ojcowstwa prawa.“

Czachrowski.

Przeklęty upór!

Szlachcic.

A z armat wystrzeli,
Jak tylko słońce poranne zaświeci.

Lichtenstern (*postrzegając Zygmunta i Martę*).

Niewielkie dziwy, żeście zniewieścieli,
Włócząc z obozem niewiasty i dzieci.

Czachrowski.

To nasi jeńcy, wódz przysłał ich wczora...
Syn Karlińskiego, co w zamku starostą,
A to piastunka.

Lichtenstern.

A więc dobra pora,
Wziąć mury zamku bez walki i prosto.
Czy wie Karliński, że syn tu w niewoli?

Czachrowski.

Właśnie do niego pisałem w téj chwili.

Lichtenstern.

Jakaż odpowiedź?

Czachrowski.

Że go serce boli,
Lecz się przed żadną ofiarą nie schyli,
Że prędzéj syna niż zamek utraci,
Że puści na nas wystrzały i groty.

Lichtenstern (*z ironią*).

Dziwnyście naród, panowie Sarmaci,
Lubicie rzymskie naśladować cnoty!
Lecz zmiękniesz... zmiękniesz, mój ty hardy ptaku,
Zniżysz twój polot aż do saméj ziemi!
Panie Zborowski! zagrać do attaku!
I szturm przypuścić siłami wszystkiemi!
Niechaj się mężnie krzątają żołnierze,
Król Maksymilian dobrą da nagrodę.
Gdzie najwarowniéj tam ja sam uderzę...
Ha! to i pisklę przed sobą powiodę.
Niechaj na rękach trzymają go straże,
A tę niewiastę niech obok prowadzą!
Zobaczym wtedy, czy ognia dać każe,
Czy serce ojca ocknie się z swą władzą??

Górka.

Lecz to niegodnie—to za ciężka próba
Dla serca ojca, gdy je nosi w łonie.

Lichtenstern.

Pozwolił czynić, co się nam podoba,
I ja mu czynić, co zechce, nie bronię;
Wolno mu zabić lub ocalić dziecię.
Héj! tuż przede mną ponieść go pod wartą!
Zagrać do szturmu!

Marta.

Panie! czyż zechcecie
Gubić pacholę?...

Zygmunt.

Nie zniżaj się, Marto!
Jak ojciec zechce, jak rozrządzą Nieba,
Tak w imię boże niechaj się i stanie!

Jeśli krwi mojéj na ofiarę trzeba,
Z chlubą wypełnię moje powołanie.

(*Słychać sygnały. Żołnierze biorą Zygmunta pod ręce—drudzy Martę. Za nimi wychodzi Lichtenstern, dobywając pałasza, za nim inni wodzowie*).

Wszyscy żołnierze (*wołają*).

Daléj, do szturmu!!

Czachrowski (*wychodząc na ostatku*).

To rycerz nie dziecko!
Czego mam życzyć, sam nie wiem już zgoła...
Płakać mi chce się!—Precz ze łzą zdradziecką!
Daléj do szturmu, gdzie powinność woła!

(*Zasłona spada*).

AKT TRZECI.

(*Wnętrze bastyonu. — W strzelnicach działa, których tylko zapały dają się widzieć.—Ściana przystrojona w chorągwie*).

SCENA PIERWSZA.

KARLIŃSKA i KARLIŃSKI.

Karlińska (*z rozpaczą*).

Cóż teraz czynić!?

Karliński.

Póki nie wyświta,
Trudno coś począć... Odwaga! odwaga!
Muszę tak czynić, jak Rzeczpospolita
Po swoich wiernych obrońcach wymaga.
Trzeba jéj służyć najwierniéj, najprościéj,
I siłą ducha, i ramienia siłą;

Na świętéj drodze naszych powinności
Niemożna czynić jako sercu miło!
Aby tych zbójców prześcignąć na drodze,
Posłałem odsiecz we dwadzieścia koni:
Lecz z Czechrowskiego pisania dochodzę,
Że pośpieszyli umknąć od pogoni.
Zygmunt w obozie, w nieprzyjaciół mocy,
Ale tymczasem nie zginie w niewoli.
Rankiem wypadnę jak kamieniem z procy,
Odbiorę dziecko, jeśli Bóg dozwoli.
Ale nie oddam i nie przefrymarczę
Murów téj twierdzy za krew mego syna:
Znam mą powinność...

SCENA DRUGA.

CIŻ i BIENIASZ.

Karliński (*do Bieniasza*).

Co mi powiesz, starcze?

Bieniasz.

Notandum tedy, niedobra nowina:
Wracam z pogoni bez żadnego skutku;
Panicz w obozie...

Karliński.

Wiem o tém,—cóż daléj?

Bieniasz.

Więc myślę sobie: trzeba po cichutku
Napaść na obóz...

Karliński.

Czy wy zwaryowali!

W dwadzieścia koni na kilka tysięcy!
Stary szaleńcze, natarłbym ci uszy!

Bieniasz.

O! byli z nami dobrzy sprzymierzeńcy:
Najprzód noc ciemna, potém rozpacz w duszy,
Potém stróż anioł, co stoi na straży
Przy pańskiém dziecku—zaginąć nam nie da.
Notandum tedy, to coś więcéj waży
Niż śpiąca kilku tysięcy czereda.

Karlińska.

Poczciwy! dobry! zacny Bieniaszu!
Jaka myśl święta przyszła ci do serca!
Miałeś nadzieję w Bogu i pałaszu,
Zdobyłbyś obóz, zginąłby wydzierca,
Zygmuntby wrócił!!... Idź, wszak jeszcze ciemno,
Wszak jeszcze pora: oni snom oddani!
Idź, Bieniaszu, zlituj się nademną,
Uderz na obóz...
(*Klęka przed nim*).

Bieniasz.

Niepodobna, pani!

Karliński.

Przed świtem czynić wycieczki niewolno!
Może gdzie matnia zdarzyć się ukryta...
Rankiem uderzym na kupę swawolną.

Karlińska (*zwracając się ku mężowi, zawsze na kolanach*).

Ależ mój mężu! czy widzisz? już świta!
Każ zebrać wojsko—to dzielna drużyna;
Ci dobrzy ludzie jak w ogień polecą;
Wrócą ci syna... czy ty słyszysz? syna!

Bieniasz.

Nieszczęsna pani! pohamuj się nieco...
Notandum tedy, jak się wyżéj rzekło,
Sam chciałem szczęścia sprobować w téj mierze.

Karlińska.

Anioł cię natchnął...

Bieniasz.

Przeszkodziło piekło!
Notandum tedy, szykuję żołnierze,
Powiadam do nich: — „Héj, mości panowie!
„Uderzmy w obóz naszych nieprzyjaciół,
„Ratujmy dziecko!“ — „Zgoda!“ — każdy powie,
Każdy broń podniósł i rumaka zaciął.
Jużeśmy mieli, jak wichry szalone,
Wpaść do obozu nieprzyjacielskiego...
Notandum tedy, patrzę w drugą stronę,
Aż tu niemieckie dwie chorągwie biegą.
Przy szarym świcie poznałem ich znaki,
Lecieli hurmem, dobywszy pałasze,
Pieśń obozową śpiewały żołdaki;
Lecz w pieśniach słowa i tony nie nasze.
Źle! myślę sobie... Stajem u pagórka,
I poglądamy, co tam daléj będzie?
Walą chorągwie—potém konna czwórka
Wiezie karocę w całych sił rozpędzie;
Płoną latarnie; daléj znów bagaże,
I polskie wojsko z chorągwią powiewną,
I herb Jastrzębiec szyty na sztandarze,—
Notandum tedy, to Zborowski pewno.
Wojsko, jak woda, i płynie, i płynie;
Nas nie postrzegli, bo byli dalecy,

A my, ukryci w zarośli gęstwinie,
Postawszy trochę, nazad do fortecy.

Karliński (*zrywa się*).

Co! więc posiłki!... więc w téj saméj chwili
Uderzy na nas ich potęga cała!

(*Do Bieniasza*):

Każ, aby zaraz w bębny uderzyli!
Wojsko do broni! ponabijać działa!

(*Bieniasz wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

KARLIŃSKI i KARLIŃSKA.

Karliński (*przechadzając się w zamyśleniu*).

Żywności jeszcze wystarczy na długo;
Bronić się będziem—nie brak nam odwagi.
Poczciwe skały! za waszą usługą
Mój Olsztyn białéj nie wywiesi flagi.

(*Do Karlińskiéj*):

Nie płacz, niewiasto! teraz na nas patrzy
Król, karta dziejów i wszyscy rodacy;
Niech nie powiedzą, że duchem upadłszy,
Zdaliśmy zamek, jakby zdrajcy jacy.
Królu Zygmuncie! ja nie znam cię w oczy,
Lecz cię obrały niezmuszone wota;
Ostatnia kropla krwi, co się wytoczy,
Ostatnie tchnienie naszego żywota
Tobie należą... Cześć twojéj korony,
Całość twéj głowy zdałeś w ręce nasze:
Póki przeciwnik nie będzie zwalczony,
Hełmu nie zdejmę, miecza nie odpaszę.

Karlińska.

Jakże ci pięknie, gdy twe oko pała
W tym bohaterskim szlachetnym zachwycie!
Nie sądź, mój mężu, abym zapomniała,
Żem córka kraju, który dał mi życie.
Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą, —
Miłość dla kraju i wierność dla tronu
Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
Lecz syna oddać na pastwę siepaczy—
Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
Chcieć takich ofiar od duszy niewieściéj...

Karliński (*wzruszony*).

Patrz na Maryę na krzyżowéj drodze,
Kiedy ją przeszył miecz siedmiu boleści,
Gdy syn jéj konał wśród urągowiska,
Z przebitém sercem, z cierniami na głowie,
Przeżyła jednak...

Karlińska.

Cóż kraj na tém zyska,
Jeśli Zygmunta zamęczą wrogowie?
Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz,
Oddaj im mury olsztyńskiego grodu.
Król ci przebaczy—daremnie się trapisz,
Wszak król jest ojcem swojego narodu!
On twe ojcowskie uczucia oceni,
Przebaczy sercu, które się rozczula...

Karliński.

Bluźnisz, niewiasto! Czyż ludzie spodleni
Mogą mieć prawo do litości króla?
Me obowiązki zdradziwszy na wojnie,
Czyżbym już zdołał wznieść oczy do góry?
Czyż ja noc jedną zasnąłbym spokojnie,
Wolny od srogiéj sumienia tortury?
Małżonko moja! matko nieszczęśliwa!
Czuję boleści, co twe serce gniotą;
Lecz czyż powinna moja głowa siwa
Nad samym grobem okryć się sromotą?
Byłem rycerzem...

Karlińska.

Toć zostań rycerzem;
Przebacz, żem śmiała kusić cię po trosze.
Więc po rycersku nasze wojsko zbierzem,
Uderzym zaraz—lecz to zaraz, proszę!
Pozwól, ja sama przy tobie pojadę,
Na własne ręce odbiorę pacholę...

Karliński.

Teraz już nie czas... trudno dać im radę;
Patrz, jakie wojsko zalega ich pole!
My teraz na nich napadać nie możem;
Musim się bronić, bo oni napadną.

Karlińska.

Każdém mię słowem przeszywasz, jak nożem,
Nie dajesz prośbą zwyciężyć się żadną...
Więc ja mam czekać, aż nadejdą wieści,
Że już Zygmunta ścięły ich pałasze?...
Och! Bóg dał siłę słabości niewieściéj;
Naszym orężem—bolesne łzy nasze.

Pójdę do wrogów i czołem uderzę,
Łzami ich serca do litości wzruszę:
I oni zbrojni, i oni rycerze,
Ale od ciebie czulszą mają duszę!
Starcze, wojenną wypieszczony chwałą!
Lękasz się we śnie wyrzutów za zdradę,—
Cóż gdy przed tobą będzie widmo stało
Twojego syna, skrwawione i blade?
Gdy w dzień i w nocy głos twojego serca
Będzie wyrzucał, żeś postąpił dumnie?
Czyż sen spokojny będzie miał morderca,
I tu na ziemi, i w grobowéj trumnie?

Karliński.

Doroto moja! takaż mię zniewaga
Miała z ust twoich dotknąć na ostatek?
Wódz rozkazuje — małżonek cię błaga,
Bądź godną mężnych chrześciańskich matek!
Trudna ofiara, gdy Pan przynieść każe,
Co najdroższego mieliśmy na świecie...
Odejdź, Doroto... pomyślę, rozważę...
Łza mi się kręci — ja kocham to dziecię!...

Karlińska (*z radością*).

Łza!... kochasz dziecię!... O dzięki Ci, Boże,
Żeś zmiękczył serce niezłomne, jak skała!
Pozwól mi, mężu, ja okno otworzę,
Ot tu na ścianie jest chorągiew biała!
Wywieś ją z okna — to jest znak poddania...
Wszakbyś nie zdołał obronić zamczyska!
Ich taka siła coraz się odsłania...
Boże! za chwilę Zygmunt nas uściska!
Prędzéjże, prędzéj!...

Karliński.

Wstrzymaj się, niewiasto!
Bądź dobréj myśli... a odejdź na chwilę.

(*Karlińska uradowana odchodzi*).

SCENA CZWARTA.

KARLIŃSKI, potém BIENIASZ.

Karliński.

Mam poddać zamek?... ja mam poddać miasto?...
Wróg w saméj rzeczy wzmaga się na sile.
Długo nie wytrwać... szturmem nas przemogą...
Król mi przebaczy... i syna ocalę...
Lecz oddać zamek z tak liczną załogą,
Kiedy zapasów nie braknie nam wcale,
Żołnierz na duchu jeszcze nie upada...
Och! ja drżę wszystek — kręci mi się w głowie...
Héj!

(*Do Bieniasza*):

Niech się zbierze wojenna narada,
I pan Pieniążek, i dwaj chorążowie;
Czekam ich tutaj.

Bieniasz.

Od nieprzyjaciela
Przybył posłaniec i czeka przy moście.
Dał znak, że ważnéj nowiny udziela.

Karliński.

To most sprowadzić i tutaj go proście;
Zawiązać oczy, wiodąc przez fortecę, —
Kędy tu przejście, niechaj nie postrzeże.

(*Bieniasz odchodzi*).

SCENA PIĄTA.

Karliński (*sam, pada na kolana*).

Boże Zastępów! miéj w Twojéj opiece
I serce moje, i téj twierdzy wieże!
Wesprzyj ramiona słabego człowieka,
By chytry szatan nie ujął mię w pęta!
Od mego serca niech będzie daleka
I podła słabość, i dzikość zawzięta!
Pozwol, bym ojców chrobrym obyczajem
Nie dał się ugiąć pod ciosem Twéj plagi,
Abym nie zgrzeszył przed Tobą i krajem
Brakiem odwagi, lub zbytkiem odwagi!...

SCENA SZÓSTA.

KARLIŃSKI, PIENIĄŻEK, DWAJ CHORĄŻOWIE.

Wodzowie.

Czołem ci, wodzu!

Karliński.

Czołem wam, panowie.
Czas mamy krótki, a wieści złowieszcze.
Z ręką na sercu niech mi każdy powie:
Czy poddać zamek? czy bronić się jeszcze?
Czy trzeba umrzeć? czy z naszego zgonu
Będzie krajowi pożytek, czy szkoda?
Zwróciwszy myśli do Pana Syonu,
Mówcie, co Pan Bóg do serca wam poda.
Panie Pieniążek, na waszmości koléj:
Radzisz się poddać?

Pieniążek (*po namyśle*).

Niełatwe zadanie.
Jeszcze czas jakiś trzymajmy się woléj:
Kul, prochu, chleba na tydzień nam stanie.

Karliński.

A potém...

Pieniążek.

Umrzeć. Kiedy szturm przypuszczą,
Zdobędą w zamku kamienie i skały.

Jeden z Chorążych.

A moja rada: dzisiajby z tą tłuszczą
Dobre warunki ułożyć się dały.
Może pozwolą oddalić się z bronią,
Zabrać zapasy prochowe i chlebne.
A życie nasze, co pakta osłonią,
Nie na raz jeden krajowi potrzebne.
Jest pole bitwy i dalsze są twierdze;
Tam trzeba naszéj ręki i bardysza.

Karliński (*do drugiego z Chorążych*).

Cóż waszmość radzisz?

Drugi z Chorążych.

Ja zdanie potwierdzę
Wielce miłego mego towarzysza:
Poddać się trzeba, poddać się w téj chwili,
Bo jutro, wodzu, za późno już będzie..

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I BIENIASZ, *potém* PUSZKARZE.

Bieniasz (*przerażony*).

Panie! do koła zamek otoczyli,
Wojsko niezmierne rozlewa się wszędzie,
Niosą drabiny, podchodzą pod wały,
Huf najmocniejszy tu prosto przy rowie.

Karliński.

Niełatwo Niemcy ugryzą te skały!
Dać ognia z armat! Héj, mości panowie,
Nie czas do rady! już bozkie zamiary
Wskazały naszéj powinności drogę.
Śpieszcie na wały! a téj baszty staréj
Ja z jednéń działem sam obronić mogę.
Z téj wysokości, między dwa parowy
Kula puszczona cały hufiec zwali.
Hola, puszkarze!

(Dwaj Chorążowie odchodzą).
(Wchodzi dwóch Puszkarzy).

Czy nabój gotowy?

Puszkarz.

Działo nabite, a lont już się pali.
Toż się, mój Boże, całą noc nie spało.
Oczyścić, nabić... to praca niezmierna.

(Słychać podwojony zgrzyt trąby).

Karliński.

Attak się wzmaga... a więc...

(Głośno):

rychtuj działo!

(Chwila pauzy).

Pal!

SCENA ÓSMA.

CIŻ I CZACHROWSKI.

Czachrowski *(wbiega, odtrąca Puszkarza, który lont zapalony przykładał do armaty, i popycha Karlińskiego ku oknu).*

Patrz, Karliński! to huf Lichtensterna!

Karliński (*odwraca się z pośpiechem*).

Kto? czego chcecie?

Czachrowski (*biorąc go za rękę*).

To ja, druh twój stary,
Choć dziś w obozie twoich wrogów służę.
Bóg losy krajów i królów zamiary
W księdze wyroków zapisał już w górze.
Czy Maksymilian, czy Zygmunt król będzie,
My tego grzeszni rozwiązać niegodni.
Ja, starą przyjaźń mający na względzie,
Przybiegłem tutaj wstrzymać cię od zbrodni.
Patrzaj, Karliński! tam chorągiew wieje,
A przed chorągwią widzisz punkt ten biały?
To Lichtensterna wojenne nadzieje,
To syna twego niosą na wystrzały!
Strzelaj, gdy możesz!...

Karliński.

Jak to? mego syna!

Czachrowski.

Widzisz punkt biały, ot tu, przy opoce?
Kula, nim nasze hufce poprzerzyna,
Twojemu dziecku piersi pogruchoce!
Wódz rakuszański chciał go mieć za tarczę
Swojego życia, przy szturmie wśród kuli...
Wpadłem cię ostrzedz — teraz strzelaj, starcze!...

Puszkarz (*rzucając lont*).

Panie! twe serce niechaj się rozczuli!

Pieniążek.

Wodzu! kraj takiéj próby nie wymaga!

Czachrowski.

Bracie mój dawny, miéj litość nad sobą!

Pieniążek.

Oddaj im zamek!

(Słychać trąby).

Karliński.

Odwaga! odwaga!...
Panie! zbyt ciężką dotknąłeś mię probą!
Łzy płyną z oczu... drży serce — drży ręka...
Mróz lodowaty przebiega me kości...
W obliczu wrogów Karliński się lęka,
Lęka spełnienia swojéj powinności!...
Tam król... tam hetman... krew dziecka, płacz żony..
Tego za nadto!... o!... poddać się raczéj!...

(Bierze do ręki białą chorągiew):

Kasprze Karliński! zhańbiony! zhańbiony!
Chciałeś się podle poniżyć w rozpaczy!
Krew mego syna upadnie na wroga:
Nie ja zabójca, ale on zabójca...
Ziemio rodzinna, matko moja droga!
Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!
Synu mój drogi! starą moją głowę
Któż tu przytuli? kto do trumny złoży?
Ty miałeś wskrzesić wspomnienie ojcowe,
W tobie rycerstwa był widny duch boży...
Lecz musisz umrzeć!...

(Z załamanemi rękoma pogląda na białą chorągiew, potém ją rzuca na ziemię).

Przebaczcie mi, Nieba,
Żem się zawahał w tak stanowczéj sprawie!...
Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!
Na drogę śmierci ja cię błogosławię!
Żegnaj mi, synu! cześć młodéj twéj głowie,

(Wyrywa lont od Puszkarza, który stoi osłupiały).

Że krew przelałeś w krajowéj potrzebie!
Kocham cię więcéj niźli własne zdrowie,
Ale powinność droższa mi od ciebie.
Ziemio mych ojców! bierz dar prawowierny
Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!
Boże najwyższy! Ojcze miłosierny!
Bądź tam miłościw jego czystéj duszy!

(*Przykłada lont do zapału armaty — słychać wystrzał*).

Wszyscy obecni (*z przerażeniem*).

Ach! coś uczynił?

Czachrowski.

Szlachetny szaleńcze!

Karliński.

Dzięki Ci Boże! nie zadrżała ręka.
Musiałem trafić — o! musiałem, ręczę:
Cios tu się odbił!...

(*Wskazuje ku sercu*).

Tak mi serce pęka!...
A ja sądziłem, że to łatwiéj pono
Sprawić się z serca uczuciem rodzimém...
Panie Pieniążek, czy dobrze trafiono?

Pieniążek (*patrząc w strzelnicę*).

Ja nic nie widzę za armatnim dymem.

(*Słychać z daleka głuche wystrzały. Wszyscy cisną się do okna*).

Karliński.

Drżą ręce — nogi trzęsą się pode mną....
Serce tak bije — rozpada się z bolu —
Głowa się kręci — a w źrenicach ciemno.....

(*Usiada*).

Panie Pieniążek, co tam widzisz w polu?

Pieniążek (*zawsze w oknie głosem uroczystym*).

Już się spełniło...

(*Chwila milczenia*).

J e d e n z P u s z k a r z ó w.

Już Niemca odparto.
Pierzchają zewsząd... szeregi popsuli...
Trupy, jak pomost... a nasz panicz z Martą
Padli zabici odłamkami kuli!...

K a r l i ń s k i.

Śpij, drogie dziecię!... niedługo, niedługo...
Przyjdę przebłagać twą męczeńską duszę...
Ale kraj jeszcze czeka mię z posługą:
Ja powinienem... ja żyć jeszcze muszę.

B i e n i a s z (*wchodząc*).

Niemcy uciekli; wódz ich ciężko ranny,
Nasz panicz poległ, jak podcięty kosą.

K a r l i ń s k i.

Niech dają z wałów ogień nieustanny!
Trup mego dziecka niech tutaj przyniosą.

(*Bieniasz odchodzi*).

P i e n i ą ż e k (*patrząc w okno*).

Zwijają obóz... a ich przednie straże
Kierują pochód na krakowskie strony.
Rannego wodza niosą przy sztandarze.
Górą król Zygmunt!

K a r l i ń s k i (*powstawszy uroczyście, wznosi ręce*).

Olsztyn ocalony!
Pańskie to, Pańskie podparło mię ramię;
Syn mój to sprawił... Czyż mam płakać po nim?
Wracaj do swoich, Czachrowski Adamie.

P i e n i ą ż e k.

A powiedz swoim, że gdzie dobra sprawa,
Tam duch ofiary mężnieje w potrzebie.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ I KARLIŃSKA (*wpada z rozpaczą*).

Karlińska.

Bitwa skończona... strzelanie ustawa...
Gdzie Zygmunt? mężu! gdzie Zygmunt??...

Karliński.

Już w niebie.

(*Widać w głębi, jak wnoszą zwłoki Zygmunta. Obecni uchylają głowy. Zasłona spada*).

1857. Wilno.

WIEJSCY POLITYCY.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH WIERSZEM.

OSOBY:

SĘDZIA NOWINA.
SĘDZINA, jego żona.
STEFAN, ich syn.
PODKOMORZY LESZCZYC.
ANNA, jego córka.
SZLOMA, arendarz Sędziego.
GOSPODARZ w oberży.
WÓJT, } ze wsi Sędziego.
GROMADA WIEJSKA, } ze wsi Sędziego.

Rzecz dzieje się w pierwszym i drugim akcie w domu wiejskim Sędziego; w trzecim w oberży w miasteczku.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Wieczór. Pan SĘDZIA *przy jednym stoliku czyta gazetę;* STEFAN *przy drugim z roztargnieniem czyta książkę;* SĘDZINA *z robotą przy tymże stoliku.*

(Stefan składa książkę i wzdycha).

Sędzina (*z czułością*).

Co tobie jest, Stefanie? wzdychasz, moje dziecię!
Tęskno tobie po twoim uniwersytecie,

Po twoich towarzyszach, po miastowéj wrzawie;
Na wsi nudno.

Stefan.

Nie, mamo! ja się dobrze bawię.
Straciłem moich dobrych towarzyszów grono,
Żal mi ludzi, z którymi spotkać się sądzono,
Z którymi się człek smucił, z którymi weselił,
Z którymi myśl, naukę i dążenia dzielił;
Lecz za to jestem w kraju. O! jakże to błogo,
Gdy domowém powietrzem tchnąć już piersi mogą,
Po długiém niewidzeniu gdy powitać dano
Rodziców, dom rodzinny, Litwę ukochaną,
I nasz strumyk w olszniaku, ulicę z topoli,
I mową się rodzinną nagadać dowoli,
Powitać nasz lud wiejski, uściskać go szczerze.

Sędzia (*do obecnych*).

Dostali niezłą cięgę Francuzi w Algerze,
Gotują się w Marokku wypadki nielada:
Bo już *Kuryer Wileński* nieznacznie powiada,
Przebąkiwa, mosanie, że jeszcze w tym roku
Wszystkie porty handlowe zamkną się w Marokku.
A zkądże marokańską tabakę świat kupi?
Czy Anglia pozwoli?.. Palmerston nie głupi!
Na wiosnę straszna wojna buchnie niespodzianie!
(*Czyta znowu*).

Sędzina (*do Stefana*).

Aleś ty zamyślony i blady, Stefanie;
Możeś chory, broń Boże?..

Stefan.

Och! ja cierpię srogo
Na marzenia, co jeszcze ziścić się nie mogą,

Na zuchwałe żądanie z nieziemskiego świata,
Co mi serce rozrywa i w głowie kołata.

Sędzina.

O, biednaż ja kobieta! Stefanie, Stefanie!
Może octu do głowy... to boleć przestanie.
Na ból serca... ból serca... o mocny mój Boże!
Anodinum na cukrze...

Stefan.

Och! nic nie pomoże,
Bo to ból niezwyczajny—pali jak żarzewiem.

Sędzina.

Cóż ci jest, lube dziecię?

Stefan.

Ja nie wiem, ja nie wiem...
Com wyczytał, wysłuchał, w co przywykłem wierzyć,
Chciałbym na mojéj Litwie od razu rozszerzyć;
Ona mi się stawiła szczególnym obrazem:
Och, jak tu na niéj dobrze! och, jak tu źle razem!
Jakie tu śliczne pola, jakie cudne gaje!
Ale grunt zaniedbany już chleba nie daje,
Lasy pustoszy wieśniak, pustoszą do dworu,
Piękne łąki nie dają i połowy zbioru,
Jakiby przy uprawie należytéj dały.

Sędzia (*zawsze czytając*).

To zuch Ibrahim basza... pokopał kanały,
Egipckie grzęzawice osuszył w połowie...
Tylko czy Turek za to wojny nie wypowie?
To, panie, mądra sztuka, ten Ibrahim basza!

Stefan (*zawsze z zapałem do matki*).

Jakież ma piękne wioski droga Litwa nasza!
W pośród zielonych pastwisk, przy rzeczce, przy młynie,

Owdzie prześliczny strumyk wśród olszniaku płynie,
Owdzie na ładnych wzgórkach wznosi się chałupa...
Rozkosz dla pejzażysty takich chatek gruppa!
Ale, kochana matko, jakże boli srodze,
Kiedy po grzązkich groblach, po nierównéj drodze,
Wjedziesz do któréj wioski bez cienia, bez płotów!
Ktośby ją za schronienie nędzarzy wziąć gotów.
Chaty nizkie, jak żebrak oparte na szczudła;
A każda twarz wieśniaka wybladła, wychudła,
Ubiór jego podarty, na twarzy głupota;
A toż Litwin! to serce poczciwe ze złota!
Przecież w brudnym nałogu, jak w błocie, się tarza,
W nałogu, zaprzedanym za pieniądz karczmarza,
Z zamroczonym umysłem Paryas wyklęty,
Jak on będzie pracował?

Sędzina.

O mój Boże święty!
Mój Boże! co on gada? to z bolenia głowy...
O! ja mam plastr cudowny...

Stefan.

Nasz Litwin surowy
Swoją podartą chatę ukochał najszczerzéj,
Nie jak Niemiec, co w żadną ojczyznę nie wierzy;
Przechował obyczaje i domowe cnoty,
Nie jak dziecko Paryża, kędy stek sromoty;
Nie został, jak Włoch, zbójcą, jak Greczyn, obłudnym,
Jak Anglik egoizmem nie przejął się brudnym;
Wiarą tylko swój kielich żółci z octem słodzi.

Sędzina.

Uspokój się, Stefanie, bo to ci zaszkodzi.
Prawda, że u nas wieśniak i głodny, i chłodny;

Lecz tak było od wieków za grzech pierworodny,
Czy podobno od Sema, Chama i Jafeta.

Stefan.

Nie, mamo.

Sędzia (*zrywa się*).

Posłuchajcie, co pisze gazeta!

(*Czyta*):

„*Paryż ósmego września.* Król jegomość z rana
„Przyjmował uroczyste poselstwo sułtana;
„Potém telegraficzna wiadomość doniosła,
„Że prosił na śniadanie hiszpańskiego posła;
„Daléj... okręt angielski przybył z Malabaru;
„Daléj... pierwszy minister, z powodu kataru,
„Dziś nie był w parlamencie,—a daléj: na scenie
„Nowe i nader świetne było przedstawienie,
„Dano *Włoszkę w Algerze!*" Tak, *Włoszkę w Algerze!*
Głęboka allegorya! Włoch już Alger bierze,
Król francuzki z sułtanem przyjaźni się skoro,
I uważasz... Hiszpanów na *cuhunder* biorą.
Okręt od Malabaru... minister w katarze...
Tak pisać to głęboka polityka każe.
Ale znamy się na tém... ho! znamy się trocha!
Francuz, Hiszpan i Turek pójdą przeciw Włocha;
Wtedy Ibrahim basza, co przytulił uszy,
Na Hiszpana, Francuza i Turka wyruszy.
Toż to będzie, mospanie, wojna w Europie!
Wtedy i nam wypadnie chować się w konopie;
Bo nasze wojska pójdą bronić pruskich granic,
A od Persa, mospanie, nie zaręczę za nic:
Ich przymierze na włosku, czysto za kontraktem.
Wszak mi Żydek powiadał, że onegdaj traktem
Jechało dwóch ichmościów... wąsaci, brodaci,

I mieli czapki perskie... niech go porwą kaci!
On zgadł, że będzie wojna—to już niedaremnie,
A podkomorzy Leszczyc śmiał się wtedy ze mnie.

Stefan (*przerywając*).

Leszczyc?... jakiż tu Leszczyc mieszka w okolicy?

Sędzia.

Jan Leszczyc, podkomorzy, dziedzic na Bruśnicy;
Z traktu majątek jego widać o trzy kroki.

Stefan.

Czy on ma młodą córkę?

Sędzia.

Polityk głęboki!
Ciągle czyta gazetę, a ciemny jak w rogu,
Nie wierzy w żadną wojnę. Dzisiaj, dzięki Bogu,
Otoż go wyśmiejemy, otoż go wychłoszczem,
Kiedy z rana w niedzielę zejdę się z proboszczem!
Podkomorzy, polityk mądry w każdym względzie...
(*Do wchodzącego arendarza:*)
Jak się masz, panie Szloma?.. Czy wiesz? Wojna będzie!
(*Sędzina odchodzi*).

SCENA DRUGA.

CIŻ i SZLOMA (*wchodzi z ukłonem*).

Szloma.

Wojna? kogo i za co?

Sędzia (*uroczyście*).

Ba! zgadnijże za co!
Włosi zdobyli Alger, Ibrahim ladaco
Idzie wojować Turki, Francuzy, Hiszpany;
Lecz w gazecie, uważasz, inszy obrot dany:
Niby tak, niby owak... przypuszczenia, wnioski...

Jak wiesz, pod allegoryą pisze Marcinowski;
Lecz kto ma zdrowe oczy, jasno prawdę widzi.

Szloma.

Pan to lepiéj rozumie niż my, biedni Żydzi.
My sobie handlujemy—wojna rzecz nie nasza.
Póki Ibrahim pasza wystrzeli z pałasza,
Ja chciałbym choć trzy grosze zyskać na arendzie;
A tu gwałty! rozbójstwa! co iz tego będzie?!

Sędzia.

Cóż się stało?

Szloma.

No! Janek!!

Sędzia.

Nudzić mię poczynasz!
Czego chcesz? jaki Janek?

Szloma.

Jaki Janek? — młynarz!
Sam nie chodzi do karczmy, powiada, że pości,
I jeszcze całą wioskę naucza trzeźwości,
Buntuje całą wioskę, buntuje i kwita!
Czy wierzy pan dobrodziéj?

(*Tajemniczo do ucha Sędziego*):

Nawet książki czyta!
Kiedy jeździł z transportem do pszenicy mojéj,
Przywiózł książki iz Wilna—aj gwałt, co tam stoi!
No! że Żyd wkrótce chłopa do szczętu wysuszy,
No! że pijać w niedzielę ciężki grzech dla duszy,
No! kiedy dzień powszedni, to trzeba do pracy,
No! że pijąc na kredyt, to będą żebracy!
I mało czego jeszcze! buntuje widocznie!

Bolą uszy słuchając, kiedy czytać pocznie.
Na co jemu czytanie? iz tego czytania
On jeszcze wszystkich ludzi z karczmy porozgania.
Co to jest!!

Sędzia (*chodząc niespokojny*).

Prawdę mówisz! masz słuszność, mój Szlomo!
Gdy chłop porozumnieje, wtedy już wiadomo:
Nie pójdzie na pańszczyznę.

Szloma.

Nie pójdzie do szynku.

Sędzia.

Czytanie!.. jak sto batów weźmie w upominku,
To się czytać oduczy, a z nim cała wioska.
Chce być mędrszym ode mnie! a to kara bozka!
To już skończenie świata!!

Stefan.

Nie, to jutrznia świata.
Duch boży sam do chatek wieśniaczych kołata,
Wykluwa się ze skorup gołąbek skrzydlaty
I siedmiu promieniami niebieskiéj oświaty,
Jak ojcowskiém objęciem, otuli, opasze
Pogardzonych nędzarzy chróściane szałasze.
Dzięki Ci, dobry Boże! ta chwila już blizko,
Twój palec nam wskazuje nasze stanowisko;
Bądźmy wierni wezwaniu!

(*Sędzia i Szloma patrzą na niego z podziwieniem*).

Szloma.

Gwałt! co panicz gada!

Sędzia.

Co asan takie rzeczy?... słuchać nie wypada...
Łatwo w kłopot, a kłopot sakiewkę wycieńczy...

Stefan (*chłodniéj*).

Przepraszam cię, mój ojcze, za wyskok szaleńczy!
Wszak wiesz, jak żywo pragnę... ale tego dosyć.
Chciałem tylko za Jankiem młynarzem cię prosić:
Nie odbieraj mu książki, gdy się pragnie uczyć,
Nie karz go za czytanie, nie daj mu dokuczyć.

(*Groźnie patrząc na Szlomę*):

A ty, jeśli się ważysz, żmijo jadowita,
Jeżeli słówko piśniesz...

Szloma (*cofając się*).

No! niech sobie czyta,
Niechaj z karczmy rozpędza, niech zaleca pracę,
A ja na Święty Jerzy raty nie zapłacę!

Sędzia.

Zaraz nie płacić raty—wyśmienita rada!
Nie uważaj, mój Szlomo, co pan Stefan gada:
Taka dziś cała młodzież—dowodzi jak może,
Że pan, i kmieć, i szlachcic wszystko dzieci boże,
Że trzeba naszym wioskom nadać inną postać,
Że ekonom przy pracy niepowinien chłostać,
Że trzeba zmniejszyć karczmy, zaprowadzać szkółki
I z rolnikiem na roli pracować do współki.

Szloma.

Cóż daléj z tego będzie?

Sędzia.

Daléj nic nie będzie.
Jam o mego Stefana spokojny w tym względzie.
Nadąsa się, jak inni, zmiany naprzyrzeka,
I pójdzie starym torem, jak chodzili z wieka;
Zmęczy go postępowa nad chłopstwem mozoła,
Pocznie chłostać, jak drudzy, i Żyda przywoła;

Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się dzielnie,
I, zamiast szkoły wiejskiéj, zbuduje gorzelnię.

Szloma.

O! tak, to co inszego!

Stefan.

Ojcze, jak to boli!

Sędzia *(ze śmiechem).*

Wyszumi młode piwko, wyszumi powoli.
Teraz pójdziem do rzeczy, mój Szlomo kochany!
Mam pewne interesa, mam tu pewne plany;
Chciałbym z tobą pomówić—tak, na cztery oczy;
Chodź do mego pokoju.

Szloma *(do siebie).*

Już wiem, z czém wyskoczy;
Ale bądźmy ostrożni... odmówić najprościéj.

Sędzia.

Służę ci, panie Szlomo.

Szloma.

Służę jegomości.

(Odchodzą we drzwi boczne).

SCENA TRZECIA.

SĘDZINA, STEFAN.

Sędzina.

Źle robisz, mój Stefanie, choć mówisz, jak księga,
Choć każde twoje słowo do serca mi sięga...
Bronisz uciśnionego, kochasz lud ubogi,
To znaczy dobroć serca, to pięknie, mój drogi;
Lecz mówisz za gorąco i w ciągłym ferworze.

Wszak ojciec swych przekonań odmienić nie może;
Więc zamiast go rozdrażniać, zamilczałbyś woléj.
Zresztą, synu, my starzy: przyjdzie wasza koléj,
Wtedy tworzyć będziecie postępowe cuda,
Może wam stare błędy poprawić się uda.
Wszak słyszałeś od ojca, że na Święty Jerzy
Już całe gospodarstwo w twe ręce powierzy.
Będziesz swobodnym panem i woli, i środków,
Będziesz mógł po swojemu uszczęśliwiać kmiotków;
Lecz póki się ku tobie szala nie przychyli,
Poszanuj jego zdanie do ostatniéj chwili.
Przepraszam, że to mówię.

Stefan.

O! dzięki sto razy!
Będę ściśléj obliczał wszystkie me wyrazy,
Schowam do głębi serca moją świętą wiarę,
Poszanuję ojcowskie przekonania stare.
Lecz gdy naszą fortunę odda mi pod strażę,
Przebacz, matko! postąpię, jak mi serce każe,
I niejedno odmienię, niejedno przerobię:
Dam kmiotkom prawa ludzi...

Sędzina.

Jak sam zechcesz sobie.
Tutaj jedyna rada, jaką dać ci mogę:
Abyś obrał powolną do postępów drogę,
Bo co nagle rozpoczniesz, nic ci się nie sklei.
Po kolei, mój synu, wszystko po kolei,
A śmiało w imię boże.

Stefan.

Nic się nie przestraszę,—
Zbrojny w błogosławieństwo i bozkie, i wasze,

Czuję, że mi co chwila nowy popęd nada
Dobre serce matczyne i ojca porada.

Sędzina.

I sercem, i modlitwą, poczciwy Stefanie,
Będę ci pomagała, ile sił mi stanie;
Niekiedy rada matki przydać ci się może.

Stefan *(całując jéj rękę).*

Radź, matko, i rozkazuj—przyjmuję w pokorze.
Dawaj mi od téj chwili twe dobre przestrogi,
Wskaż mi najpierwsze kroki mojéj trudnéj drogi.
Powiedz mi: w gospodarstwie nim się coś uczyni,
Od czego trzeba począć?

Sędzina *(z uśmiechem).*

Szukać gospodyni.
Wynaleźć dobrą żonę, co cię kochać będzie,
Co twojemi oczyma rozpatrując wszędzie,
Gdzie ty zarzucisz wątek, ona da osnowę,
Wzmocni niewieściém sercem twoją męzką głowę.
Do niéj przyjdą odważniéj ubodzy i chorzy,
Przed nią niejeden wieśniak swe serce otworzy,
Ona się porozumie roztropniéj daleko
I z niewiastą, i z dzieckiem, i z biednym kaleką.
Ona się wtajemniczy i trafniéj, i prędzéj
W najdrobniejsze odcienie cierpienia i nędzy,
A dopóki trwać będziesz w zbawiennym zamiarze,
Gotową drogę czynu ona ci ukaże.

Stefan.

Prawda po tysiąc razy.

Sędzina.

Ona cię nauczy,
Że konia, jak to mówią, pańskie oko tuczy.

Będziesz pilnował domu — a tu co godzina
Nowy się obowiązek sercu przypomina,
Nowy dobry uczynek codzień się dokona.
Skarbem jest, mój Stefanie, skarbem taka żona;
Ale z tysiąca kobiet wyszukać jéj rzadko!
Szukaj dobrze!

Stefan.

Znalazłem, znalazłem ją, matko!
Muszę ci wyznać słowo, co pod sercem gniotę:
Ja kocham już od roku niebiańską istotę,
Ona, choć nieobecna, wspomnieniem mię krzepi,
Ona mojego serca świadoma najlepiéj,
Ona olbrzymią siłą wzmocni me ramiona;
Zna lud wiejski i kocha, jakby w nim zrodzona.
W dalekiém, w obcém mieście marzyliśmy razem,
Żyliśmy naszych dworków, naszych wsi obrazem;
Długie, długie wieczory, często załzawieni,
Błądziliśmy oczyma po niebios przestrzeni;
Promieniami księżyca z oddali, z oddali,
Pozdrowienie kochanéj Litwie przesyłali.
Ona tam przy swéj ciotce w gościnie bawiła.
Jam ją pokochał wiecznie, ile starczy siła:
Przysięgła mi najświęciéj—wiernie—najgoręcéj,
Być moją—tylko moją—i niczyją więcéj.
Niech ją ojciec przeklina, niech jak chce się sroży...

Sędzina.

Któż to taki jéj ojciec?

Stefan.

Leszczyc podkomorzy.

Sędzina.

Pan Leszczyc podkomorzy — a toż sąsiad przecię!
Córkę jego znam dobrze: to poczciwe dziecię,

Urodziwéj postaci, kształtna, pięknooka,
Bawiła rok u ciotki, czy półtora roka,
Lecz teraz powróciła, zesmutniała trocha...
Ty ją kochasz, Stefanie — ona ciebie kocha —
To dobrze, wszystko dobrze... lecz miéj się na wodzy:
Oni ludzie bogaci, my — szlachta ubodzy.
Pan Leszczyc nie jest dumnym z majątku i z rodu,
I pysznić się przed nami nie miałby powodu;
Obok pana Leszczyca my niżéj nie staniem
Ni dobrém urodzeniem, ni urzędowaniem.
Lecz pan Leszczyc spekulant, obrotowa sztuka,
Spekulanta na męża dla swéj córki szuka,
Człowieka z kapitałem i przemyślną głową,
Coby szybko podwoił summę posagową.
Tybyś w takim zawodzie nie dotrzymał pola,
Bo jakież twe zasoby?

Stefan.

Zdrowa myśl i wola,
Dwoje rąk, kierowanych poczciwym zapałem,
Do pomocy lud wierny, który ukochałem.
Wierzcie mi, że tu rolnik daleko zajść może
Z temi kilku środkami.

Sędzina.

Daj Boże, daj Boże!
Zresztą, patrzaj Stefanie, jak się dobrze składa:
Wkrótce mamy u siebie powitać sąsiada,
Bo dzisiaj do nas pisał stary podkomorzy,
Że jutro razem z córką swą attencyę złoży.
Zobaczym, co się święci, zdajmy się na Boga.

Stefan (*z radością*).

A więc jutro mię czeka niespodzianka błoga!
Jutro Annę zobaczę!...

SCENA CZWARTA.

CIŻ, SZLOMA, *a za nim* SĘDZIA.

(*Szloma kłania się i chce wychodzić*).

Sędzia (*doganiając go*).

Co za powód zmiany?

Szloma (*do siebie*).

Widoczna ze wszystkiego, że zbankrutowany.
Chce mnie częstować miodkiem i paniczem straszy,
Chce pieniędzy na konto Ibrahima baszy...
Na co mi to potrzebne?

Sędzia.

A z Jankiem młynarzem
Już się sami rozmówim, sami go ukarzem;
Przestanie czytać książki, zalecimy srogo.

Szloma (*do siebie*).

Cztery tysiące złotych... to trochę za drogo.

(*Głośno:*)

Upadam do nóg pańskich!

Sędzia.

Zabronię i kwita.

Szloma.

Kiedy taki uczony, niech sobie już czyta.
Upadam do nóg pańskich!

Stefan (*do siebie*).

Jakąś czuję trwogę.
Memu własnemu szczęściu uwierzyć nie mogę.
Jutro Annę zobaczę...
(*Odchodzi drugiemi drzwiami*).

SCENA PIĄTA.

SĘDZIA, SĘDZINA.

Sędzia (*nie widząc żony*).

Choć zastawić duszę,
Cztery tysiące złotych koniecznie mieć muszę.
Podatki niepłacone -- nie żartować z władzą:
Pustopole opiszą i z młotka przedadzą.
Stefan, co o ludzkości i postępie gada,
Nie wybrnie z tarapaty... Jakoś nie wypada
Wkładać na jego głowę ciężar takiéj miary.
Masz tobie!.. syn za młody, a ojciec za stary,
Podatek niepłacony, a procent narasta...
Co począć?...

(*Chodzi zamyślony*).

Trzeba skończyć gazety i basta.
Redaktor wbił mi klina... rwą się do pałasza
Anglik, Francuz i Turek, i Ibrahim basza;
Będzie na wiosnę wojna — pieniądz na widoku.
Czy to ja nie pamiętam, we dwunastym roku
Jaka była drożyzna? to aż wspomnieć ładnie!
Pociągnę passyansa, czy wojna wypadnie.

(*Siada przy stoliku i wyrzuca karty*).

As, dwójka, trójka, czwórka... jest czwórka—no, proszę!

Sędzina (*przerywając mu*).

Ciekawą ci, mój mężu, wiadomość przynoszę;
Tylko cicho... nikomu nie mów ani słowa.

Sędzia (*zawsze zajęty*).

Piątka, szóstka, siódemka, ósemka dzwonkowa,
Walet winny... No, słucham, co tam za wiadomość?

Sędzina (*tajemniczo*).

Nasz Stefan zakochany...

Sędzia.

Widzisz go, jegomość!
Lud... idee ludzkości... postępy narodu...
A myśli o dziewczętach, tak jak ja za młodu.
Trzeba wiedzieć, że byłem zalotny i zmienny.

(*Kładzie znowu karty*).

Walet, dama dzwonkowa... ot i król czerwienny,
To znaczy król francuzki.

Sędzina.

Tu ważniejsze rzeczy:
Mówię, Stefan się kocha.

Sędzia.

A któż mu tam przeczy!
Miłostki dla młodego bardziéj odpowiednie
Niż te wszystkie idee, postępowe brednie,
Z któremi z takim dzisiaj wyrwał się zapałem,
Że mi Szlomę przestraszył — a interes miałem.
Uciekł Szloma, jak zmyty, wcale się nie dziwię,
I jeżeli kabała nie wyjdzie poczciwie,
Jeśli wojny mocarstwo nie wypowie które,
To zboże ani myśleć aby poszło w górę.
A u mnie w Pustopolu jedyna rachuba:
Albo wielka drożyzna, lub zupełna zguba.

Podatek niepłacony, włościanie bez chleba,
Trzeba zboża na zasiew, zapomogi trzeba;
A u mnie jedno z drugiém dwie pustki w kieszeni.
Jedyna tylko rada...

(Zrywa się gwałtownie).

Niech się Stefan żeni!
Niech weźmie dobry posag, niech długi pospłaca,
A może mu szczęśliwiéj powiedzie się praca;
Niech się zagospodarzy, grosz oszczędza w miarę,—
Młodsza głowa i ręce już nie to, co stare.
Kogoż tam przecię kocha? gdzie ofiary pali?

Sędzina.

Z córką podkomorzego dawniéj się poznali,
I ona mu wzajemna.

Sędzia.

Gadaj jejmość zdrowa!

Sędzina.

Młoda, piękna, szlachetna.

Sędzia.

O tém ani słówa;
A jednak...

Sędzina.

Co za jednak? nie bój się o zmianę.

Sędzia *(uroczyście).*

To są gruszki na wierzbie i bańki mydlane.
Czy ja nie znam Leszczyca? Ho, ho! bita sztuka!
Stary lichwiarz bankiera na zięcia wyszuka.
Jemu widzę od dawna przewróciły głowę
Procenta, kapitały, machiny parowe.
Powiedz mu: będzie wojna, to on śmiechem parska,

Mówi, że już minęła epoka tatarska,
Że teraz Europa długich walk już syta,
Że bogactwo krajowe w pokoju rozkwita,
Że największa spokojność panuje na świecie...
(Tryumfalnie wskazuje gazetę):
A zobacz, kiedy łaska, co pisze w gazecie!
Dzielny Ibrahim basza, jak wyruszy w pędzie,
Na złość podkomorzemu, Gibraltar zdobędzie.

Sędzina.

Lecz myślmy o Stefanie.

Sędzia.

I cóż o Stefanie?
On tutaj, ani wątpić, odkosza dostanie.
A zresztą dobry zamiar — nie zawadzi proba:
Może stary spekulant chłopca upodoba.
A nawet podkomorzy, jak w czubek naleje,
Lubi czasem rozwodzić postępu ideje.
Kto to wie? jeśli dola posłuży szczęśliwa,
Może się zrozumieją, plotąc troje-dziwa.
Jutro zobaczym skutek; ja coś mało wierzę.
Lepiéj skończyć gazetę i pójść na wieczerzę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

STEFAN, WIEŚNIAK.

(Wieśniak stoi u progu, kręcąc swój kapelusz. Stefan chodzi po pokoju zamyślony).

Stefan *(do siebie).*

Witajcie, moje piękne powietrzne pałace!
Dziś ojciec zdaje na mnie gospodarcze prace.

Niech najszczęśliwszy z ludzi teraz mi zazdrości:
Jestem opiekun włości—ojciec mojéj włości...
Czyż potrafię wypełnić zadanie olbrzymie,
Nosić godnie to imię, najchlubniejsze imię?
Już okiem przemierzyłem pole mego trudu,
Wiem, com czynić powinien dla dobrego ludu;
Lecz jak się wziąć do dzieła, do szczęścia gromady?
Gdzie udzielić pomocy, gdzie i jakiéj rady?
Czego najgwałtowniejsza z początku potrzeba:
Czy duchowego chleba, czy ziemskiego chleba?
Czyli pierwéj nauki? czy pierwéj swobody?
Rozwiązać to zadanie mój umysł za młody.
Długo się rozmyślało, wiele się czytało,
Mam serce, ale serca tu jeszcze za mało.
Trzeba się wtajemniczyć w ich mowę, w ich życie;
A ja ludu wiejskiego nie znam całkowicie,
W niedoświadczone ręce biorę rządów wodze.
Wspieraj mię, Duchu Boży, na méj trudnéj drodze!

(*Wieśniak zniecierpliwiony tupie i kaszle*).

Stefan (*zwracając się ku niemu*).

Siadaj, poczciwy człeku; weź krzesło przy ścianie.
Czy jesteś wójtem z wioski?

Wieśniak (*z poklonem*).

Wójt, wielmożny panie.

Stefan (*chodzi zakłopotany, nie wiedząc, co mówić daléj*).

A masz żonę i dzieci?

Wieśniak.

Mam dziatek aż troje.

Stefan.

Siadajże, weź krzesełko.

Wójt *(z pokłonem)*.

Ja sobie postoję.

Stefan *(do siebie)*.

Pokora niewolnicza, to wielka ich wada!
Lecz ze starym przesądem walczyć nie wypada:
Trzeba ich przyprowadzić stopniowo, z daleka,
Aby w sobie uznali dostojność człowieka.

(Do wieśniaka):

A jakże się nazywasz?

Wieśniak.

Pasieka Bazyli.

Stefan.

Umiesz czytać i pisać?

Wieśniak.

Z rodu nie uczyli.

Stefan.

A jakże, będąc wójtem, bez pisma być może?
Jak rachujesz podatki, robociznę, zboże?
Jak możesz zapamiętać, co czynić wypada?
Jak ci może zaufać i dwór, i gromada?
Zkąd pewność przed gromadą, przed sądową władzą,
Że się wiernie wyliczysz z tego, co ci dadzą?

Wieśniak.

Co te pisma, paniczu! pamięć to rzecz święta!
Człowiek chce zapamiętać, to i zapamięta.
Wierzą mi, bo się zdradą nie splamiłem żadną.
Czy to, proszę panicza, piśmienni nie kradną?
A zresztą, czego dobrze spamiętać nie możem,
To się na prostym kiju zakarbuje nożem:
Oto mój kij, paniczu, — przypatrzyć się proszę:
To kopy, a to snopy, to złote, to grosze;

Jakoś to się wyliczam, rachunki nieduże,
Dziesięć lat, jak dworowi i sąsiadom służę.

Stefan.

A jednak umieć czytać czyżby ci nie miło?

Wieśniak.

No! toby się w kościele z książki pomodliło.
A u nas jaki pacierz? Ojcze nasz i Wierzę,
Dziesięcioro przykazań — to całe pacierze;
A jednak, gdy niedola, gdy się serce kruszy,
Człowiek zmówi co umie, to i lżéj na duszy.

Stefan.

Więc tu dziatwa nic a nic z książki nie korzysta?

Wieśniak.

Jest, z przeproszeniem pańskiém, pijak organista.
Ten, gdy czasem ochota na niego napadła,
W karczmie zimową porą uczył abecadła;
Ale to nic niewarte.

Stefan.

Ciekawym, dla czego?

Wieśniak.

Bo dziatwa wyuczona nie słucha starszego,
Myśli, że wszyscy głupi, że wszyscy prostacy,
Czytać się nie nauczy, a odwyknie pracy.
Zresztą, dobrze zważywszy, głupstwo to czytanie:
Chłop, choćby umiał czytać, księdzem nie zostanie,
Urzędnikiem nie będzie, dziedzictwa nie kupi;
A czy jeden piśmienny, z przeproszeniem, głupi?
Rolnik niech umie orać.

Stefan (*do siebie*).

Serce się rozrywa!

Jaka satyra ostra! jaka sprawiedliwa!
I sprostuj tu u ludu wypaczone drogi,
Rzuć kamień na ciemnotę lub na złe nałogi!
Straszna rzecz!

(Do wieśniaka):

No, a teraz, mój kochany wójcie,
Mówcie jak na spowiedzi—o nic się nie bójcie:
Czy dobre wasze życie? czy raczéj mieć insze?
Czy lepsza dla wieśniaka pańszczyzna lub czynsze?

Wieśniak.

Widzi wielmożny panicz... trzeba ruszyć głową.
Dobre i to i owo, złe i to i owo...
Czynsz, byle sprawiedliwy, to każdy go woli;
Lecz jaka sprawiedliwość na nierównéj roli?
Jeden ma same piaski, drugi same gleje,
Jednemu grunt wysuszy, drugiemu zaleje,
A czynsze jednakowe. Gdyby pan poznawał
Każdy szmatek łąk naszych, każdy gruntu kawał,
Byłaby sprawiedliwość, pracują czy płacą.
Są bogaci, ubodzy, dobrzy i ladaco;
A bez dozoru wójta, pańskiéj zapomogi,
Byłby jeszcze uboższym, kto dzisiaj ubogi;
Albo wieśniak leniwy, niepoczciwéj duszy,
Spustoszy kawał gruntu i sam w świat wyruszy.

Stefan.

A jakaż na to rada?

Wieśniak.

Na to trudna rada.
Lepiéj poznać i ludzi, i grunta wypada.
Lat dziesięć będąc wójtem, wiem, że w naszéj włości
Nie trzeba pobłażania, lecz sprawiedliwości:

Wymagać od nas pracy, dać nam dosyć chleba,
A gdzie warto pokarać, to i karać trzeba;
A zresztą, przebacz panie, że wieśniak pobredzi:
Częściéj panom i chłopom chodzić do spowiedzi.

Stefan.

Dzięki ci, dobry wójcie! teraz to już mogę
Zrozumieć mego celu pożyteczną drogę.
Rozpatrzę i zrozumiem z blizka i z daleka
Każdy morg naszéj ziemi, każde serce człeka;
Gdzie przyjdzie świadczyć łaskę, wyświadczę ją szczere,
Gdzie idzie sprawiedliwość, ściśle ją wymierzę;
Przyłożę bratniéj ręki—a wtedy, mój bracie,
Korzyści oświecenia i swobód poznacie,
I odrodzi się w Bogu gromada wioskowa.

Wieśniak (*do siebie rozrzewniony*).

Jakie to złote serce!

Stefan (*do siebie*).

Jaka mądra głowa!

(*Głośno*):

Chcę za twoją poradą iść daléj a daléj.

(*Ściska go*).

Wieśniak (*cofa się z pokorą*).

Jam niegodzien téj łaski.

Służący (*wchodząc*).

Goście przyjechali.

SCENA DRUGA.

PODKOMORZY, ANNA (*wchodzą — potém*) SĘDZINA, SĘDZIA, STEFAN. (*Wieśniak cofa się cichaczem*).

Sędzina (*wychodząc naprzeciw gości*).

Jak łaskaw podkomorzy, że o nas pamięta!

Podkomorzy *(z gracyą całując jéj rękę).*
A mości dobrodziejko! to powinność święta,
Obowiązek... powinność... prawdziwe rozkosze...
(Przedstawia Annę):
A to jest moja córka—przypomnieć ją proszę.

Sędzina *(ściskając Annę).*
O! pamiętam, pamiętam, chociaż jeszcze małą.
A jakże to urosło! jakże wyładniało!
Ci rosną, ci starzeją, to już koléj taka.
(Przedstawia Stefana):
Mój syn Stefan.

Podkomorzy.
Pamiętam, pamiętam chłopaka.
Jak wyrósł! jak wypięknial w naukowéj pracy!
(Podczas następnego powitania Stefan i Anna podają sobie ręce i rozmawiają z cicha w głębi sceny .

Sędzia *(wybiegając ściska Podkomorzego).*
Kopę lat, panie Janie!

Podkomorzy.
Och! panie Serwacy,
Kopę lat z procentami, a może i dłużéj!

Sędzia.
Jakże zdrowie?

Podkomorzy.
Jak zdrowie?

Sędzia.
Pomalutku służy.

Podkomorzy.
A ze mną źle, mój sędzio. Gdy cierpieć się zdarzy
Ty wiesz, że się nie pieszczę, nie dbam o lekarzy;
Ale tu gorzéj jeszcze: bo moja obora,

Czy uważasz, mój sędzio? na księgosusz chora.
Krowy nie dają mleka: pomału, pomału,
Na nich ginie mój prawny procent z kapitału.
Dziesięć od sta na miesiąc, czyż nie słuszna skala?
Tymczasem jedno bydlę z nóg mi się obala,
Drugie nie daje mleka, a innym na leki
Muszę jeszcze kupować lekarstwa z apteki,
Tak, że cała obora, co niemało warta,
Daje cztery procenta, lub czasem półczwarta.

Sędzia.

Tak... księgosusz... księgosusz... zaraza ze Wschodu.
Lękać się gorszych rzeczy mam wiele powodu:
Bo na wiosnę, gdy wojsko poruszać się zacznie,
To nam dżumy, cholery naniesie nieznacznie.
Pamiętasz, we trzydziestym...

Podkomorzy.

A któż nie pamięta?
Lecz na cóż ten ruch wojska?

Sędzia.

Wojna rozpoczęta!
Nic nie wiesz... Hiszpan, Francuz i sułtan już w lidze,
Politykę angielską, jak na dłoni, widzę;
Włosi zburzyli Alger,—a Ibrahim basza
Niby to nie uważa, niby nie przestrasza,
Ale ma dobre oczy, krzywd nie zapomina;
A Gibraltar, mospanie, to dobra zwierzyna,
O! dobra! jéj nie sposób skryć w torbę borsuczą.

(*Z cicha*):

A u nas incognito Persowie się włóczą;
Spytaj Żydków.

(*Podaje mu gazetę*).

Przeczytaj, pokombinuj zdrowo.

Podkomorzy (*niedbale przerzucając gazetę*).

Och, stary zapaleńcze z przewróconą głową!
Wojna... kto dzisiaj wojnę wypowiadać pocznie?
Świat praktyczny: narody poznały widocznie,
Że wojna to zabytek dawniejszego szału,
Procentu nie wypłaci, bierze z kapitału,
Bierze ręce od pracy, bierze grosz z skarbony,—
Wygrał, przegrał, a strata dla obojéj strony.

Sędzia.

A równowaga świata?

Podkomorzy.

Właśnie równowaga:
Każdy, myśląc o sobie, drugim dopomaga;
A handel, a rolnictwo, a przemysł, a praca,
Każdy kraj swój kapitał najszparciéj obraca,
A gdy obraca szybko, od sta bierze trzysta,—
To już i kraj ościenny koniecznie skorzysta.
Braterstwo, które głoszą rozmarzone głowy,
To jest prosty, mój sędzio, interes handlowy.
Polityka w téj mierze proste ma pochopy,
By procentować wspólne siły Europy.

Sędzia.

Gadasz, jak znasz, sąsiedzie... handel, wielkie święto!

(*Tryumfalnie*):

A w Marokku już porty handlowe zamknięto,
Anglik już się pokłócił z tamtym wielkorządcą,
Włosi Alger zdobyli...

Podkomorzy.

Ach! jak tu gorąco!
Wyjdziem sobie na ganek... bo to czasu strata.
Trzeba dobrze używać choć krótkiego lata.

Tam chłodniéj pod drzewami... brzydzę się upałem;
I twojéj gospodarki dawno nie widziałem,
A ty wiesz, ja to lubię... to moje zadanie.
Idźmy, panie Serwacy.

Sędzia.

Idźmy, panie Janie!

(*Kłaniają się ceremonialnie we drzwiach i odchodzą*).

Podkomorzy.

Padam do nóg sąsiadki!

Sędzina.

Idźcie państwo sobie,
A ja skromny tymczasem podwieczorek zrobię.

(*Odchodzi innemi drzwiami*).

SCENA TRZECIA.

STEFAN i ANNA.

Stefan.

Anno!

Anna.

Panie Stefanie!

Stefan.

Ja jak we śnie roję,
Sam nie mogę uwierzyć w własne szczęście moje!
Gdym sądził, że na długo z sobą się rozstaniem,
Gdy mi dom rodzicielski stawał się wygnaniem,
Kiedym nie śmiał do ciebie pisać bez twéj woli,
Gdym z tęsknoty po tobie usychał powoli,—
Wczora najniespodzianiéj powiada mi matka,

Żeś ty tutaj przybyła, żeś nasza sąsiadka,
A dzisiaj ciebie widzę, dziś z ust twoich słyszę,
Że miłe twemu sercu wioskowe zacisze.
Gdy znikła twéj zmienności dręcząca obawa,
Kiedy przestałem wątpić...

A n n a.

Bo nie miałeś prawa.
Za cóż krzywdzisz niewiarą?... Stefanie, Stefanie!
Od czasu, kiedyś postrzegł moje przywiązanie,
Od czasu, kiedyś wyznał, że kochasz wzajemnie,
Czyż miałeś kiedy powód niekontent być ze mnie?
Czyż widziałeś, ażeby ktokolwiek z młodzieży
Choć chwilkę zajął serce, co tobie należy?
Powiedz...

S t e f a n.

Tak... lecz odległość, ale czas niemały
Ostudza w sercu kobiet najtkliwsze zapały.
Tyś piękna — mogłaś znaleźć wielbicieli krocie;
Tyś kobieta — więc mogłaś zmienić się w istocie.
Opuszczała mię wiara i męzka odwaga.

A n n a.

Czas i przestrzeń prawdziwe przywiązanie wzmaga.
Gdyśmy razem, to czasem i fraszka oziębi,
Nie czujemy wzajemnie całéj uczuć głębi,
I w kochanéj istocie, choć się szczerze kocha,
Nawet i wady jakiéj znajdujemy trocha.
Lecz straciwszy... straciwszy... to zaraz w rozpaczy
Cały ogrom téj straty smutno się zobaczy;
A świat, niegdyś tak piękny, najmilsza zabawa,
Czémś się takiém bezbarwném, takiém nudném stawa,
Że chciałoby się uciec i odwrócić oczy.

A tutaj tyle wspomnień dawniejszych otoczy,
Głowę takie bolesne porównania gniotą!
Żyło się dwojgiem życia — dziś jestem sierotą!

Stefan.

Zawsze jedna... ta sama, szlachetna i wzniosła,
Zawsze sercem do dawnych pamiątek przyrosła...
Tęskniłaś...

Anna.

Wy mężczyźni macie insze życie:
Wy pracą próżnię życia zająć potraficie,
To umysł zatrudniony, to ruch krzepi ciało;
A kobieta w tęsknocie zawsze jest schorzałą.
Powolna ręczna praca umysłu nie trudzi;
Chcę się książką rozmarzyć, i tam spotkam ludzi,
Jednych nudnych, jak żywi egoiści drobni,
Drudzy zda się, że do nas z zapału podobni,
Ale oni szczęśliwi, oni byli razem, —
I znowu własnych wspomnień łudzim się obrazem.
Książka nam targa serce, ale nie nasyca.
Szczęśliwsza wasza praca myśl urozmaica.
Pracowałeś, Stefanie?

Stefan.

O, tu pracy wiele!
Tu mam możność rozwinąć moje wyższe cele.
Ojciec oddał mi rządy, rządy staréj daty:
Wieśniak ubogi duchem, choć dosyć bogaty;
Domy ich opuszczone, stodoły bez dachu,
Przywykł nędzarz do dawnéj groźby i postrachu;
Odurzony, nie czuje, gdy ma kawał chleba,
Że może wyjść z niedoli, że wyjść z niéj potrzeba.

A n n a.

Tak u nas prawie wszędzie... biedny stan nędzarza.

S t e f a n.

A ćo mię bardziéj jeszcze smuci, upokarza,
Że muszę tylko z wolna ład wyniszczać stary.
Tu potrzeba zachęty, potrzeba ofiary,
Groszem, dobrym przykładem trzymać ich na wodzy;
A my nie mamy grosza, my bardzo ubodzy,
Interesa zwikłane dźwigać się nie mogą,
Serce każe iść inną, prawo inną drogą;
A ja tak mało umiem, bo tylko z idei,
I potrzeb mego ludu i prawych kolei.

A n n a.

Biedny, biedny Stefanie, jak ci tu mozolnie!
Przyjeżdżaj często, często! radzić będziem wspólnie:
Dwie głowy i dwa serca, gdy się w radę złożą,
Może coś obmyślimy za pomocą bożą;
A przynajmniéj na sercu będzie nam weseléj,
Kiedy się każda przykrość na dwoje rozdzieli.

S t e f a n (*biorąc jéj rękę*).

O! tegom się spodziewał po twéj pięknéj duszy.
Czuję dziś, że dłoń moja i skały pokruszy.
Wezmę z twego natchnienia czyny niezachwiane,
I ojcu, i ludowi pomocnym się stanę.
Natchnienia mi potrzeba — tyś natchnieniem mojém.

G ł o s P o d k o m o r z e g o (*za sceną*).

Mówisz sędzio za wojną, a ja za pokojem.

G ł o s S ę d z i e g o.

Wojna, koniecznie wojna wybuchnie na lato.

Głos Podkomorzego.

Procent od sta tysięcy wyliczyłbym za to;
Ale wojny nie będzie: godzą się narody,
Światu potrzeba handlu, a handlowi zgody,
A koleje żelazne...

Głos Sędziego.

A w Algerze klęski.

Głos Podkomorzego.

A okręty parowe...

Głos Sędziego.

A traktat wiedeński!

(Wchodzą zaperzeni).

SCENA CZWARTA.

CIŻ, *oraz* PODKOMORZY *i* SĘDZIA.

Podkomorzy.

A przymierze handlowe!

Sędzia.

Cóż *Kuryer* ogłasza?

Podkomorzy.

Anglicy cła już znieśli!

Sędzia.

A Ibrahim basza!

Podkomorzy.

A na giełdzie paryzkiéj procent się podnosi
W skutek wieści z Algeru...

Sędzia *(z gniewem).*

Bo w Algerze Włosi!

Podkomorzy (*z gniewem*).

Bałamuctwo!

Sędzia.

Nieprawda, nieprawda, albowiem...

Podkomorzy.

Ja za niegrzeczne słowa z procentem odpowiem.
Nieprawda!... kłamstw żydowskich nie noszę w za-
[pasie.

Sędzia.

Lecz nie znasz się na rzeczy.

Podkomorzy.

A jegomość zna się!

Sędzia (*ukazując Podkomorzego*).

Głęboki mi polityk!

Podkomorzy (*ukazując Sędziego*).

Uczeń Metternicha!

SCENA PIĄTA.

CIŻ *i* SĘDZINA (*za nią wnoszą podwieczorek*).

Sędzina.

Panowie! zamiast wojny lepsza zgoda cicha.
A czy się ludzie kochać, czy bić będą srodze,
Nie zawadzi malutka przekąska po drodze.

Podkomorzy (*opamiętywa się*).

Sąsiadko dobrodziejko, o! to tylko żarty;
Ależ mężulek pani, jak kozieł, uparty,
Chce koniecznie wojować.

Sędzia (*opamiętywa się*).

Chcę prawdy i kwita.

Podkomorzy.

Prawdę znajdziem w kielichu... przednia okowita!
Nalej waszmość i przepij... to gawęda pusta.

Sędzia *(nalewa i przepija z uśmiechem).*

W nieomylne rączęta!

Podkomorzy *(z ukłonem).*

W niezawodne usta!

(Pije).

(Do Stefana, zajadając):

Bardzo, bardzo winszuję, panie kawalerze!
Wybornie procentuje, kto tak rzeczy bierze.
Niedawno gospodarzysz na ojcowskim dworze,
A już się znacznych odmian nie widzieć nie może.
Dachy ponaprawiane, które dawniéj cieką,
Uprawa waszych gruntów dziś lepsza daleko.
Pracuj na swoim gruncie, pracuj na swéj strzesie,
A ziemia niezawodny procent ci przyniesie.
Prawda, że nie tak prędko kwiat wyda nasiona:
Fortuna wcale dobra, ale opuszczona,
Bo mój szanowny sąsiad, niech mi rzec pozwoli,
Dobry do bitwy z Turkiem, ale zły do roli.
Lecz dopomagać ojcu obowiązkiem świętym —
Młodość jest kapitałem, a czyn jest procentem...
Wasz Stefan z moją Anną znajomi od dawna.
Wczoraj mi powiedziała.

Sędzina.

Wczoraj nam powiedział.

Podkomorzy.

Jak to zbiegną się ludzie, mimo miejsca przedział!...
Ale wiecie co, dzieci? tracić czasu szkoda:

Na dworze taka jasna i piękna pogoda,
Wy pewno coś powiedzieć sobie mieć musicie
O dawniejszych znajomych, o wspólnym pobycie, —
Przejdźcie się po ogrodzie — a my tutaj starzy;
U nas o innych rzeczach zwyczajnie się gwarzy,
Mam ja tu z panem sędzią interesa duże.

Anna.

Dobrze, ojcze, pójdziemy.

Stefan.

Chętnie pani służę.

(Odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

SĘDZINA, SĘDZIA *i* PODKOMORZY.

Podkomorzy *(wstaje i zamyka drzwi tajemniczo).*

Sąsiedzi dobrodzieje! zdziwicie się może,
Gdy wam niespodziewanie myśl moją otworzę;
U mnie tak: co się myśli, mówi się i czyni.
Bo myśl niedokonana, to martwy grosz w skrzyni,
Kapitał bez procentu, dobra bez intraty,
Co chwila narażone na zupełne straty.
Więc prosto i do rzeczy... Wszak prawda, sąsiedzie,
Że ci się w Pustopolu nieszczególnie wiedzie?

Sędzia.

Ej, prawda!... lecz cóż daléj?

Podkomorzy.

Grunt i dobry może,
Lecz strasznie zapuszczony, nie rodziło zboże.

Sędzia.

Tak, nie rodziło zboże—to mi każdy przyzna;
Lecz wiosną będzie wojna, a w wojnie drożyzna.

Podkomorzy.

Co tam wojna czy pokój! myśl, jak się podoba,
Ale starość nie radość—czujemy to oba.

Sędzia.

Smutna prawda... lecz starość idzie swoją drogą.

Podkomorzy.

A jużci na fortunie i dłużki być mogą?

Sędzia (*obrażony*).

Proszę się nie frasować.

Podkomorzy.

Nie udawaj zucha!
A Żyd ciebie okrada, chłop ciebie nie słucha;
Źle, bracie... krucha sprawa... zaginiecie w nędzy.

Sędzia.

Mam syna, niech pracuje...

Podkomorzy.

Potrzeba pieniędzy,
Potrzeba doświadczenia, w działaniu swobody,
A bez tego wszystkiego zmarnuje się młody.
Zostawisz mu fortunę—nie gniewaj się, proszę—
Co będzie jedno z drugiém niewarta trzy grosze.
Szkoda czasu, młodości... Widziałem, widziałem:
Onby sobie dał radę z jakim kapitałem,
Włość go poczęła kochać, a to wiele znaczy,
Inszy wiek, dziś i z chłopem trzeba być inaczéj.
Ja sam do filantropów wielkich nie należę,
A jednak pielęgnuję te idee świeże,

Mój poddany mię kocha—mądrość niedaleka:
Daj krówce więcéj siana, będzie więcéj mleka.
Nasz chłop, to jest kapitał, procent—jego praca;
Niechże mi się największym procentem wypłaca.
Tu wszystkie środki dobre—niech świat co chce głosi:
Chłop chce wódki—daj wódki, to za trzech ci skosi.
Żyd nie w tém zły, że chłopa rozpaja, jak zwierzę,
Ale że nasze zyski sam do siebie bierze.
Na co ma naszą własność ujarzmiać po mału?
Ja nie mam Żyda w karczmie, bo nie chcę podziału.

Sędzia.

Tak... trochę masz słuszności; lecz dokąd to wiedzie?
Prawda, żem zubożony...

Podkomorzy.

Czekaj, mój sąsiedzie!
Nie trzeba załamywać rąk bardzo żałośnie.
Twój kapitał niszczeje, ale procent rośnie:
Masz syna, co pracować i chciałby, i może,
Masz wioskę, kawał lasu i niezgorsze zboże,
Masz więc przyszłość przed sobą—to już znaczy wiele;
Tylko nie masz pieniędzy... ja ci ich udzielę.

Sędzia (*zrywa się radośnie*).

Ty dałbyś nam pieniędzy?... panie podkomorzy!

Podkomorzy.

Nie daję bez procentu — procent się ułoży.
Zyskać na każdéj rzeczy to moje systema;
Zysk moralny, pieniężny—tu różnicy nie ma.
A gdybym własnych zysków nie miał na uwadze,
Pewniebym nie poradził, co teraz wam radzę.
Jestem stary—a syna nie dały mi Nieba;
Mam jeszcze bystre oko, lecz mi ręki trzeba.

Gospodarstwo upada, co rok procent znika...
Och! trzeba mi koniecznie, trzeba pomocnika.
Wasz syn Stefan, to chłopak z rozumem, z zapałem;
Takiego właśnie dostać pomocnika chciałem,
Co to ręce młodzieńcze, dusza nieskażona,
Co ja głową pomyślę, on czynem wykona.
Lecz cóż? kiedy mu powiem: Mój panie Stefanie,
Dam ci stół i usługę, światło i mieszkanie,
Dam ci rocznéj zapłaty na tyle a tyle, —
To pewno, że w rachubach moich się pomylę.
On powie: Mnie to na co? i wzgardzi ofiarą;
Ja mam starego ojca, ja mam matkę starą...

(*Kłania się sędzinie*).

Przepraszam cię, sąsiadko... Lecz niechaj pamięta,
Że w kapitale życia wzrastają procenta.
Kobiety zawsze młode i zawsze są hoże;
Lecz Stefan mnie na przekor powiedzieć tak może.
A zresztą miałby słuszność: po co drugim służyć?
Lepiéj w domu swéj pracy i zapału użyć,
Lepiéj na własnéj miedzy choćby tracić siły,
Niźli jeść chleb służebny, nikomu niemiły.
A zresztą, gdyby moje i podzielił zdania,
To... możeby...

(*Zakłopotany*).

korzystał z mego zaufania.

Sędzia.

Co! onby cię okradał?!

Podkomorzy.

Ale mówmy szczerze:
Wszyscy jesteśmy ludzie—sam sobie nie wierzę.
Zresztą, drodzy sąsiedzi, po długiéj rozwadze,
Widzę, że ze Stefanem już nic nie poradzę...

Wtém, patrzcie co za radość! jak mi było słodko!
Wraca Anna, co w mieście bawiła się z ciotką,
Mówi o swych znajomych, i jakoś niechcąca
Imię syna waszego przypadkiem natrąca.
Panienka pokraśniała—na razie-m ją schwytał.
Nie wiem, czy to jest procent, czy to jest kapitał,
Ale coś jest... z gawędy dośledziłem trocha,
Że już się nasza dziatwa nie na żarty kocha.
Kapitał! myślę sobie... chwytajmy co prędzéj!
Mnie trzeba pomocnika, sędziemu pieniędzy,
Skombinujem te rzeczy; więc tutaj dziś jadę.
Widzę, chłopak, jak może, daje sobie radę,
Dwór naprawił, grunt usiał, dał rów aż do lasu,
Coś za wojną turecką dojrzeć nie miał czasu;
Włość do siebie przywiązał—to chwalę, to chwalę;
A cóż gdyby na większą gospodarzył skalę?
Rzucił myśli postępu, co w głowie się roją?
Gdyby moją fortunkę uważał za swoją?
To i zdoła pomnożyć mój dochód ubogi,
I fortunkę ojcowską postawi na nogi.
Trzeba tylko dać czasu rok, drugi, czy trzeci...
Wiesz co, panie Serwacy?—żeńmy nasze dzieci.

Sędzia i Sędzina.

Co mówisz, podkomorzy?

Podkomorzy.

Sprocentują skoro;
A tam po naszéj śmierci niech wszystko zabiorą.
Lecz dopókiśmy żywi, dopókiśmy zdrowi,
Z rąk niech patrzą, bo wszystko przehulać gotowi.
(*Do Sędziego*):
Cóż? zgoda?... Nie poglądaj taką długą twarzą.

Sędzia (*zakłopotany*).

A jak wojna na wiosnę—do wojska pójść każą.

Podkomorzy.

Znów wojna! wszak mówiłem: dziś być niepowinna.

Sędzina.

A jeżeli ich miłość, to tylko dziecinna?

Podkomorzy.

Ech! co tam psuć interes chwilową gawędą!
Jak my rodzice każem, to kochać się będą.
Tu zobopólna korzyść, tu współka handlowa:
Jego młodość i ręce, a mój grosz i głowa.
Pókim żyw, nic mu nie dam—ma sam kawał chleba,
Lubię grosz, i mnie grosza na obrót potrzeba,
Tylko mu coś pożyczę, choćby z serca bolem,—
Naturalnie, zaręczysz twojém Pustopolem;
Procent wypłaci z góry,—jak zajmie się szczerze,
Sam z wioski ulepszonéj procenta wybierze.
A po śmierci, gdy wszystko odziedziczy w spadku,
Będzie miał dwa majątki i żonę w dodatku.
Cóż, mój sędzio, czy zgoda? Dobijmy rzecz naszą,
A potém sobie wojuj z Ibrahimem baszą.

Sędzina (*z czułością*).

Szanowny podkomorzy, patrz, to łzy pociechy.
Przyjeżdżasz świadczyć łaskę do ubogiéj strzechy,
Oddajesz Stefanowi ukochane dziecię,
Rozszerzasz jego pole działania na świecie.
Lecz serca się nie ważą na handlowéj szali,—
Kto wie, czy się doprawdy oni pokochali?
Może to urojenie, może nam się zdaje:
Trzeba przeznać ich serca, skłonności, zwyczaje.
Jeśli oni, szanując nasze lata stare,

Zechcą spełnić życzenia tylko przez ofiarę
I dla naszych urojeń zatruć przyszłą dolę,—
Czyńcie sobie, co chcecie, a ja nie pozwolę,
I pomimo warunki sąsiada korzystne,
Raczéj prostą wieśniaczkę, jak córkę, uścisnę.

Podkomorzy.

Sąsiadko dobrodziejko! więc jakaż tu rada?

Sędzina.

Nic nie mówić, a śledzić ich serca wypada.
Wszakże to niedaleko, kochany sąsiedzie:
To wy tu przyjedziecie, to on tam przyjedzie;
Przypatrzy się, oceni jedna strona drugą,
Trzeba nieco poczekać.

Podkomorzy.

Byleby niedługo;
Szkoda czasu na zwłoki—bo czas, to rzecz święta:
Praca, młodość i miłość niech dają procenta.
(*Do Sędziego*):
No Sędzio, cóż powiadasz o naszym zamiarze?

Sędzia.

To rzecz dyplomatyczna—ściślej ją rozważę.
Po najlepszych traktatach zwykła bywać sprzeczka;
Ot na przykład...
(*Słychać pukanie do drzwi*).
A kto tam?
(*Otwiera*).

SCENA SIÓDMA.

CIŻ, STEFAN *z listem i* ANNA.

Sędzia.

Posłaniec z miasteczka?

Są gazety?

Stefan.

Nie przywiózł.

Sędzia.

To skaranie boże!
Anglicy dotąd weszli na Czerwone morze,
Włoskie działa już pewno grzmocą na Saharze,
A redaktor gazety miesiąc czekać każe.
Dowiedzieć się aż w miesiąc—piękna mi nowina!

Stefan.

Ale pan Kałamarski prosi i zaklina,
Abyś, ojcze, przyjeżdżał w jak najprędszym czasie.

Sędzia *(zmieszany, do siebie).*

Zła sprawa!... dług bankowy... jakoś zrobić da się.

(Do Stefana):

Odpisz mu, że przyjadę...

(Do siebie):

Hm!... sprawa niemiła...

(Do Stefana):

A zapytaj, dla czego gazet nie przysyła?

Podkomorzy.

Kiedyż jedziesz?

Sędzia.

Pojutrze.

Podkomorzy.

A i ja tam będę.
Pamiętaj, odnowimy dzisiejszą gawędę.
Teraz żegnam, sąsiadów! niedługie rozstanie.

Bądź zdrów, panie Serwacy!

Sędzia.

Bądź zdrów, panie Janie.

AKT TRZECI.

Wnętrze oberży w miasteczku; drzwi na prawo i na lewo oznaczone numerami. W głębi gospodarz woła w okno za kulisę.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ, *potém* PODKOMORZY, ANNA *i* SŁUŻĄCY.

Gospodarz.

Proszę jasnego pana, niech pan tu zajedzie:
Jest piwo, owies, siano, obwarzanki, śledzie,
Cukier, kawa, herbata, jest mleko, są sery,
W całém mieście pan takiéj nie znajdziesz kwatery.
Proszę jasnego pana!

(*Wybiega i wprowadza Podkomorzego i Annę, za nimi wnoszą paki podróżne*).

Podkomorzy.

Pewnie wszystko drogo.

(*Idzie do drzwi na prawo*).

Gospodarz.

Nie, ten numer zajęty. Tu nie masz nikogo.

(*Wskazuje na lewo*):

Tu stanął z Pustopola pan sędzia Nowina.
Daj Boże jemu zdrowie—nas nie zapomina.
Bo zawsze tu zajeżdża każdy pan wielmożny,

Pan marszałek, pan prezes, pan deputat drożny,
Pan Kociuba, podsędek z Wysokiego Sioła...

Podkomorzy.

A jestże w domu sędzia?

Gospodarz.

Wyszedł do kościoła;
Jest tylko syn sędziego, co się Stefan zowie,—
Jaki to dobry panicz! daj mu Boże zdrowie!

(Do służącego):

Ot tutaj, mój kochany, ot tu paki wnoście.
Trochę nie zamieciono--wyjechali goście—
Ale to nic... ot tutaj.

Podkomorzy *(patrzy na zegarek).*

Godzina dwunasta.
Rozgość się, moja Anno, ja idę do miasta.
Pilnuję pana Szmula—zguba na człowieka!
Kapitału nie płaci i procenta zwleka.

(Wychodzi przez głąb sceny. Anna, za nią służący idą do drzwi na prawo).

Gospodarz *(do siebie).*

Dwóch ludzi, cztery konie... o! to nie hołota!
Lubię, gdy takie państwo zajeżdża przed wrota:
Można coś utargować, liczyć na intratę,
Za owies, siano, mleko, cukier i herbatę.
Tylko, że ten pan Leszczyc skąpy nadzwyczajnie:
Ma rozum... Pójdę teraz pokazać im stajnie.

(Odchodzi).

SCENA DRUGA.

STEFAN, ANNA *(wbiegają każde z przeciwnych drzwi).*

Stefan *(z radością).*

Czy wiesz?

Anna.

Czy wiesz Stefanie? niespodzianka miła:
Powiadał mi mój ojciec...

Stefan.

Mnie matka mówiła.

Anna.

Lecz cicho...

Stefan.

Pod sekretem.

Anna.

Niby to nie wiemy...

Stefan.

Oni chcą nas połączyć... dla jakiéjś systemy,
Dla jakichś tam widoków...

Anna.

Klękam przed rozkazem.
To najlepsze systema, że będziemy razem.
Cieszysz się?

Stefan.

A ty, Anno?

Anna.

Czyż pytać potrzeba?
Nie śmiałam nawet o to modlić się do Nieba,
Nie śmiałam się spodziewać, by rodzice starzy,
Aby ojciec, co ciągle o majątku marzy,
Zechciał zmienić o tobie swe zdanie surowe...
A widzisz, co to znaczy mieć serce i głowę,
Takie, jak ty posiadasz—to każdego wzruszy.

Stefan.

Dla tego, żem twéj pięknéj podobał się duszy,
To myślisz, że mój widok wszystkich już pokona?

Mam serce, sam to czuję—lecz głowa szalona,
Przed chwilą mi krążyła od licznych kłopotów,
Teraz od zbytku szczęścia umierałbym gotów.
Chwieje się słaba głowa przy każdéj odmianie,
Krew mi do niéj uderza...

Anna.

To źle, mój Stefanie!
Na nowém stanowisku trzeba krew mieć chłodną,
Serce wolne od wzruszeń, a głowę swobodną,
Nie wpadać w uniesienia, te zawsze dziwaczne...
Słuchaj!.. jak będę twoją, to zrzędzić ci zacznę.
Siadaj! zagraj przede mną twoich reform rolę.
Dziś twój ojciec na ciebie spuścił Pustopole,
A wkrótce... wraz po ślubie... naszych Zajezierzy
Mój ojciec pełnomocny zarząd ci powierzy.
Będziesz u nas najpierwszą parafialną głową,
Stefana jasnym panem w miasteczku nazową;
To mnie cieszy, to w uchu jakoś brzęczy ładnie, —
A tytuł jasnéj pani wszak i na mnie spadnie.
Więc od czego poczynasz twoją jasną władzę?

Stefan.

Najprzód po wszystkich wioskach szkółki zaprowadzę;
Bo młodzież, która nowych czasów się doczeka,
Co ze stanu niewoli ma przejść na człowieka,
Więcéj powinna umieć.

Anna.

To dobrze, a potém?

Stefan.

Pocznę szczerzéj pracować nad ich sercem złotém,
Wytępiać złe nałogi, nie przez groźbę kary,

Ale drogą miłości, ufności i wiary;
Tak—wiary, droga Anno, bo lud u nas wierzy.

Anna.

A mnie pozwól, bym dziatwę uczyła pacierzy.
Sprowadzę im obrazki, zbiorę me słuchacze,
I każdego obrazka treść im wytłómaczę;
Czytać im będę książki, dla ludu pisane,
Naszemu organiście pomocną się stanę...
Cóż potém?

Stefan.

O! szerokie, szerokie me plany.
Twój ojciec, przemysłowym zabiegom oddany,
Kapitały i procent dopatrując wszędzie,
Ma kmiotka nie za człeka, ale za narzędzie.
I mój ojciec tak samo, choć ceni człowieka,
Na oświatę ludową straszliwie narzeka.
Słuchaj, aż ci bolesno! mówią jak bluźnierce;
Lecz myślisz, droga Anno, że to przez złe serce?
Nie... lecz drobiazgowemi zajęci rachuby,
Moralnéj i pieniężnéj lękają się zguby;
Nie widzą, że chłop większe przyniesie im plony,
Gdy będzie z niewolnika sąsiad oświecony.

(*Podczas téj rozmowy wchodzą Sędzia i Podkomorzy. Podkomorzy wskazuje ze śmiechem zadowolenia młodą parę, daje znak Sędziemu, i obaj się rozchodzą, każdy do swéj izby*).

Anna.

A jakże ich przekonać? jak walczyć z narowem?

Stefan.

Powoli a nieznacznie, przykładem i słowem.
Tylko przez wolną pracę w całéj Europie
Stanęło dziś rolnictwo na olbrzymiéj stopie;

Tylko z użyciem machin i tylko z oświatą
Można dziś niwę naszą uczynić bogatą:
Ulżywszy rękom ludzkim przez nowe narzędzie,
Do innych prac ziemiańskich więcéj rąk przybędzie;
Gdy osuszą się bagna, ulepszą pastwiska,
To na skarbie wioskowym — na trzodzie się zyska.
Wół, towarzysz rolnika, koń, jego ozdoba,
Co dziś zniedołężniały, pokarlały oba,
Przy większéj troskliwości, przy obfitszéj paszy,
Trzykroć większe ciężary dźwignąć się nie straszy.
Lecz niewolnik w pustyni, w pocie swego czoła,
Potrzeby téj odmiany i uczuć nie zdoła.
Pan jego, a on trzody swojéj nie oszczędza, —
Tak idzie w pokolenia ciemnota i nędza.

Anna.

Jakże temu zaradzisz?

Stefan.

Chcąc życie dać insze,
Opiszę kilku włościan w przyzwoite czynsze,
Nie dam im zapomogi, lecz tylko swobodę,
I młodszych moich braci za rękę powiodę.
Wszczepię w serca moralność, czytać ich wyuczę,
Prawdziwego postępu do ręki dam klucze.
Gdy będą oświeceni, gdy będą bogaci,
Gdy pan to na nich zyska, co na innych traci,
Ukażę porównanie — niech sam ojciec przyzna:
Czy lepsza wolna praca, czy lepsza pańszczyzna?

Anna.

O! jakże się ja wtedy szczęśliwą nazowę,
Gdy złożysz na me ramię spracowaną głowę,

Będziesz mi opowiadał każdy zamiar skryty,
Każdą myśl, co ci przyjdzie, każdy trud przebyty...

Stefan (*kładzie głowę na jéj ramieniu i mówi daléj*).

Każdą troskę, co spotkam, pełniąc me zadanie,
A która wtedy dla mnie troską być przestanie,
I znów opromienieją moje wielkie cele.

SCENA TRZECIA.

CIŻ, SĘDZIA (*wybiega ze swéj izby z gazetą w ręku*), *potém* PODKOMORZY.

Sędzia.

Ratuj mię, panie Janie, bo w łeb sobie strzelę!

(*Stefan i Anna cofają się przerażeni*).

Anna.

Co panu?

Stefan.

Co ci ojcze?

Sędzia.

Panie podkomorzy!

Podkomorzy (*wybiega od siebie*).

Co tam?

Sędzia.

Na, weź, przeczytaj, to cios na mnie boży,
Nagły, niespodziewany... Czytam *Kuryera*,
Wszystko dobrze... widocznie na wojnę się zbiera:
Don Karlos w tarapatach — tylko mnie kłopota,
Że król Filip ministrem mianował Guizot'a;
Pamiętam w przeszłym roku krok jego zuchwalczy,
Lecz to fałsz, myślę sobie—Anglia go zwalczy.
Daléj... dwa włoskie statki skołatała burza,

Jeden już miał się nurzać, drugi się zanurza,
I wszystkoby zginęło na podwodnéj skale,
Gdyby Turczyn pomocy nie dał im wspaniale.
Ho, ho, ho! myślę sobie—to już każdy widzi,
Że się Turcy z Włochami trzymają, jak Żydzi.
Znamy te allegorye,—my nie małe dziatki!
Więc skończyłem gazetę, a czytam dodatki.
Nic ważnego... podrady, sprzedaże, ukazy...
Aż tu na końcu czytam... czytam po dwa razy,
Przecieram sobie oczy—wzrok mię nie omyla.

(*Czyta*):

„Ogłoszenie rządowe. Czwartego Apryla,
„Na mocy polecenia z téj a z téj tam daty,
„Będzie się wyprzedawał w skutek niewypłaty,
„Za dług banku, podatek, za peny, za winy,
„Majątek Pustopole sędziego Nowiny.“
Masz... czytaj, gdy nie wierzysz... O święty Serwacy!
Gdyby Indye Wschodnie wzięli Austryacy,
Takbym się nie zadziwił!.. intrygi widoczne...
I co ja teraz poczne?... co ja teraz poczne?!

Podkomorzy (*zimno*).

Cóż to do mnie należy?... Dług to jest rzecz święta.
Skarb musi mieć kapitał i swoje procenta.
A czemuż nie płaciłeś?...

Sędzia.

Ha! bo trudne czasy!
Licząc, że będzie wojna, chowałem zapasy,
Te późniéj kupił Szloma... kupił za część czwartą.

Podkomorzy.

Bankrut... bankrut widoczny... mówić z nim niewarto.
Zadłużyć się skarbowi! nie zapłacić raty!

A jakież masz sposoby wybrnąć z tarapaty?

Sędzia.

Liczę na twoją pomoc...

Podkomorzy.

Wyliczenie głupie!
Ja lepiéj Pustopole sam dla siebie kupię,
Zalicytuję z młotka, nawet taniéj może,
Kiedy dziesięć procentów na forsę wyłożę.
Choć to wprawdzie lichota—cała w bagnach leży,
Ale będzie przyległa do mych Zajezierzy.
Zakończy się przynajmniéj spór, co nie ustawał,
O ten tam kawał łąki, o ten gruntu kawał.
Biegnę, lecę do miasta...

(Chce odchodzić).

Sędzia *(zatrzymując go).*

Sam wskazałeś drogę.

(Ukazuje nieznacznie Stefana i Annę).

Miałeś swoje projekta.

Podkomorzy.

Nie mogę... nie mogę...
Dać córkę, dać majątek! proszę uniżenie!
Ja nigdy na niepewne pewnego nie zmienię.
Pustopole nie wasze!—w interesach zmiana;
A zresztą—moja córka nie kocha Stefana.

Anna *(podchodzi ku niemu).*

Kocham go, drogi ojcze! Cios, co na nich spada,
Ja całém mojém życiem odwróciłbym rada.
Dopomóż... oni spłacą, wdzięczni ci bez granic.
Ale i moje szczęście czyż uważasz za nic?
Czyż mię wtrącisz do grobu, gdy mi szczęście świta?
Ratuj ich!..

Podkomorzy.

Lecz nie mogę, nie mogę i kwita!
Twoje szczęście... jak każę, to zapomnisz o niém.
Jeszcze ludzie powiedzą, że to my ich gonim.
Nie lękaj się — przeszkodą nie bądź w interesie,
Kapitał twego serca procenta przyniesie.
Jest marszałkowicz Trębosz, jest syn Paliwody,
Jest podsędek Kociuba, choć niebardzo młody,
Jest Alfred, co w Paryżu leczy się tyzanną, —
Nie bój się, moja córko, nie zostaniesz panną.
Wszakże wiesz, ja nie byłem za stadłem bogatém,
Stefan z głową czynniejszy, intratniejszy zatém,
Ja mu nic nie zaprzeczam — lecz dziś zmienne role:
Ja dziś mogę za bezcen kupić Pustopole.
Dług ich pewno niewielki, ale go nie spłacą,
Wszak sami powiadają, że nie mają za co.
Sędzio! waszego długu. a wieleż tam, wiele?

Sędzia.

Cztery tysiące... złotych.

Podkomorzy.

To są bagatele,
Tyle spłacę do skarbu, a przez forsy drogę,
Pustopole za bezcen zlicytować mogę.

Anna.

Cztery tysiące złotych... więc w tak małéj cenie
Leży cały ratunek, całe ocalenie!
A ty, ojcze, się wahasz dźwignąć ich z rozpaczy?
Wszak to fraszka dla ciebie, prawie nic nie znaczy,
Dla nich jest ocaleniem... zostanie ci dłużny.
Ja cię błagam!...

(Klęka).

Stefan.

Nie, Anno, nie chcemy jałmużny.
Mogliśmy się odwołać do uczuć sąsiada,
Odmówił nam, jałmużny żebrać nie wypada.
Nie poniży nas nędza, jak nie olśnią blaski,
Nie prosimy o łaskę i nie przyjmiem łaski.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i SĘDZINA (*wchodzi nagle*).

Wiem wszystko... dziś my biedni, niepodobna rada.
Lecz dzięki ci, mój synu, twój duch nie upada;
Z mocą ducha, wszystkiemu zaradzimy snadnie.
Po sprzedaży majątku reszta nam wypadnie,
Z tą resztą damy radę, weźmiemy dzierżawę,
Pójdziem na cudzym gruncie znosić prace krwawe,
Nie zginiemy, choć w dalsze przeniesiem się strony.

Sędzia (*z rozrzewnieniem*).

Opuszczę wiejski kościoł, gdzie byłem ochrzczony,
Porzucę wiejski cmentarz, ach! cmentarz nieświeży,
Gdzie mój pradziad, gdzie dziad mój, gdzie mój ojciec
[leży,
Gdzie ja sam miałem leżeć; rzucę dach méj chaty,
Który sam zbudowałem przed trzydziestu laty,
Grusze, które szczepiłem, i stare jabłonie...
Lecz, panie podkomorzy, tobie się nie skłonię,
Nie poproszę o pieniądz, bez ciebie przeżyjem.
Bierz sobie Pustopole, a ja pójdę z kijem.

Podkomorzy.

Sąsiadko dobrodziejko! kochany sąsiedzie!
Żal mi was całém sercem, że jesteście w biedzie;
Lecz ponieważ stałego nic nie ma na świecie,
I wy przy waszéj wiosce zostać nie możecie.

Czyż wasze dobre serca gniewać się powinny,
Że ja kupię Pustopól raczéj, niż kto inny?
Wszak ja wam nie wchodziłem i nie wchodzę w drogę,
Ale służyć pieniędzmi — dalipan nie mogę,
Nie mam;—miałem grosz jakiś, wyznaję wam święcie,
Ale to z każdym rokiem ginie na procencie,
Żaden mi nie oddaje, który się zadłuża.
Cztery tysiące złotych — ho! to summa duża.
Pożycz gdzie — zalicytuj, wszakże, według prawa,
Ty, sędzio, masz pierwszeństwo.

Sędzia.

Sąsiad się najgrawa...
Któż mi dzisiaj pożyczy, gdy gruchnęło wszędzie,
Że fortunę mych przodków sprzedają w urzędzie,
Żem nie spełnił, co święty obowiązek wkłada,
Żem nie oddał synowi, com wziął od pradziada?

Stefan.

Pracy mi nie zabraknie na społecznéj niwie,
I sędziwych rodziców mym trudem przeżywię.
Tak... weźmiemy dzierżawę, pójdziem w obce strony,
Jest Bóg w niebie...

SCENA PIĄTA.

CIŻ, *oraz* WÓJT *i kilku* WIEŚNIAKÓW *z Pustopola.*

Wójt.

Niech będzie Jezus pochwalony!

Sędzia.

Na wieki wieków Amen... A czego wy chcecie?

Wójt (*zakłopotany*).

Tak widzi pan wielmożny... różnie bywa w świecie...
Szczęścia... jak mówią ludzie... nie związać powrozem:
Dzisiaj człowiek na wozie, a jutro pod wozem.

Nikt na świecie nie zgadnie, jakie sądy boże,
A nieszczęście każdemu przytrafić się może.

Sędzia.

Do czegoż ta przedmowa?

Wójt.

Widzi pan wielmożny,
Chciałbym się o coś spytać... ale jestem trwożny,
Może pan się zagniewa, że się pytam o to...
Może ludzkie języki nie wiedzieć co plotą.

Sędzia.

Cóż przecię?...

Wójt.

Otoż mówią, z przeproszeniem pana,
Że nasza podatkowa rata nieoddana,
Cośmy ją panu wnieśli z wiosny na początku,
Że jakiś dług bankowy ciąży na majątku,
Że... niech się pan nie gniewa...

(*Do drugiego:*)

No, kończże, sąsiedzie!

Drugi Wieśniak.

Że majątek sprzedadzą... a pan ztąd odjedzie.

Sędzia (*z boleścią do obecnych*).

Już i im moja smutna niedola wiadoma!

(*Do wieśniaków:*)

Któż wam o tém powiadał?

Wieśniacy.

Powiadał nam Szloma;
On to nas zawiadomił, powróciwszy z miasta,
I wiele tego długu, i za co narasta.

Sędzia (*z boleścią*).

Tak, prawda, moje dzieci! Te lata, złe lata,
Ciążyła mi na głowie niejedna wypłata,

Więc wziąłem wasz podatek, karmię się nadzieją,
Że wiosną będzie wojna, zboża podrożeją,
A zboża było mało, nie rodziło pole,
Sami wiecie, że pustka...

Wieśniacy.

Ej, pustka w stodole!

Sędzia.

Przeszedł termin podatków, rośnie sztraf po sztrafie,
Widzę dobrze, że z biedy wybrnąć nie potrafię;
Chciałem gdzieś grosz pożyczyć, odmówiono wszędzie;
Może wy się lękacie, że wam co ubędzie,
Że wam znów przyjdzie płacić? Nie, was nic nie spotka.
Majątek mój sprzedadzą z publicznego młotka,
Pójdę z torbą i kijem, — ma stać, niech się stanie.

Wójt.

Czyż do tego już przyszło? — Oj, panie nasz, panie
Wszakże to w naszym dworze wy z wieków ci sami,
Dziady nasze mieszkały pod twymi dziadami,
Ojce pod twoim ojcem — niech mu Niebo świeci!
My pod tobą pracujem, a dla naszych dzieci
Miał panicz być pociechą... O, to zacna dusza!
Szkółkę dla nich zakłada, łąki nam osusza,
Chaty począł budować, zna i lubi człeka.
Zdawało się, że wioska dobra się doczeka,
Że jak poczniem czynsz płacić, jak się słusznie płaci,
Człek, mając więcéj czasu, łatwiéj się zbogaci,
Lepiéj się urządzimy i z polem, i zbożem,
I panu służyć będziem, i siebie wspomożem.
A teraz wszystko marnie... kto da więcéj groszy,
Zły jaki pan nas kupi i wioskę spustoszy.
Ej panie! ej paniczu! tego być nie może!
Nie rzucajcie nas biednych, siedźcie w swoim dworze.

Sędzia (*rozczulony*).

Dziękuję wam, dziękuję.

Podkomorzy (*do siebie*).

Patrzę, jak na dziwy.

Anna.

A co? widzisz, Stefanie, jaki lud poczciwy.

Stary Wieśniak (*z gromady*):

A ja starego pana dzieckiem jeszcze małém
Na kolanach pieściłem, cacka mu strugałem,
Znałem jego swawole, znałem każdy narów,
Do szkoły go woziłem do księży Piarów...

Drugi Wieśniak (*do Sędziny*).

A czy pamiętasz pani? wszak to lat trzydzieści,
Jakeś tu w naszym dworze mieszkała przy teści,
Jak po waszém weselu my ludzie prostacy
Chleb i sól wam przynieśli na lipowéj tacy,
Jak ja miałem przemowę...

Trzeci Wieśniak (*do Stefana*).

A ty, młody panie,
Pomnisz, jakem cię dzieckiem brał na polowanie?
Teraz wydam z sekretu, aż pusty śmiech bierze,
Jakeś to swojskie kaczki strzelał na jezierze.

Starzec.

Wszystko to w naszych oczach powstało na nogi,
A teraz chcą porzucać swój naród ubogi;
A czy wy macie serce?...

Sędzia.

Serce mi się kraje...
Lecz ja nie z dobréj woli majątek sprzedaję:
Biorą go za podatek, za bankową ratę;
A ja nie mam i grosza na długów wypłatę,
I muszę was porzucić przed początkiem zimy.

Stary Wieśniak.

Otoż pan nie wyjedziesz, bo my nie puścimy...
Nie zechcesz od nas gwałtem wyrywać się, sądzę.

Sędzia.

Lecz trzeba mi pieniędzy.

Wójt (*nieśmiało*).

My mamy pieniądze,
Cztery tysiące złotych, tak wiemy od Szlomy.
Przyjmij to, spłać należność, interes wiadomy,
I wieki nam panujcie z dziatkami, z wnukami!

(*Kładzie na stół pieniądze z nieśmiałością*).

Sędzia.

Czy mi się przywidziało? czy to sen mię mami?
Wy płacicie pieniądze... wracacie mi życie...
Zkąd u was tyle grosza? — sami się krzywdzicie,
Ja nie przyjmę...

Podkomorzy.

Bierz sędzio, wybrniesz z tarapaty.

Wójt.

Zkąd my mamy pieniądze?... Człowiek niebogaty,
Lecz gdy się złożą wszyscy, za pomocą Nieba,
Gromada wielki człowiek, gdy tego potrzeba.

Starzec (*z gromady*).

Zkąd my mamy pieniądze?... Powiem, jak to było.
Zeszliśmy się w niedzielę, — trochę się podpiło,
Aż wtém powiada Szloma, jak rzecz cała ma się,
Że jegomość dobrodziéj w wielkim ambarasie,
Że majątek sprzedają... zginienie otwarte;
Więc postawiłem kwartę, wójt postawił kwartę,
I daléj rada w radę...

Wójt.

Tu niedługa rada:
Ratować nas i panów w ten moment wypada.

Spojrzeli się po sobie co bogatsi kmiecie,
Jeden z nich kilka groszy przysporzył w kalecie,
Drugi miał niepotrzebną dobrą sochę wołów,
Młynarzowi na rybie poszczęścił się połów,
Franciszek Szwed, co zda się na oko biedota,
Miał jeszcze po Francuzach małą skrzynkę złota,
Każdy złożył po trosze, czy wielki, czy mały,
Kobiety niepotrzebnych kilka kur sprzedały,
Tak się grosz i zgromadził, zebrany wśród braci.
Bierzcie go z dobrém sercem, a dług niech się spłaci.

Sędzia (*spogląda na Stefana*).

Stefan

Grzech nie przyjąć dobrodziejstw z tak czystego zró-
Odmowa ich serdeczność przykroby ubodła. [dła;

Sędzia (*po namyśle*).

Przyjmuję!...

(*Ściska Starca i Wójta, kłania się gromadzie*).

Lecz to spłacić... wkrótce spłacić muszę.

Starzec.

Zwrócić! O! przeciw temu odezwać się muszę.
Wszak panowie kupują nasze chłopskie dusze,
Dla czegobyśmy dzisiaj, choć rzecz niesłychana,
Nie mogli za pieniądze kupić sobie — pana?

(*Sędzina ściska ręce gromady*).

Stefan (*po cichéj naradzie z ojcem*).

Kupiliście już pana i z sercem, i z duszą,
A te wasze pieniądze świętemi być muszą.
Nim je wam całkiem zwrócić lepszy los pozwoli,
Odtąd siedzieć będziecie na czynszowéj roli,
Przy zamożniejszym bycie i w szczęśliwéj chwili
Odbierzcie choć cząstkami, coście tu złożyli.

Wieśniacy *(po naradzie z sobą).*

Trudno i nam nie przyjąć téj waszéj ofiary;
Lecz byle żył pan młody, byle żył pan stary,
Zakwitnie w naszéj wiosce poczciwy lud boży,
A reszta, jak wrócicie, w domu się ułoży.
Śpieszcie się do urzędu pospłacać swe raty,
I powracajcie zdrowo, a nam czas do chaty.
Niech będzie pochwalony!

Obecni.

Na wieki! na wieki!

(Wieśniacy odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

CIŻ, *oprócz* WIEŚNIAKÓW.

Podkomorzy.

Widzę, panie Stefanie, twój zawód daleki:
Czyja włość tak poczciwa, a taka zamożna,
Tam wysokich procentów doczekać się można.
Z tym czynszem trochęś szybko wyrwał się, młodzień-
Ale na tém nie stracisz, ja ci za to ręczę: [cze,
Bo włość przygotowana, moralnie bogata,
A jest i z moralności pieniężna intrata.

(Do Sędziny i Anny, które z sobą rozmawiają w głębi):

Pani Sędzino, Anno! ten płacz, a to na co?
Łzy, stracony kapitał, procentu nie płacą.
No, sąsiedzie! tyś wesół, jak z bitwy wygranéj;
Ale czas już odnowić nasze stare plany.
Co myślisz?...

(Szepce mu do ucha, ukazując Annę i Stefana).

Sędzia.

Ja nic nie wiem; a cóż na to matka?

Sędzina.

Ja nie wiem — chcesz sąsiedzie, idźmy do ostatka.
Na pieniężnéj rachubie nie snujemy planów.
Stefanie! sam nad szczęściem swojém się zastanów.

Stefan (*biorąc rękę Anny*).

W tych ręku moje szczęście.

Anna.

Przy nim moje szczęście.

Podkomorzy.

No, już teraz, sąsiedzi, głowami nie trzęście,
Pobłogosławmy dzieci...

(*Otaczają młodą parę*).

Niech Bóg błogosławi!

Sędzia (*do Podkomorzego*).

Czy się traktat utrzyma, jesteśmy ciekawi.

Podkomorzy.

Dziedzicu Pustopola, teraz bądź spokojny,
Już nigdy między nami nie przyjdzie do wojny.
W dobre i młode ręce zwierzamy fortunę;
Z czasem ty się usuniesz i ja się usunę,
Odpoczniemy na starość...

Sędzia.

Tylko mię przestrasza,
Jak z wojskiem przyjdzie Turek lub Ibrahim basza!

1858. Wilno.

SPIS RZECZY W TOMIE III.

UTWORY EPICKIE.

UTWORY DRAMATYCZNE.